

TOM CCLXXI.

ROK 68.

SERYA 9.

ZESZYT 812.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

S I E R P I E N .

1908.

TOM III.--ZESZYT 2.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. NIEMCY W KRÓLESTWIE POLSKIM,—przez <i>H. Wiercińskiego</i>	209
2. PAN BALCER W BRAZYLII,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	223
3. Z DZIEJÓW AGRARNYCH POLSKI,—przez <i>d-ra Ign. T. Baranowskiego</i>	238
4. ŁUNA (dokończenie), —przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	273
5. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	293
6. WSPOMNIENIA ULANA,—podał <i>Alexander Kraushar</i>	314
7. WYSTAWY SALONÓW PARYSKICH,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	354
8. PIŚMIENICTWO:	
Dzieje Akademii duchownej rzymsko-katolickiej warszawskiej. Ze źródeł urzędowych i wspomnień jej wychowawców zebrane przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego przy współudziale kolegów akademickich, mianowicie: ks. Teofila Matuszewskiego, ks. Antoniego Chmielowskiego,—przez <i>Ludwika Janowskiego</i>	378
HENRYK MOŚCICKI: Wilno i Warszawa, w „Dziadach“ Mickiewicza;—SIEROSZEWSKI WACŁAW: Ol-Soni-Kisań. Powieść;—RACZYŃSKA MARYA: Tancerka z Xois, —przez <i>Henryka Gallego</i>	381
TEODOR WIERZBOWSKI PROF.: Vade mecum. Podręcznik do studyów archiwalnych dla historyków i prawników polskich;—WIKTOR WITYG: Wypisy heraldyczne z ksiąg poborowych województwa Podolskiego z lat 1563—1565;—GEORG CLEINOW: Die Zukunft Polens;—ROMAN DMOWSKI: Niemcy, Rosya i kwestya polska;—ALEKSANDER JABŁONOWSKI: Źródła dziejowe,—przez <i>Fr. Pułaskiego</i>	387
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Wyniki konferencji słowiańskiej w Pradze. — Nowy moment w stosunkach polsko-czeskich. — Muzeum w Rapperswyłu. — Obszar gruntów w Królestwie Polskiem w r. 1906. — Okólnik p. kuratora warszawskiego Okręgu naukowego	393
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	404

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 7.



De J 1

NIEMCY W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Kiedy najazdy tatarskie pustoszyły Europę, a kraj nasz niszczyły ogniem i rabunkiem; kiedy miasta i wsie zniszczone, opustoszały; kiedy niwy leżały odłogiem, a miasta nie dostarczały rzemieślnika, któryby rolnikowi dał narzędzia do pracy na roli, a obrońcom kraju wykuł zbroję i oręż; królowie polscy otwierali na ścieżaj wrota ludności cudzoziemskiej, zachęcając ją licznymi przywilejami do osiadania u nas. Osiedlali więc tu—naprzód najruchliwsi w wiekach średnich Holendrzy, „Olendrami“ zwani, których ślady po dziś dzień widzimy w nazwach licznych wsi w nizinach Wisły, oraz w języku, nazywającym wyrazem „*gbur*“ człowieka ciężkiego, nieokrzesanego, wyróżniającego się od ludności miejscowej prostactwem w stosunkach z ludźmi (holenderski „bur“), a w niektórych okolicach oznaczającym wieśniaka-gospodarza; osiedlali tu licznie Czesi, Żydzi i Niemcy.

Osadnictwo to miało niemal wyłącznie ekonomiczne wyzyskanie kraju na względzie. Zaludniały się przybyszami zarówno wsie, jak i miasta, te ostatnie może najwybitniej, wogóle w punktach, gdzie warunki miejscowe największe otwierały tym przybyszom widoki, lub gdzie dostęp do osiedlenia się najbardziej znajdowali ułatwiony. Z wyjątkiem Żydów, zlewali się oni z wolną z ludnością miejscową, przejmowali jej obyczaje i zamilowanie do nowej swej ojczyzny; łącząc się zaś z nią związkami krwi, wnosili do wielu rodzin polskich zalety i wady, właściwe ich rasie, wyróżniające następnie te rodziny wśród szarego tłumu, co niejednokrotnie pozwalało im dobijać się znaczenia i wpływów. Pomimo chwilowych zakusów separatystycznych, obce żywioły były przez długie czasy pożądanym dla krajów polskich nabytkiem, wzmacniały jego siły ekonomiczne, bogaciły kraj w ludność, w zasoby, w siły produkcyjne i intelektualne.

I dziś jeszcze w krajach, gdzie ludność jest nieliczna, gdzie brak rąk do pracy, a naturalne bogactwa kraju oczekują ręki człowieka, któraby je wydobyła i spożytkowała, tam osadnictwo obcych przybyszów może być pożądanem i płodnem w skutkach.

Inaczej przecież rzecz się ma w kraju, już przeludnionym. Nie może być pożądanym napływ obcych tam, gdzie ludność miejscowa sama niema już dostatecznego pola do pracy dla siebie; tam, gdzie ludność rdzenna sama skazaną jest na wychodźstwo, czy to stałe, czy czasowe tylko—za zarobkiem. Tam wszelka imigracja żywiołów obcych nie tylko nie jest pożądaną, ale, przeciwnie, interes ludności miejscowej wymaga, ażeby tej imigracji stawiać zapory, wprost dlatego, ażeby nie odbierać ludności owej zarobków, nie zmuszać jej samej do szukania zarobków poza krajem ojczystym, do szukania gdzieś daleko kawałka chleba, jakiego nie znalazła u siebie, w domu własnym.

Omawiając współczesne osadnictwo niemieckie u nas, to przede wszystkim musimy mieć na względzie.

Rozejrzyjmy się więc wśród warunków zaludnienia naszego kraju.

Królestwo Polskie obejmuje przestrzeni około 2,300 mil kwadratowych; na ogół ludności około 11,600,000 głów, posiada blisko 600,000 osadników niemieckich. Odliczając tych ostatnich, na ludność rdzenną (wliczając w nią przecież od wieków osiadłych wśród nas Żydów) przypada około 11,000,000 głów, czyli około 4,300 głów na milę kwadratową, a wraz z osadnikami niemieckimi około 5,040 głów na taką milę. W porównaniu z innemi krajami Europy środkowej, jesteśmy jednym z najgęściej zaludnionych jej krajów, dorównywając niemal Niemcom. Ale gdy Niemcy posiadają w obrębie swoim bogato rozwinięty przemysł, a poszczególne części państwa niemieckiego, zasobne w bogactwa mineralne, rozwinęły górnictwo (Saksonia, Szlązk), podobnie jak sąsiednie Czechy, to wiele krajów rolniczych Europy, pomimo ich potężnego uprzemysłowienia, ma ludność o wiele mniej zgęszczoną. Tak np. kiedy w Królestwie Polskiem przypada już 90 z górą głów na kilometr kwadratowy, Francya ma ich tylko 75, Prusy 88, Bawarya 78, Austro-Węgry 74. Wychodząca od nas ludność *na stałe*, w górnictwie przeważnie znajduje tam (również stałe) zajęcie; robotnicy zaś rolni jedynie podczas robót polnych mają te zarobki i to nie dla braku miejscowej ludności, lecz głównie dlatego, że tamta przekłada pracę w przemyśle i tych dziedzinach zarobkowych, które są lepiej wynagradzane, niż praca w rolnictwie. Potrzeby zaś naszego rolnictwa, jak to zobaczymy niżej, nie są

w stanie zużytkować tych rąk nawet, jakie posiadamy na miejscu, co sprawia, że ludność rolnicza kraju naszego szukać musi zarobków poza jego granicami.

Czy wobec tych warunków możemy obojętnie patrzeć na imigrację rolniczą w naszym kraju? Czy raczej nie powinniśmy przeciwdziałać jej wszelkimi środkami?

A przecież, pomimo tego wszystkiego, pomimo gęstej ludności rdzennej, pomimo braku pola do pracy dla niej samej, osadnictwo niemieckie w naszym kraju, wzrastając nieustannie, coraz wyraźniej przybiera rolniczy charakter. Zestawiwszy dane, zebrane przez Komitet Statystyczny Warszawski na 1 stycznia 1907 roku, przekonywamy się, że, z wyjątkiem gubernii Piotrkowskiej, osadnicy niemieccy we wszystkich pozostałych guberniach Królestwa Polskiego stanowią przeważnie element wiejski; a jakkolwiek wykazy urzędowe, na jakie się powołujemy, segregują ludność nie według narodowości, lecz według wyznań; to jednak ze względu, że około 95% Niemców należy do wyznań protestanckich, liczby protestantów odpowiadają niemal liczbie Niemców; że zaś ludność polska wyznań protestanckich koncentruje się przeważnie w miastach¹⁾, stosunek ten, jaki tu podajemy, nie wykaże jeszcze w zupełności przewagi osadnictwa wiejskiego nad miejskim. Pomimo to, w braku innych, ściślejszych danych, posługiwać się nim musimy.

Według tedy danych, na jakie się powołujemy, ludność protestancka (ewangelicy, reformowani i baptyści) Królestwa Polskiego zamieszkiwała:

	W miastach i miasteczkach	Po wsiach	Razem
W gubernii Warszawskiej	30,462	94,724	125,186 głów;
„ Kaliskiej	18,548	83,357	101,895 „
„ Kieleckiej	578	2,322	2,900 „
„ Lubelskiej	1,829	38,562	40,391 „
„ Łomżyńskiej	1,418	5,256	6,674 „
„ Piotrkowskiej	122,277	96,046	218,323 „
„ Płockiej	3,251	45,071	48,322 „
„ Radomskiej	881	11,105	11,986 „
„ Siedleckiej	540	16,073	16,613 „
„ Suwalskiej	6,736	30,869	37,605 „
Razem w Król. Polskiem	186,510	423,385	609,895 głów.

¹⁾ Ludność protestancka w miastach, należy w 1/4 do narodowości polskiej, pomimo niemieckiego brzmienia nazwisk. Po wsiach, z wyjątkiem kilku tysięcy Czechów i Litwinów, protestanci-Polacy stanowią bardzo nieliczną garstkę.

Stosunek ten wszakże (osiadłości miejskiej do wiejskiej) w poszczególnych guberniach, uwydatni wyraźniej wykazanie go w odsetkach, mianowicie:

		W miastach i w miasteczkach	Po wsiach		
W gub.	Warszawskiej	24,3 ⁰ / ₀	75,6 ⁰ / ₀	ludności	protestanckiej
"	Kaliskiej	18,2 ⁰ / ₀	81,8 ⁰ / ₀	"	"
"	Kieleckiej	20,0 ⁰ / ₀	80,0 ⁰ / ₀	"	"
"	Lubelskiej	4,5 ⁰ / ₀	95,5 ⁰ / ₀	"	"
"	Łomżyńskiej	21,2 ⁰ / ₀	78,8 ⁰ / ₀	"	"
"	Piotrkowskiej	56,0 ⁰ / ₀	44,0 ⁰ / ₀	"	"
"	Płockiej	6,7 ⁰ / ₀	93,3 ⁰ / ₀	"	"
"	Radomskiej	7,3 ⁰ / ₀	92,6 ⁰ / ₀	"	"
"	Siedleckiej	3,4 ⁰ / ₀	96,6 ⁰ / ₀	"	"
"	Suwalskiej	17,9 ⁰ / ₀	82,1 ⁰ / ₀	"	"
	Wogóle	30,5 ⁰ / ₀	69,5 ⁰ / ₀	ludności	protestanckiej,

czyli, że z wyjątkiem gub. Piotrkowskiej, stosunek ludności protestanckiej wiejskiej w poszczególnych guberniach jest wyższym, niż przeciętny także stosunek wśród ogółu ludności krajowej, który wynosi 77—78⁰/₀.

Widzimy tu jeszcze, że w guberniach najdawniejszej kolonizacji niemieckiej, mianowicie w guberniach: Kaliskiej, Piotrkowskiej, Suwalskiej i Warszawskiej, przewaga ludności wiejskiej nie jest tak wielką, jak w miejscowościach, gdzie osadnictwo niemieckie jest dziełem ostatnich dopiero dziesięcioleci, mianowicie w guberniach: Lubelskiej, Radomskiej i Siedleckiej, w których Niemcy osiadają niemal wyłącznie po wsiach, lub zakładają wsie nowe i nowe folwarki, co jest zjawiskiem znamionem.

Zestawiając liczbę ludności rolniczej krajów niemieckich, z rozległością przestrzeni rolnej tamże, widzimy, że w Niemczech przypada około 2 hektarów na głowę ludności rolniczej. Takie samo zestawienie liczb w kraju naszym dowodzi, że na głowę ludności rolniczej przypada u nas niespełna 1 hektar przestrzeni rolnej. Te już jedynie cyfry przemawiają za tem, że nie głód ziemi pcha Niemców do krajów polskich, gdzie ludność miejscowa więcej jeszcze brak ziemi odczuwa. I może byłby ruch ten zagadką ekonomiczną, gdybyśmy nie znaleźli na nią wyjaśnienia w uwagach, zamieszczonych w czasopiśmie niemieckim (dwumiesięczniku wydawanym w Gotha) p. t. „Deutsche Erde“¹⁾. Wska-

¹⁾ „Wo die Deutschen als Bauern in geschlossenen Dörfern, oder doch auf einem Komplex von Höfen nahe beieinander wohnen, da bewahren sie ihr

ziano tam na fakt, że *Niemcy, osiadający w miastach, wśród polskiej ludności, szybko się polonizują; przeciwnie, osiadający we wsiach oddzielnych, lub w kompleksach sąsiadujących ze sobą dworków wiejskich, zachowują narodowość swoją najczystiej i najwierniej.* Więc chociaż dziedzina przemysłu stoi u nas otworem dla przybyszów, chociaż placówki w tej dziedzinie nie są jeszcze zajęte, osadnictwo niemieckie pomija je często w obawie wynarodowienia.

A może rolnik niemiecki przewyższa miejscowego pracownością, umiejętnością pracy na roli? I to nie. Przejeżdżając przez kolonie niemieckie, nie widzimy wybitnej różnicy na ich polach, w porównaniu z polami ich sąsiadów, miejscowych, rdzennych mieszkańców kraju; niekiedy nawet widzieć się daje, że niedbalej pielęgnują zasiewy, niż sąsiadujący z nimi chłopci polscy.¹⁾ Postępowe gospodarstwa, ulepszone narzędzia, nie wyróżniają tu również dodatnio dziedzin niemieckich²⁾. Konkurencja ekonomiczna z żywiołem miejscowym byłaby w tych warunkach niemożliwą, bez poważnego poparcia tego ruchu osiedleńczego, poparcia zarówno ideowego, jak i finansowego. To naprowadza na wniosek, że kolonizacya ta ma kierownictwo, że odbywa się z pewnym, z góry powziętym już planem.

Celowość i planowość kolonizacyi niemieckiej potwierdza i geograficzne jej usadowienie, jak to poniżej zobaczymy.

Ogólna liczba Niemców w Królestwie Polskiem stanowi około 5,3% ludności ogólnej kraju naszego. Podobny stosunek zachodzi i co do ludności rolniczej (5,2%). Gdyby ci osadnicy byli rozrzucony po całym kraju mniej więcej równomiernie, musieliby uleść z biegiem czasu powolnej asymilacyi, podobnie jak ich poprzednicy, czy to holenderskie bury, czy niemieccy mieszczenie krakowscy. Ale czujne oko czyjeś ma i na to baczenie. Osadnictwo postępuje wprawdzie naprzód, ale celowo i ostrożnie zarazem. Idą naprzód szeregi wywiadowcze, wysunięte nieco dalej od większych grup niemieckich; ale pozostają w ścisłym z tamtymi związku.

Deutschthum am reinsten und treuesten" („Deutsche Erde." 1907. Drittes Heft: „Die Deutschen in Russisch-Polen," S. 83).

1) Tak np. przejeżdżając w r. b. obok kolonij niemieckich w okolicy Lublina, widziałem pola buraków zarośnięte chwastem i nieopielone, wówczas, kiedy w gospodarstwach polskich, zarówno dworskich, jak i włościańskich, były już nie tylko opielone, ale i przeorane.

2) W powiecie chełmskim, w pewnej okolicy, sprowadzano gryfy, naprzód do gospodarstw dworskich, później sprowadzali je miejscowi włościanie, ostatni sprowadzili je koloniści niemieccy.

Jak w pochodzie armii, widzimy tu rozrzucone placówki w różnych okolicach kraju; to jakby rekonesans. Przybywają Niemcy, zaku-
pują jakiś folwark lub część folwarku, zabudowują się; nieraz po
kilku latach wyprzedają swe kolonie chłopom miejscowym, i prze-
noszą się na inne miejsca. Jak niespodzianie przyszli, tak i nie-
spodziewanie zniknęli. Dlaczego? Zbadawszy dobrze miejscowość
w ciągu lat kilku, poznawszy każdy wzgórek, każdy wawóz, każ-
dy bród, lub przeszkodę gruntową, przekonali się, że punkt dany
nie jest im potrzebnym, i szkoda sił na jego stróżowanie. Studya
swoje uwiecznili na papierze i złożyli, gdzie potrzeba; idą więc
dalej studyować dalsze miejscowości. *Te punkta zaś, które zasłu-
gują na większą bacność z ich strony, obsadzają na stałe już i co-
raz gęściej je osiadają.*

Postępując tak krok za krokiem, zdążyli już dotąd obsadzić
silnemi posterunkami oba brzegi Wisły, poczynając od Nieszawy,
aż pod Kazimierz Dolny. Z 27 gmin, leżących na tej przestrzeni
na lewym brzegu rzeki, *niema ani jednej*, któraby nie miała Niem-
ców. Idąc kolejno brzegiem Wisły, od granicy pruskiej w górę
jej biegu, mamy w gminach: Raciążku 932 Niemców, Lubani 1,791,
Łęgu 1,313, Dobiegniewie 2,115, Duninowie 1,936, Łącku 692, Do-
brzykowie 1,575, Czermnie 1,937, Słubicach 850, Howie 3,874, Tu-
łowicach 2,780, Głusku (wprost fortecy Modlina) 559, Cząstkowie
(obok tamtej) 499, Młocinach 416, w samej Warszawie około 10,000;
powyżej Warszawy: w Mokotowie (w obrębie fortecznym) 1,287,
Wilanowie 715, Jeziornej 229, Kątach 843, Górze Kalwaryi 1,016,
Konarach 340, Roznieszewie 321, Trzebini 311, Świerżach 742, Brze-
żnicy 285, Sarnowie (pod fortecą Dęblinem) 169, Górze Puławskiej
1,577 i Oblasach (wprost Kazimierza Dolnego) 148 Niemców. Na
prawym brzegu Wisły, poczynając od granicy, osiedli w gminach:
Obrowie 1,541 Niemców, Osówce 2,119, Bobrownikach 2,061, Szep-
talu 1,734, Olesznie 600, Chalinie 1,198, Brudzeniu 48, Brwilnie
(pod Płockiem) 2,689, w samym Płocku kilka setek; dalej, powy-
żej Płocka: w Ramułtowie 726, Rębowie 1,047, Pomiechowie (pod
fortełą Modlinem) 631, w Górze (w rozwidleniu Wisły i Narwi)
1,198, w sąsiedniej Jabłonie 2,685; w rejonie fortecznym war-
szawskim na prawym brzegu Wisły, w gminach: Brudnie 3,953,
Wawrze 950, dalej w Zagoździu 140, Sobieniach 394, Wildze 1,196
i Pawłowicach (pod fortecą Dęblinem) 302.

Jest to spis gmin nadbrzeżnych jedynie. Na ich tyłach,
w głębi kraju, obsadzone są niemiecką ludnością nie mniej gęsto
gminy sąsiednie. W powiecie lipnowskim (gub. Płockiej) Niemcy
tworzą już 20,1% ludności ogólnej powiatu, gdzie w gminach:

Kłokocku, Bobrownikach i Osówce, stanowią blisko połowę ludności tych gmin; w powiecie rypińskim (gub. Płockiej), stanowią jeszcze 12,9% ludności powiatu. Wogóle jednak prawy brzeg Wisły, z wyjątkiem dwóch nadgranicznych powiatów gub. Płockiej, mniej jest tą kolonizacją nawiedzony. Natomiast na lewym brzegu Wisły widzimy całe kompleksa gmin w powiatach: nieszawskim, włocławskim, gostyńskim i sochaczewskim gub. Warszawskiej; konińskim, słupeckim, kolskim i kaliskim gub. Kaliskiej; oraz łaskim, łódzkim, brzezińskim i piotrkowskim gub. Piotrkowskiej, gdzie ludność niemiecka dochodzi połowy ludności ogólnej tych gmin, a niekiedy przenosi nawet tę połowę; tak gminy: Nowosolna (powiat łódzki) ma 67,4% Niemców, Zielew (pow. łaski) 66%, Bełdów (pow. łódzki) 52,4%, Rąbień (pow. tenże) 51,5%, Grodziec (pow. słupecki) 49,8%, Kościelin (pow. kaliski) 40,4% Niemców; co sprawia, że w powiatach tych ludność niemiecka dochodzi 13—16% ludności ogólnej powiatów, a w powiecie łódzkim nawet do 26,6% całej jego ludności.

Powiaty nadbrzeżne, leżące nad Wisłą, oraz sąsiadujące z niemi, tworzą jakby kość pacierzową osadnictwa niemieckiego w Królestwie i środkową kolumnę, której wierzchołek, przekroczywszy rzekę Wieprz, dosięga Buga. Siły liczebne tej kolumny dochodzą 220—230 tysięcy głów. Liczniejsze i silniejsze jeszcze jest prawe jej skrzydło, posuwające się od granicy pruskiej przez północne powiaty gubernii Kaliskiej i Piotrkowskiej ku Pilicy, a przez gubernię Radomską dochodzące Wisły. Kolumnę tę obliczać można na 320—330 tysięcy głów. Lewe wreszcie skrzydło tej armii osiedleńczej niemieckiej usadowiło się w północnej części gubernii Suwalskiej, w sile około 32 tysięcy głów, tworząc łącznik pomiędzy Prusami i osadnictwem niemieckim gubernij litewskich, liczącym około 200,000 ludności. Usadowiło się ono, jakby w obozie oszańcowanym, opartym od zachodu o granicę pruską, osłoniętym od północy i wschodu korytem Niemna, a od południa szeregiem jezior, ciągnących się od Olity, przez powiaty suwalski i augustowski ku granicy pruskiej. I kiedy to lewe skrzydło, ten broniony naturalnymi szanćami obóz osiedleńczy, zdaje się stać na straży kolonizacji niemieckiej na Litwie, kolumny: prawa i środkowa, przecinając ziemie Królestwa Polskiego na dwie połowy, jakby zdają się usiłować odosobnić te połowy; stanowią one zarazem łącznik między państwem niemieckim, a osadnictwem niemieckim na Wołyniu, przenoszącym obecnie już 1/4 miliona.

Czy to przypadkowy zbieg punktów osiedleńczych, czy planowa kolonizacja ziem naszych?

Oznaczywszy grupy osiedleńcze niemieckie na mapie Królestwa Polskiego bardziej szczegółowo, gminami, dostrzedz nie trudno systematyczności tej kolonizacji. Oto, od głównych kolumn rozchodzą się naprzód, jakby gałęzie poboczne; pomiędzy wierzchołkami tych rozgałęzień, powstają nowe placówki; placówki te się zagęszczają, następnie łączą się w nieprzerwany łańcuch, opasujący jakąś część krainy, powiat lub kilka powiatów razem, a jeszcze później wypełnia się i wewnątrz zakreślonego w ten sposób koła. Tym sposobem wypełniły się całe kompleksy powiatów, bliżej granicy pruskiej położonych. Rozgałęzienia pni głównych spotykamy w powiecie nowo-radomskim: dalej inne, skierowane ku Narwi i Bugowi. Obraz zaś stopniowego opasowania upatrzonych dzielnic, przedstawia szereg gmin na północnem pograniczu powiatu wieluńskiego, w południowej części powiatu piotrkowskiego i na wschodniem pograniczu powiatów: płońskiego i sierpeckiego.

Nie koniec na tem. Dbano tu jeszcze, ażeby osadnicy niemieccy w Królestwie Polskiem zachowywali między sobą czucie i ułatwioną pomiędzy sobą mieli zawsze komunikację. Pomędzy oddalonymi nieco więcej od siebie grupami osadnictwa, umieszczono placówki, na odległość mniej więcej stacyj pocztowych (2—4 mil) rozrzucone niby, ale rzeczywiście tworzące pewien szereg, wiążący odleglejsze posterunki. Taki łańcuch komunikacyjny daje się widzieć na mapie pomiędzy osadnictwem nadwiślańskiem a gubernią Suwalską przez gminy: Górę, leżącą w rozwidleniu Wisły i Narwi (1,198 Niemców), Radzymin (1,169), Zabrodź (191) lub przez Pomiechowo (pod Modlinem, 631 Niemców), Zegrze (131), ku gminie Długosiodło (1,323 Niemców), stąd już przez Kupiszki (146), sąsiednie z nią Drozdowo (139), Jedwabno (136), oraz Bogusze (166 Niemców), dochodzi do Augustowa i okalającej to miasto gminy Szczerbo-Olszanki (316 Niemców), leżących już w obrębie nadniemieńskiej grupy osadnictwa niemieckiego. Wysuniętą znów naprzód grupę radzyńsko-chełmską osadnictwa tego, łączy z tamtą linią komunikacyjną szereg kolonij przez gminy: Szumowo (422 Niemców), Jasieniec (2,097), Sadowne (2,092), Starą Wieś (429), Grochów (686), Żeliszew (995), Gołębki (875), Lisią Wólkę (423) i Milanów (177 Niemców). Też samą grupę łączy linia komunikacyjna z prawem skrzydłem armii osiedleńczej (poczynając od Tomaszowa Rawskiego) przez gminy: Unewel (496 Niemców), Kupiczki (629), Stuzno (103), Orońsk (95), Wierzchowiska (258), Sienno (239) i Ciszyce (112) do Wisły, skąd przez gminy prawego jej brzegu: Bełżyce i Niędzy (1,061 Niemców), Piotrowice (467),

Bychawę (142) lub: Zemborzyce (286) i Mełgiew (53) stykają się z grupą Chełmską. Druga taka linia komunikacyjna, jakby zapasowa, przechodzi przez gminy: Rzeczycę (438 Niemców) i Potworów nad Pilicą (118), Wolanów, Kowalę i Gębarzew (razem 1,297 Niemców), Tezew (142), Oblassy (148) lub Górę Puławską (1,577) do Wisły, skąd przez Końskowolę (202 Niemców), Wielkie (171) i Samokłęski (580) prowadzi do grupy, osiadłej nad Wieprzem w powiecie lubartowskim. Wreszcie przez gminy: Białopole (707 Niemców), Turkę (5,731), Swierże (439) i Międzyłęś (315) posterunki niemieckie Królestwa Polskiego podają rękę koloniom niemieckim na Wołyniu, przez gminy zaś: Poświętne i Jedwabno (w gub. Łomżyńskiej), oraz nadniemeńskie, koloniom gubernij litewskich.¹⁾

Z tego pobieżnego przeglądu przekonać się można, jak osadnictwo niemieckie stara się o zachowanie łączności, jak umiejętnie zakłada swoje posterunki, ażeby tę łączność sobie zapewnić, obywając się (w razie potrzeby) bez pomocy poczt i telegrafów rządowych, w przewidywaniu, że zająć mogą okoliczności, przy których komunikacja za ich pośrednictwem byłaby niedogodną, a w pewnych wypadkach może i ryzykowną. Na wszelki wypadek przezorność nakazuje zapewnić sobie własne drogi komunikacyjne, co też umiejętnie i zręcznie osiągnięto.

Ale nadto taka systematyczna kolonizacja zabezpiecza element niemiecki od wynarodowienia. Zwiedzając wsie niemieckie w kraju naszym, przekonać się można o słuszności twierdzenia, wypowiedzianego w przytoczonym wyżej czasopiśmie niemieckim „Deutsche Erde,” że chłop niemiecki w tych warunkach, jakie tu istnieją obecnie, zachowuje narodowość niemiecką „najczystiej i najwierniej.“ Dzieci kolonistów niemieckich do lat 7—10, nie znają innego języka, prócz niemieckiego. Rozrzucone gęsto własne ich szkoły, t. zw. *kantoraty*, z wykładowym językiem niemiec-

¹⁾ Osadnictwo niemieckie w guberniach zachodnich Cesarstwa obliczano w r. 1897 (spis jednodniowy) na 330,000 głów, wobec 418,978 Niemców w Królestwie Polskim. Z gubernij owych nie mamy spisów nowszych; ale, jeżeli wzrastało ono w ciągu ostatniego dziesięciolecia w tym samym stosunku, co w Królestwie Polskim, to winno liczyć obecnie około 500,000 głów. W ten sposób osiadłość niemiecka na zachodniej granicy państwa Rosyjskiego, dochodzi już 1,100,000 głów, stanowiąc nie tylko poważne forpoczty zdobywcze, zarówno w dziedzinie ekonomicznej, jak i politycznej, ale nadto, jako cenne kadry przewodników lub pomocników armii niemieckiej, w razie wojny na tej granicy.

kim, pielęgnują nie tylko język ich ojczysty, ale i uczucia, dążności i ideały niemieckie. Starszych utrzymuje w łączności z ojczyzną niemiecką — literatura i pisma peryodyczne, których każda wieś niemal, po kilka otrzymuje. Analfabetów prawie niema między nimi, i nic dziwnego, jeżeli wiemy, że gdy dla rdzennych mieszkańców kraju istnieje 1 szkoła na 5 — 6 tysięcy mieszkańców,¹⁾ kantoraty niemieckie obliczać można 1 na 900 ludności, niekiedy nawet niespełna 600 ludności niemieckiej.²⁾

Starsze pokolenie, mężczyźni zwłaszcza, stykając się częściej z ludnością miejscową, mówią nieźle po polsku (z wyjątkiem nowszego kontyngensu kolonistów); około 24% czyta nawet po polsku, a około 12% nietylko czyta, ale i pisze w tym języku — w tych gminach przynajmniej, które bliżej poznałem. Z drugiej jednak strony zaznaczyć należy, że w tych gminach, gdzie Niemcy stanowią element dominujący, dzieci polskie muszą się uczyć w szkołach niemieckich, albowiem na inne większość niemiecka odmawia środków,³⁾ przez co przygotowuje się grunt do wynaradawiania ludności miejscowej, jeżeli nie zaraz, to przynajmniej w przyszłości. Nazwiska wielu kolonistów niemieckich w naszym kraju, gorliwych dotąd Niemców, pomimo osiedlenia się tu u nas od kilku pokoleń, jak Cepik (z pisownią Zepik), Kijok, Macanka, Szywek (Siwek) są tego dowodem. Są to widocznie potomkowie zniemczonych niegdyś Ślązaków czy Kaszubów, którzy obecnie czują się najrzetelniejszymi Niemcami i niedopuszczają nawet myśli, aby mogło być kiedykolwiek inaczej. Ziemię polską, przetkane gęsto Niemcami, wydają nietylko „von Podbielskich“ i „von Posadowskich“, ale i szary tłum, który nietylko wyrzeka się swej polskości, ale jeszcze wśród dawnych swych współrodaków szerzy niemczyznę. *I to jest może największem niebezpieczeństwem dla ziem naszych, które Niemcy-koloniści na siedlisko dla siebie obrali.* Zwiedzając kolonie niemieckie, miałem możność przekonania się, jak głęboko tkwi w osadnikach tutejszych poczucie niemieckości, jak gorliwie pielęgnują odrębność swoją narodową, jak unikają ściślejszych węzłów z ludnością miejscową, z którą się bynajmniej

¹⁾ Jak np. w powiecie puławskim (nowo-aleksandryjskim) gub. Lubelskiej 1 szkoła na 6,588 mieszkańców, w pow. lubelskim na 6,988 mieszkańców.

²⁾ Jak np. w gminie Góra Puławska, w powiecie kozienickim, gub. Radomskiej, gdzie na 1,697 Niemców, jest 3 kantoraty.

³⁾ Taki wypadek zdarzył się przed kilkoma laty w pow. sochaczewskim, gub. warszawskiej.

nie łączą. Opowiadali mi ci koloniści, że przodkowie ich — pradiadawie, lub może jeszcze ojcowie pradiadaw, przybyli do Polski—co nastąpiło mniej więcej przed stu laty—zatracili już pamięć, z jakich krain niemieckich wywędrowali; kilka ich pokoleń tu się urodziło i tu wychowało, a przecież zachowało wiernie narodowość niemiecką. Różne od otoczenia wyznanie religijne, odrębne szkoły wyznaniowe (kantoraty) z wykładowym językiem niemieckim, pisma niemieckie, broszury—cała wreszcie bogata literatura niemiecka i doznawana zawsze w potrzebie opieka zagraniczna, odrębność tę podtrzymują i umacniają. W warunkach też tych, jakie się wytworzyły, o zmianie obecnych stosunków marzyć nawet niepodobna.

Mamy więc wśród siebie żywioł obcy, który w organizm narodowy nie wsiąka i tkwi w nim, jako ciało obce, o tyle niebezpieczniejsze, że zasilane z zewnątrz, urasta nie tylko siłą naturalnego przyrostu, ale i ciągłym, potęgującym się napływem z zewnątrz; mając zaś poparcie silnego a *zaprzyjaźnionego* sąsiedniego państwa, wzrasta w siły i przywileje, jakich żywioł miejscowy jest pozbawiony—co wszystko razem wzięte, rozwój jego jeszcze bardziej potęguje. Część niewielka tylko inteligencji niemieckiej, przeważnie w miastach większych skoncentrowana, pozostając w koniecznej styczności z ludnością miejscową, łącząc się z nią nierzadko związkami krwi, stanowi tu wyjątek. Ta kategoria osadników niemieckich, a raczej jej potomstwo, daje nam niemało zasłużonych ludzi na wszelkich polach działalności obywatelskiej, a wielu z nich zajęło bardzo wybitne w rocznikach zasług obywatelskich miejsca i uwieczniło imiona swe we wdzięcznej pamięci społeczeństwa polskiego.

Pomimo separatyzmu, cechującego tutejszych kolonistów niemieckich, sąsiedzi ich utrzymują, że są oni pracowici, spokojni, do zatargów sąsiedzkich bynajmniej niepochopni; sprawy karne bywają między nimi niestęchanie rzadko, a z ludnością miejscową utrzymują stosunki zgodne, chociaż odnoszą się do niej z pewną nieufnością i złośliwym niekiedy krytycyzmem.

Naogół są zamożniejsi od okolicznych włościan. Wpływa na to w części to, że posiadają większe zasoby pieniężne, a o ile ich nie posiadają, korzystają z tańszych, niż nasze, pożyczek w instytucjach niemieckich (podobno na 2%), oraz, że przeciętne ich gospodarstwa są większe, niż zwykłe nasze włościańskie; jakkolwiek bowiem granice poszczególnych gospodarstw niemieckich są bardzo niejednostajne i wahają się od 6—120 mórg, najpospolitszym przecież typem są gospodarstwa 1-o włókowe, t. j. 2 do 3

razy większe od zwykłego gospodarstwa włościan miejscowych. Zabudowania gospodarcze nietyle wyróżniają osady niemieckie od miejscowych, ile domy mieszkalne, o 2—4 izbach, z podłogą wszędzie, okiennicami, piwnicą i t. p. Utrzymują też nieco więcej inwentarza i lepszego, niż włościanin tutejszy. W gminach, w których prowadziłem badanie tego stosunku, okazało się, że gdy przeciętna rozległość jednostki gospodarczej włościanina polskiego wynosi 6—7 morgów (300 prętowych), takąż przeciętna dla gospodarstw niemieckich wynosi 15—18 morgów; szacunek budowli na osadzie włościanina miejscowego 300 rubli, kolonisty zaś niemieckiego 400 rubli; przeciętna ilość sztuk inwentarza u pierwszych 7 sztuk, u drugich 9 sztuk.

Wyższe dochody, jakie niekiedy osiągają Niemcy z gospodarstw swoich, zawdzięczają w części tylko niższemu oprocentowaniu obciążeń; w części zaś temu, że wyprzedzili włościan naszych w umiejętnem spieniężaniu produktów gospodarstwa, głównie zaś nabiątu. W niektórych gminach Niemcy posiadają spółkowe mleczarnie, czasem po kilka w jednej gminie, będąc w wielu okolicach podmiejskich jedynymi niemal dostawcami nabiątu dla miast swego okręgu.

Ciekawem jest pytanie, ile też ziemi kraju naszego znajduje się obecnie w rękę niemieckiem? Ponieważ prawo nabywania ziemi przysługuje u nas wyłącznie poddanym rosyjskim, a stąd Niemcy koloniści, zanim nabędą ziemię, muszą wyjednać sobie to poddaństwo, rubryki zaś odnośne nie zaznaczają ani wyznania, ani narodowości właścicieli, przeto nie posiadamy dotąd pewniejszych danych co do stanu posiadania Niemców tutejszych. Sposobem próby dokonaliśmy obliczeń żądanych w bliżej znanych nam gminach, z których to obliczeń okazało się, że na głowę kolonisty niemieckiego przypada przeciętnie 1,7 morga polskiego — że na tej podstawie zatem dla ludności niemieckiej wiejskiej Królestwa, obliczonej na 423,385 głów, przyjąłoby należało 719,754 morgów, czyli niemal $\frac{1}{33}$ użytków rolnych (z wyłączeniem lasów) Królestwa Polskiego.¹⁾

W miarę rozrostu kolonizacyi niemieckiej możliwym jest jednoczesny rozrost obszarów ich posiadłości, wzrost stanu posia-

¹⁾ Użytki rolne w Królestwie Polskiem wynoszą, z wyłączeniem lasów, około 16,707,602 morgów, stanowiąc około 75% przestrzeni ogólnej Królestwa, obliczonej na 22,259,502 morgi. W gospodarstwach kolonistów lasy stanowią tak małe przestrzenie, że je, bez obawy znacniejszego błędu, pominać można w obliczaniu.

dania niemieckiego w naszym kraju. Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, ze względu na ludność rolniczą krajową, której uszczuplenie posiadłości na korzyść niemiecką grozi coraz większym niebezpieczeństwem bądź utraty możliwości nabycia kiedyś ziemi, bądź utraty zarobku zaraz, należałoby rozrostowi kolonizacji niemieckiej postawić zaporę. Jak na dziś, jedyną, jaką temu najazdowi ekonomicznemu przeciwstawić możemy, jest opinia publiczna. Współdziałania władz krajowych trudno oczekiwać...

Jak jedyną tarczą przeciw zalewowi niemieckiemu jest opinia publiczna, tak jedynym orężem do jej zwalczania jest *kolonizacja wewnętrzna*. Bardziej ożywiona działalność Banku włościańskiego, a gdzie przeszkody prawne działalność jego tamują, Towarzystwa parcelacyjne, winny dalszemu przechodzeniu ziemi naszej w ręce niemieckie, kres położyć. O ileby zaś władze miejscowe pozostawać miały pod wpływem insynuacji niemieckich, najlepsze nawet zamierzenia rządu nie odniosłyby skutku, czego dowodem chociażby instrukcja generał-gubernatora warszawskiego Czertkowa z r. 1894, przeinaczająca i krępująca wolę prawodawcy, wyrażoną w ustawie Banku włościańskiego — instrukcja, dzięki której kolonizacja niemiecka zrobiła takie postępy w latach ostatnich w Chełmszczyźnie, gdzie są gminy, w których na 33 wsi—już 19 jest zupełnie niemieckich (Cyców).

Wprawdzie widzimy obecnie jakby cofanie się tego ruchu kolonizacyjnego; nierzadko koloniści niemieccy wyprzedają kolonie swoje i kraj nasz opuszczają. Zjawisko to przecież jest chwilowem. Usiłowania, skierowane przez rząd niemiecki do osadnictwa żywiołem niemieckim W. Ks. Poznańskiego, a przez szlachtę kurlandzką do powiększenia ludności niemieckiej w guberniach nadbałtyckich, obietnice korzyści, jakie nowych osadników tam czekać mają; wszystko to poruszyło w tej chwili jednostki ruchliwsze i żądniejsze poprawy bytu. Gdy jednakże tamten ruch uspokoi się nieco, nowe fale ekonomicznego na kraj nasz najazdu uderzą nową siłą. To trzeba mieć w pamięci. Takie pisma, jak *Hausfreund* (w Rydze), *Ewangelische Sonntagsblatt* (Petersburg), *Unsere Kirche* (Łódź) *Der Weg* i t. p., czytowane przez kolonistów niemieckich, dadzą w swoim czasie odpowiednią ku temu zapewne wskazówkę, zgodną z interesami ludności niemieckiej, bez względu, czy to wyjdzie nam na szkodę, czy pożytek.

Powinniśmy to przewidzieć.

Tymczasem konstatujemy fakta.

Dla uzupełnienia ich dodamy, że na 1369 gmin Królestwa, posiadamy 561 takich, w których wyraźnie usadowili się Niemcy.

Z tej liczby ludność niemiecka, nie przechodząc 1—5% mieszkańców osiadła w 206 gminach; powyżej 5% do 15%—w 202 gminach; od 15 do 25%—w 86 gminach; od 25 do 50%—w 58 gminach, a powyżej 50%—w 5 gminach. W pozostałych 475 gminach ludność niemiecka jest bardzo nieznaczna (poniżej 1%), a w 362 gminach niema jej wcale.

Ludność niemiecka w Królestwie Polskiem wynosiła w dniu 1 stycznia 1907 r. ogółem 578,895 głów. Doliczając do tego przyrost roczny, który w ostatnim dziesięcioleciu wynosił około 5% rocznie, mieliśmy w początku roku bieżącego w kraju naszym 607,839 Niemców (w tej liczbie około 30,000 katolików) = 5,3% ludności ogólnej kraju.

H. WIERCIĘSKI.

Pan Balcer w Brazylii.

VIII.

Twardo stanęlim w dokach do roboty.
A co? Człek by się gryźć kamienia imał,
Byleby jeno świetliczek ów złoty
Nadziei migał mu, i moc w nim trzymał.
Lud, choć zbiedzony nadmiar, znał te poty,
Bo z nich już nieraz płótniankę wyzynał.
Ba! Radbym widział te lny, te konopie,
Co nie butwiały od znoju na chłopie!

Naród nasz silny jest; dużo poradzi,
Jak zęby ściśnie, a bary podłoży.
Niechaj go tylko moc jasna prowadzi,
Porywa, niech się przed nim świat otworzy,
Niech się rozwidni cel; a z tej czeladzi,
Co jest zarosła w siermiężnej swej koży,
Wyjdzie duch, jakby w żelazie kowany,
I łeb się twardszy pokaże od ściany.

A tu, o powrót szło. Na dokach tedy
Trwalimy w pracy twardej, od dnia do dnia,
Tając z pożaru słońca, z głodu, z biedy,
Jako najmitów gromada przechodnia.
Z góry my rzekli: Czy w dzień, czy w noc, kiedy
Błyśnie nam z masztu powrotna pochodnia,
W pół taczki rzucim i w pół drogi brzemię,
I w okręt! Bo nam pilno w swoją ziemię.

A to słyszeliśmy, jako dawać będą
 Daremny przewóz przez ocean ony,
 Że emigranty, co w statek usiądą,
 Pisani będą do morskiej obrony,
 I na pokładzie staną pod komendą
 Wojskową, jako morskie bataliony.
 Pod pokład baby z dziećmi pójdą zasie,
 Iż wojną jakoś pachniało w tym czasie,

A mór załogi pobił. Tak czekamy
 Skutku. Alić się czekanie przewlekło.
 Więc w tych okrutnych żarach, z Wielkiej tamy
 Do doków — potu niemało nam ściekło.
 W galarach, prawda, był ciężar ten samy,
 Chociaż nie takie żywych ogniów piekło.
 Jeno, że nas tam nie dali, bo cości
 Knuło się, kłuło, w posępnej cichości.

Miasto przeznalim wprędce. Dwojgo było,
 Choć jednym mianem nakryte, by dachem:
 Górne zdaleka białością aż ćmiło,
 Poprzetykane tu wieżą, tu gmachem;
 Drugie się nízko u morza mrowiło
 W nędzy, w pijaństwie, w brudzie, czarnym lachem.
 Zaś między nimi więź mocna i twarda:
 Z dołu — gniew głuchy, a z góry szła wzgarda.

Tu by mi wpisać te ganki wywarte,
 Nakryte kwieciami przeróżnych kolorów,
 I te niewiasty leżące, rozparte,
 W zwitkach na włosach do samych nieszporów.
 Te wrzaski papug, co gardła niezdarce
 Miawszy, wśród kwiatnych wiszące bisiorów,
 Językiem ludzkim krzyczą, wbrew naturze,
 Gdy małpki, z płaskich dachów drą się w górce.

Dopieroż kiedy przyniży się słońce,
 Rojno tam bywa i szumno w ulicy,
 Strojnego tłumu wylega tysiące,
 Biegną z nosidłem szklanem piechotnicy,

W nosidłach łątki zdaleka pachnące
 Leżą, gruchając, jak synogarlicy,
 Przymknione rzęsy, zemdlące wejrzenie,
 A włos z papierków rozwity w pierścienie.

Wypuścisz ucho, gdzie stoją panowie,
 Nic — tylko funty, procenty, dolary,
 Że mało który inszego co powie.
 Giełda, okręty, handel. Młody, stary,
 Jednak. A tam, na dole, jak mrowie,
 Czernią się ludem roboczym galary.
 Idzie ładuga. W szlej wprzęgli węglarze,
 Ciągną węglarki po parze, po parze.

Hurkot—het leci, het, aż tam, na górę,
 Jak grzmot daleki, wpadając w rozmowy.
 Ale wtem ptaki wrzasną krasopióre,
 I nikt w tę stronę nie odwróci głowy.
 A szle się prężą, wrzynają się w skórę,
 Czasem się zarwie krok jakiś miarowy,
 Zesuną ciałniej szeregi węglarze.
 Idzie ładuga — po parze, po parze.

.....

Inaksza znowu moda jest w niedziele.
 Place zalega murzyństwo pstrym tłumem,
 A kiedy dzwony uderzą w kościele,
 Pcha się to ławą z hałasem i z szumem,
 Jak stado czarnych baranów w kierdele,
 Zdaleka cuchnąc kozim potem, rumem,
 Co drugi, trzeci — z psem, a w rękach laski.
 I tak zawałą nawę po balaski.

Dopieroż taki elegant se siedzie
 Na kiju, fontaż czerwony, sam boso,
 I tak na strony wykręca się wszędzie,
 Za uchem zaś mu sterczą papierosy.
 Już ci lusterko z kieszeni dobędzie,
 Plunie w garść, już ci przymusknie se włosy,
 Zagwiżdże na psa i patrzy po gólkach,
 A pies tymczasem węszy po ampułkach.

Wtem ksiądz z ambony huknie: — „A hultaje!
 A drapichrusty jedne!“ — Tu zamacha
 Pięścią — „To takie wasze obyczaje?
 To msza i kościół, i Bóg u was fracha?
 Na Polskę patrzcie, co wam przykład daje!
 Polska! Polacy! Wywodzą się z Lacha,
 Czyli tam z Lecha. To, panie, nie drwinki!
 A słyszcie, jak to śpiewają godzinki.

Polska! Polacy! A wiecie, barany,
 Co to jest?... Dalej, złazić mi z tych lasek!...
 To jest najmiłszy kraj Bogu wybrany.
 Niż tutaj srebro, tam więcej wart piasek.
 — Złazicie, czy nie? Łby ośle! Bałwany!
 Czekacie, aż was przemierzy ten pasek? —
 — Polska!... By nie śnieg, co drogi zagrodził,
 Chrystus Pan byłby w Polsce się narodził!

Ale to nic jest! Wszak stoi w kolendzie,
 Że Polska w świątłach betleemskich stanie
 Nad narodami. Że z niej to się wszędzie
 Rozniesie, ono wiosenne śpiewanie
 Wolności świata. Że wyjdzie orędzie
 I nowy zakon narodom się stanie,
 Przez moc, co nie jest francuska, ni włoska,
 Ani angielska, ale jest moc boska!

Na klęczki, durnie! Bo o czem tu mowa,
 Tego na klęczkach słuchać wam, hołota!
 Polska... Polnego narodu królowa,
 Cała przetkana w kwiatuszki ze złota,
 Cała w łez srebrze, cała rubinowa
 Od krwi ofiarnej, co tam jest za wota...
 Boże! Po co ja gadam? Po co płacę?
 O Polsko, Polsko, kiedyż cię obaczę!...“

Buchnął z ambony szloch, opadła głowa
 Na pierś, ksiądz klęknął, jak przed sakramentem.
 Co obaczywszy, gromada też owa
 Runęła o ziem, z okrutnym lamentem.

Tak co niedziela grzmiała polska mowa,
Której nikt nie znał tu, w tem miejscu świętem,
Krom nas, a one poczciwe kudłacze
Aże ryczały płacząc, że ksiądz płacze.

Wnet zastłyneły niedzielne kazania
Księdza Błachoty szeroko po mieście.
Kościół zapchany od grania, do grania,
Cały w jedwabiach, wstęgach, w piór szeleście,
Ledwo ksiądz usta otwarł, już wzdychania,
Już ci łez pełne źrenice niewieście,
A choć tej mowy nikt w ząb nie rozumie,
Coś, jakby boży duch latało w tłumie.

On zaś, serdeczne kojący tęsknoście
O królu Sobku prawić, o Kościuszcze,
I własnej duszy wylewał wonnoście,
Na te mazurskie pola, Litwy kuszce,
Po głosu swego leciał złotym moście,
Zatokowany w Polsce, jak te głuszce,
Ze choćby biskup dzwonił od ołtarza,
Jako mszę dalej trzeba, — nic nie zważa.

A taka rzewność, takie miłowanie
W tym głosie jego, i taka otucha,
Jakbyś na Pańskie czekał Zmartwychwstanie,
Lub na Zielony dzień świętego Ducha.
Na złotych strunach, zda się, słyhać granie,
A kiedy człek się zapatrzy, zasłucha,
Nagle głos w trąby i w kotły uderza,
Z wielkanocnego jakoby moździerza.

Bój, bitwa. Niby stutysięczne działa,
Tak walą słowa, tak grzmiają działobitnie.
Powietrze warczy, ambona drży cała,
Namykaj głowy, bo kulka cię wytnie.
Aż z wrzátku ognia, dymów, wstaje chwała,
Jasna chorągiew nad hufcem wykwitnie,
Stają w jej blasku rycerze pancerni,
Aż do zabitej śmierci Polsce wierni.

Dopieroż radość, dopieroż gloryja,
 Dopieroż drżące na powietrzu ręce,
 I to spojrzanie, co niebo przebija,
 Wzniesione nad świat, wskrzeszony po męce.
 Naraz do chóru wyciąga się szyja:
 — Muzyka! Tryumf! Więc dalej w podzięcie
 (A był Chwalibóg, Polak, organista),
 Hukną organy: — Zawitaj Przepczysta...

To po kazaniu tem ksiądz, — sam widziałem —
 Szedł rozgorzały do bocznej kaplicy,
 I tam, przed krzyżem upadał powałem
 Twarzą w proch. Takiej zaśie nawałnicy
 Łzów, błagań, jęków, łkania, w życiu całym,
 Takiego gwałtu do Bogarodzicy
 Jeszczem nie słyszał. Choć przecie w Krakowie
 Mam brata księdzem. Balcerski się zowie.

Ale nad morze, pomiędzy węglarzy,
 Co pili w szynkach od rana, że święto,
 Schodził kapucyn młody, bladej twarzy,
 Z kapuzą nisko na czoło ściągniętą,
 Że tylko z pod niej ta bladeść się żarzy.
 Idąc, z nad trepków łyskał gołą piętą,
 Ręce w rękawach, u piersi krzyż mały,
 Szedł milcząc, tylko oczy mu gorzały.

Dopieroż w porcie, na galary czarne
 Wstępował, albo w zakotwione łodzie,
 A kiedy dzwony uderzyły farne,
 I gruch się zrobił w przybrzeżnym narodzie,
 Zaczynał głośno pacierz. To te marne
 Dziewki, co ich tam zapaść przy gospodzie,
 Klękały, chusty jaskrawe, czerwone,
 Narzucające na głowy shańbione.

Zaczem się ciśli kalecy, żebracy,
 Nędzna czarniawa, co obsiada morze,
 A ów, choć pacierz głuszyli mu ptacy,
 Z krzykiem się niosąc w powietrzne bezdroże

Cały pogrążon w dusznej swojej pracy,
Zrzuciwszy kaptur, to królestwo boże
Wielkim przyzywał głosem, i o chlebie
Proroczył głodnym, i o Ojcu w niebie

Sierotom. A ci rozbitowie świata,
Co się tak w nędzy i w brudzie zdziczyli,
Że brat tam nie jest bezpieczny od brata,
A puść ich w bory, jak wilcy-by wyli,
W zczerniałych twarzach dostawali kwiata
Tej rumianności pierwszej, co ich w chwili
Przyodmieniała, na dzieci, na syny
Powracające w ojcowskie dziedziny.

Niejeden wszakże, co wódką się bawił,
Pięścią wygrażał z gospody od proga:
— Ty tu co? Kto cię tutaj do nas wprawił?
Dasz mi to chleba, a dzieciom pieroga? —
Lecz mnich zarówno wszystkim błogosławił,
Wychudłe ręce wznoszący do Boga,
A głos się z wiatrem ponosił na morze:
— Czyńcie gwałt!... Gwałtu chce Królestwo boże.

.

Darmo ochylać. Na ładudze wrzało.
Że tylko patrzeć, jak lunie ukropem.
Nas tam nie gwałtem bractwo dopuszczało,
Alić się równo przewącha chłop z chłopem.
Dziś, jutro cości poczynać się miało,
Dziś, jutro miano ruszyć owym czopem,
Co go odkręcić łatwo, a niewiada,
Czyli i kiedy zakręcić się nada.

Ja sam nie jestem za rewolucyją
Choć powiadają o nas, słyszę nieraz,
Że my po świecie robim rebeliją,
Sam wagabundas-revolucioneras ¹⁾,

¹⁾ „Vagabundos-revolutioneros.“

Ale niech mi kto pcha jarzmo na szyję,
 Jak tu w galarach, abo w Minas-Geras,
 — Siarczyste! — uszów po sobie nie stulę,
 Jenó w garść plunę, i — choćby na kule!

Praca, to praca. Jakeś nie kaleka,
 Bierz się, a ostro. Takie boskie prawo.
 Ale jak człek się wypina nad człeka,
 Jeden u stoła, a drugi pod ławą,
 Na kość, na ochłap jaki, jak pies czeka,
 Nim głodne dzieci obdzielą tą strawą,
 — Hola od pola! To prawo jest — pieskie,
 Nie Adamowi dane! Nie niebieskie!

A węgiel właśnie trzymały tam szwaby,
 I szwabskie statki wpływały do doku.
 Powypasało się to, jak te schaby,
 Przed każdym sadło, by torba obroku,
 A do galarów, gdzie w pocie klną raby,
 Żaden nie zejdzie sam, ani pół kroku,
 Wierniki jeno, faktory, agenty.
 — Bogdajżeś sparciał raz, pludrze przekłęty!

Więc choć węglarki szły, lud czekał chwili,
 Coby mu karki wyprzęgła przetarte.
 Tak poruszeństwo tajemne robili,
 Stawiając wszystko na czarną tę kartę.
 Spuści ów głowy i czoła przechyli,
 Alić ponure oko trzyma wartę...
 A krzywdą swoją tak na moc złączeni,
 Że choćby papież stanął, — nie odmieni.

A morze jęło wichrować tej pory,
 Że chodził po niem jakby tuman siny,
 I rwał pian morskich strzępiaste paździoy,
 Co się rzucały przez mroczne głębiny.
 Ugasły blaski, ugasły kolory,
 Pospół zmieszane, jak pierwszej godziny
 Stworzenia, kiedy jasność wiekuista
 Jeszcze nie była od nocy do czysta

Separowana. Tak raz, wszystkie oczy
Obróciły się na statek nieznany,
Co się kołysał na morskiej roztocy,
Za wihrem, a był prosto na port gnany.
Patrzym, a ten się gwałtownie zatoczy
Jak chłop, co idzie od karczmy pijany,
To się zawściągnie, gdy skrzydła wiatr zwinie,
I jako wielki łabędź ku nam płynie.

Mnie się te chody nie dziwne wydały.
Ale ów morski naród, marynarze,
Powyrzeszczali te oczy, jak gały,
Czekają, rychło flaga się ukaże,
Rychło-li gruchną jakowe sygnały.
Lecz statek, w onych mocnych wichrów warze,
Jak ślepy pędzi, wali się, potyka,
Jakoby nie miał na sobie sternika.

Już blisko. Już nam w oczach rosną reje.
Powiało ku nam jakąś mętną trwogą...
Wtem widzim, flaga spuszczone czernieje
W pół masztu. Zresztą, nie widać nikogo.
Tak w krzyk: Na łodzie! Tam się coś źle dzieje!
Tam się coś stało strasznego z załogą!
Puści się czółno. Wtem powrzask dolata:
— To okręt moru! To Imakulata!

Za drągi kto żyw! Odpychać od brzegu!
W łodzie! Za wiosła, komu życie miłe! —
A już się z wiatrem woń trupia rozlega,
I już powietrze na brzeg leci zgniłe.
Lecz łódź za łodzią gwałtownie wybiega,
Nastawia drąga, kto w rękę ma siłę,
Płyną. Wszystkie się oczy z grozą wżarły
W statek, co niesie śmierć, a sam umarły.

Wiedziane było i w portach głoszone,
Że zarażony okręt morzem pływa.
Więc w którąkolwiek wiatr poniósł go stronę,
(Iż nie została na nim dusza żywa)

Bronił się każdy brzeg, i widmo one,
Co się tułało, jak mara straszliwa
Odpychał, żerdzie chwyciwszy i haki.
Lecz tutaj gorzej padło. Tu wiatr taki

Dął ku nam w żagle tej okropnej nawy,
Że ludzka siła nic przeciw. W godzinę
Wróciły łodzie z nieszczęsnej wyprawy.
Oblicza w ognjach całe, karki sine
Od żył napiętych, a w oczach żar krwawy,
Rozbici, choć się powiązali w linę,
Nie dosięgnęli korabia dragami,
Od strasznej woni w półmartwi już sami.

Wtem się pojawił Zabuda. Był blady.
— Po proch! Wsadzić!—zakrzyknął gwałtownie,
— Do mnie tu zuchy młode! Na bok, dziady!
— Łódź tęgą wybrać mi!—skoczą w prochnię,
Dźwigają skrzynię, lud słucha bez zwady.
Aż ów, smolistą narządziwszy głownię
Przyklął. No, księże! Daj absolucyją,
Niech mi się dyabli o duszę nie bija.

Lecz mnich na szyję padł mu, i ramiony
Objął. Chwilę słycać tylko łkanie.
— Bracie! Mój bracie! Tyś już rozgrzeszony...
Ty święty, bracie... Tyś jest...—Nie był w stanie
Więcej z tej strasznej powiedzieć ambony.
Wtem się Zabuda porwie, w łodzi stanie,
Chwycił za wiosło, spartł nogę o skrzynię
I łódź potężnie pchnąwszy, w śmierć swą plynie.

Wiatr przycichł. Ustał prawie dech w narodzie,
Pokłękli ludzie i odkryli głowy.
Rwało się kilku co młodszych na łodzie,
Lecz nie dopuścił mnich o tem ni mowy.
Ów zaś, u dzioba stojący na przodzie,
Wyprostowany i cały gromowy
— Niech żyje Polska!—krzyknie. To wołanie
Do dnia sądnego w uszach mi zostanie.

— Niech żyje!—Dajem odzew mu, co garła.
 Po wynędzniałych twarzach łyzy nam cieką,
 Że dusza z żalu prawie w nas zamarła.
 Już dalej, już go widać het, daleko...
 Łódź się wysoko na fale wywarła,
 I jak trumienne zaczerniała wieko.
 Zaś pada, chlusta morzem przez okraje
 I z pian, u wręgów dwu skrzydeł dostaje.

Znikła. Na pacierz może, albo mało
 Co więcej. Młotem serce w żebra dźwięka...
 Wtem błysk, huk, piorun. A słowo się stało!
 A przenaokrąwsza Chrystusowa męka!
 W ogniach się morze do nieba porwało,
 Szczekła przepaści straszliwa paszczeka,
 I nic. I cicho. A ów Bezimienny
 Wleciał wstrzelony wprost w raj,—ptak płomienny.

Lud zmartwiał, jakąś zimną zgrozą zdjęty.
 Zaślepiły prawie źrenice zżarzone,
 Aż pierwsze baby buchnęły w lamenty,
 Jakby im dziecko ginęło rodzone,
 Lecz mnich, zbożały całkiem, całkiem święty,
 Krzyżem złe dymy przeganiał na stronę,
 Co się rozwlokły ciężko, by całuny,
 Dokoła onej piorunowej truny.

Dopiero kiedy opadły do czysta,
 Ludzie co nieco pojrzeli po sobie.
 I zaraz wielka modrość i srebrzysta
 Jęła promienieć po onej żałobie.
 — Niechże wam będzie światłość wiekuista,
 Coście zginęli tu, w ognistym grobie,
 Póki was hejnał anielski nie zbudzi!
 A nam do życia trza wracać, do ludzi.

.....

Tak my w cichości szli, jakby z Golgoty,
 A coś wielkiego nosiło się drogą.
 Cień, nie cień, jakby grot tam błyskał złoty,
 Jakby zbroica dźwiękała z ostrogą,

Jakby gdzieś w pyłach szły tętniące rotę,
 Żem raz i drugi pojrzał—a nikogo!
 Wiera, musiały wstać rycerskie mary
 Z czynu Zabudy i z jego ofiary.

Musiał tam sąd być na tego szlachcica,
 Co po szynkowniach walał swe szlachectwo,
 Aż nagle rozbłysł, jak roratna świca,
 I klejnotowi dał ognia świadectwo.
 Więc mu rycerska oddana przyłbica,
 Gdy krwawa pieczęć zamknęła już śledztwo,
 I w tarczę jego żelazna znów ręka
 Mieczem uderza, a tarcza nie pęka.

Takem se dumał, gdy wtem Filip Bania,
 Traści mnie łokciem w biedro i tak powie:
 — A ten odmieniec znów nocą się ślania
 Koło bud naszych. To przyległ dziś w rowie,
 Jak wąż, i czyhał prawie do świtania,
 Ale że w budzie świecili Stachowie,
 Bo dziecko cości chorzało.—Tak rzekę:
 — A pluder! Już ja go wezmę w opiekę

Sękaczem moim! Tego jeszcze trzeba,
 Żeby do naszej zarobnej krwawicy,
 Do czynionego potem naszym chleba,
 Niewiasty nasze im szły do łożnicy!
 Jużby nad nami nie było też nieba,
 Ani tej bożej nad ziemią prawicy,
 Żeby my... tutaj... po szwabach... bękarty...
 Słysz, bracie. Dzisiaj my oba na warty,

A Roch Zatrata trzeci. Zgoda?—Zgoda.
 Ścisnąłem w garści kij, gdy wtem, zdaleka,
 Właśnie jak kiedy rozszumi się woda,
 I z bulgotaniem przez śluzy ucieka,
 Gdy świętojanka popędu jej doda,
 Taki się bliżył gwar. Alić nie rzeka
 To była, jeno podniosły stawidła
 Dwie gębie, młyńskie obracając skrzydła:

O tobie mówię i do ciebie piję,
 Magier, co byłeś szlachecciem od rodu,
 A teraz nosisz starganą deliję,
 Iż cię nie kryje ni z tyłu, ni z przodu.
 Za ladą siedzisz, masz kancelaryję,
 W progę się przygarść zebrała narodu,
 Ty piszesz listy, skargi. Furczą słowa,
 A pióro skrzypi, by dusza czyścowa.

Tyś jest ten rajca, który tu zażywa
 Dufności ludzkiej i tabaki z roga,
 Czyli więc wdowa przyjdzie nieszczęśliwa,
 Czyli sierota stanie wedle proga,
 Czy chłop się Wojtek, czy Bartek nazywa,
 Czyli sam dyabeł przez drzwi wsadzi roga,
 Każdy grosz płaci z twojego uczynku,
 Ty grosze zbierasz i niesiesz do szynku.

Naprzeciw Żdżara. Ten pustki ma w budzie,
 Ale krogulczy nos wysoko nosi.
 W pychę szlachecką dmie, to stronią ludzie,
 I mało który ku niemu się głosi.
 Temu rzemiosło idzie, jak wóz w grudzie,
 A płaszcz, (ze trzema peleryny cosi),
 Skórę mu tylko nakrywa i kości.
 Tak siedząc, dziw się nie rozpuknie z złości.

Aż-ci nie może dłużej. Pióro ciska,
 Wstaje, odwala stołka, drzwiami trzaska,
 W wielki nos dmucha, odsadza wąsiska,
 Na granatowym płaszczu ściąga paska,
 (Iż mu zakłęśła pierś golizną łyska),
 I huknie z proga: -- A co waść, u dyaska,
 Będziesz tu chłopstwu ferował procesy?
 Mnie waść pisz skargę! Ja też sięgnę kiesy!

Pisz waść! Dyktuję: — Jak słońce na niebie,
 Tak poprzysięgam przed Bogiem i Sądem,
 Żem w narodowej zastawił potrzebie
 Część mą szlachecką, ze strugą i lądem,

A niech mnie ziemia żywego zagrzebie,
 Niechaj zaraza obielei mnie trądem,
 Jeśli nieprawda jest! — Tu huknie pięścią,
 — A Magier ze mną graniczył swą częścią.

Lecz ów już porwał się, i stał za stołem,
 Jak ówik czerwony i oburącz wsparty,
 — To co?—zawrzaśnie—To ja część połknąłem?
 Wody ze strugi upiłem dwie kwarty?
 To ja w łąd waścin worałem się wołem?
 Tu zsiniał, iż był choleryk zażarty —
 — Staw świadków! Świadców, krętaczu przekłety!
 I na stół mi tu doku... dokumenty!

Zatchnął się z pasyi, a na kark mu żyły
 Wyszły drgające i grube na palec.
 Wtem wpadnie Żdżara:—A, wężu zawily,
 Ja ci dokument... Jak chwyce kawalec
 Draga! To twoje te trzy grusze były?
 Twój kamień w miedzy? A chytry padalec!
 Dawnoś mi zadre w wątrobie zahaczył...
 Zagrześć mnie chciałeś, jeno Bóg nie raczył!

Świadców chcesz? Ja ci tutaj całą ławą
 Postawię świadków, którzy wtedy żyli!
 Mam ja na ciebie zatajone prawo
 Pod mogiłami! To będą psi wyli—
 Jak moje świadki procesyją krwawą
 Wyjdą mi świadczyć, jako ze mną byli
 Razem, pod Glinką, w kurpiowskiej partyi,
 A waśc w pierzynies siedział, aż do szyi!

Tfu! Tchórz! Niegodzien klejnotu szlachcica!
 Z przechrztów waśc musisz być!—Lecz ów się zbiesił.
 Ognie mu żywe bić jęły przez lica,
 Rogatą czapę na łysy łeb wmiesił,
 I huknął, mało mu nie trzała grdyca:
 — A żebyś mi tu Piotrowina wskrzesił,
 Łziesz! A ja lepszy katolik od ciebie!
 Ty w piekle będziesz siedział, a ja w niebie!

— Co? — wrzaśnie Zdżara — a nie wisi u mnie
Nad szafą pismo Ojców Bernadynów,
Oprawne za szkłem, co je sobie w trumnie
Dam zamknąć, (jużem tak poprzysiągł synów,
A zaś dębowa trumna stoi w gumnie),
Jako rozgrzeszon jestem z wszelkich czynów,
Coby mi drogę grodziły do nieba?
A w czyścju — tylko pół dnia mi być trzeba!

Za to — co będę skrywał? — żem z tych gruszy,
Łońskiego roku nie dał dziesięciny,
A konwent rado ulegałki suszy
W barszcz, na suchedni. Więc mnie Bernadyny,
A raczej Gwardyan — obciążył na duszy,
Iż muszę w czyścju pół dnia z tej przyczyny
Być. Ale mogę umierać z otuchą,
Bo mszę odprawi sam. Przrzekł na ucho.

Tu parskanie Magier: — To co? Tu jest morze,
A waćcin papier w łomżyńskim zaścianku!
Więc cóż tu waćci świadectwo pomoże,
Przy tym gromnicznym, śmiertelnym kaganku?
Wać w niebo, a tu święty Piotr: — Otworzę,
Jak mi świadectwo przyniesiesz kochanku! —
Tak wać z powrotem, iż to tam nie żarty,
Na okręt, a tu — hola, bez szyfkarty!

Ha! Ha! Ha! — śmiał się. Lecz Zdżara doskoczył,
Za gardziel chwycił go i trzął jak gruszą,
Że czapa spadła i łeb się zatoczył.
Sam zasie Magier prawie żygnął duszą.
Rzęży... Lecz Zdżara żółcią tak się zmroczył,
Że byłby zdusił. Więc ludzie się ruszą,
Rozerwą garście, aż z tej batalii,
W jednej szmat płaszcza, a w drugiej — delii.

Z dziejów agrarnych Polski.

I.

Alle Kulturgeschichte findet ihre Anfänge und Grundlagen in den Agrarverhältnissen und nur von ihnen aus erkennen wir den allgemeinen Zusammenhang der allmählichen Fortschritte der Menschheit.

Meitzen Siedel. und Agrar., tom I, str. 1.

Zywszy rozwój literatury agronomicznej bywał zawsze rezultatem ożywienia się produkcji rolnej, zainteresowania się nią szerszych warstw społecznych. Literatura rolnicza grecka, a zwłaszcza rzymska z ostatnich stuleci przed upadkiem Rzeczypospolitej i pierwszych wieków Cesarstwa doszła i ilościowo i jakościowo do bardzo wysokiego stopnia rozwoju, będąc wymownym dowodem, jak wysoko w epoce klasycznej stało rolnictwo u ludów Grecyi i Włoch. W miarę chylenia się do upadku świata starożytnego, w miarę cofania się południowej i zachodniej Europy w kulturalnym i ekonomicznym rozwoju, zaczęło się i rolnictwo, a z niem i agronomiczna literatura chylić do upadku. Nowi zdobywcy dawnych rzymskich prowincyj, Germanie, nie mieli zamiłowania do rolnictwa, czuli raczej do niego pogardę, pozostawiając je początkowo kobietom, starcom i niewolnikom. Zresztą i burzliwa epoka ciągłych wojen, najazdów i wędrówek ludów nie mogła dodatnio wpływać na rozwój rolnictwa. Dopiero genialna, wszechstronna działalność Karola Wielkiego, na krótko wskrzesiwszy nawpół już zamarłą klasyczną kulturę, odbiła się ożywczo na rolnictwie. Sam cesarz, jak wiadomo, był znakomitym administratorem swych domenów, a jego sławny „Capitulare de villes,”

pozostanie nazawsze dla historii rolnictwa jednym z najcenniejszych zabytków. Ponieważ przez całe prawie średniowiecze rolnictwo europejskie, nie ciesząc się uznaniem rycerstwa, spoczywające na barkach chłopów i drobnych dzierżawców, znajdowało się w upadku, więc i literatura agronomiczna z tej epoki odznacza się nadzwyczajnem ubóstwem. Nawet Francya aż do wieku XVI-go nie mogła się pochwalić oryginalnem dziełem rolniczym. Tylko Włochy i Anglia, które tak znacznie wyprzedziły resztę Europy w ekonomicznym rozwoju, posiadały podręczniki rolnicze już w wieku XIII. Za czasów króla Edwarda I powstało w Anglii „Fleta,” dzieło, które zawdzięcza swą nazwę imieniu londyńskiego więzienia, w którym prawdopodobnie ułożył je anonimowy autor. „Fleta” w układzie swym wzorowana na dziełach rzymskich agronomów, miała służyć dla rolników angielskich jakby za „Vade mecum” wiedzy rolniczej i dać im wskazówki potrzebne do zarządzania majątkiem ziemskim. Czytelnik więc znajdował w niej wskazówki i co do tego, jak należy opisać granice majątku i co do tego, jak zrobić opis żywego i martwego inwentarza, dowiadywał się, co wchodzi w zakres obowiązków oficyalistów wiejskich, a więc senenalów, zarządzających całemi kluczami, praepositów, prowadzących gospodarstwo w poszczególnych folwarkach, nakoniec włodarzy (*villein lenant*). Fleta daje dalej dokładny obraz pracy, jaka kipiała na folwarku w dnie przeznaczone na robocizny, jest też nadzwyczaj cennem źródłem do poznania stosunków agrarnych, panujących w Anglii w wieku XVI. Do czasów Edwarda II odnosi się najstarsza kopia innego angielskiego podręcznika agronomicznego, napisanego w narzeczu normańsko-francuskim i później przełożonego na łacinę, mianowicie „*La Dite de Hosbanderye*” Waltera de Henley. Liczne kopie dzieła Henley, jakie dochowały się do naszych czasów, dowodzą, że aż do wieku XVI, to jest do ukazania się pracy Fitzherbert’a, było ono powszechnie w Anglii używanym podręcznikiem rolniczym. Rogers uważa Hosbanderye za najstarsze angielskie dzieło rolnicze i powstanie jego odnosi do pierwszej połowy wieku XIII.

Włochy również już w wieku XIII poszczycić się mogły dobrym podręcznikiem rolniczym. Zawdzięczały go senatorowi i obywatelowi bolońskiemu Piotrowi de Crescens (*de Crescentis*), który pod tytułem „*Liber ruralium commodorum*” poświęcił go królowi sycylijskiemu Karolowi II. Do napisania dzieła Crescencyusz, jak to z dumą zaznacza, przygotowywał się trzydziestoletniemi podróżami, studyowaniem logiki, historii naturalnej, medycyny, prawa, nakoniec czytaniem autorów współczesnych i starożytnych.

Podobnie, jak autor angielskiej Flety, trzymał się i Crescencyusz w planie swego dzieła wzorów starożytnych; a więc początek 12-stoksiążkowego podręcznika zaczynał się, jak u Columelli, od wskazówek, gdzie należy wybrać miejsce na dom i folwark, jak dwór należy zbudować; dalej szły rozdziały o „naturze roślin,“ o uprawie pól, o winnicach, ogrodach, łąkach, lasach, hodowli bydła; w księdze 12-iej znajdował się „commemoratio de hiis omnibus, quae singulis mensibus sunt in rure agenda,“ słowem tak ulubiony niegdyś kalendarz rolniczy. Dzieło Crescencyusza zyskało sobie wszech europejską sławę; w roku 1471 ogłoszono je drukiem w oryginale poraz pierwszy. Tłómaczono je na język francuski, niemiecki, nakoniec polski przekład pióra Trzecieckiego ukazał się w druku 1542 roku, później poraz drugi w roku 1571.

Ożywiony ruch na polu literatury agronomicznej rozpoczął się jednak w Europie dopiero w wieku XV i do większego rozwoju doszedł w XVI stuleciu. Zarówno we Francyi, Hiszpanii, Anglii, jak i w Niemczech i Polsce, zaczynają się ukazywać najpierw liczne tłómaczenia rzymskich autorów, później zjawiają się kompilacye, nakoniec oryginalne rolnicze podręczniki. Na to ożywienie ruchu na polu literatury rolniczej wpłynął z jednej strony wynalazek druku, który tak kolosalny wpływ wywarł na całe piśmiennictwo, z drugiej—nie pozostała bez znaczenia i ta okoliczność, iż był to właśnie okres, w którym szlachta stałego kontynentu, dotąd z pewną pogardą patrząca na uprawę roli, zaczęła się brać do intensywnej, samodzielnej gospodarki, skwapliwie wyzyskując podniesienie cen zboża na rynkach europejskich. Ale szlachta oczywiście odczuwała silny brak rolniczej wiedzy, bez której trudno było gospodarować nawet w szesnastym stuleciu. Zaczęto na wszystkie strony oglądać się, skądby można zaczerpnąć niezbędnych wiadomości; podpatrywano, jak gospodarują, jedyni naówczas doświadczeni rolnicy, chłopci,¹⁾ zwrócono się oczywiście i do literatury klasycznej, w której wówczas, w czasie odrodzenia, starano się znaleźć środki do zaradzenia wszystkim cierpieniom zarówno ciała, jak i duszy. Wertowano wielkich staro-

¹⁾ Nasz Gostomski, jak zobaczymy, radził swym czytelnikom uczyć się gospodarstwa od doświadczonych kmieci; Śluzak, ksiądz Grossern, współczesny mu prawie, napisał ku pożytkowi „junkrów“ swe dziełko, a oparł się przy jego pisaniu na obserwowaniu gospodarki śląskich chłopów, wśród których przeżył długie lata, jako proboszcz.

żytnych agronomów Catona, Varrona, Paladiusa i przede wszystkim Collumellę i znajdowano w nich nie tylko ogromny materiał fachowy, będący rezultatem wiekowych doświadczeń, wiekowej pracy, ale jednocześnie i idealizację rolnictwa, która im miała osłodzić zmianę dawnej beczynności, rozboju i wojny na mozolniejszą bądź co bądź pracę na folwarku. Ale pisarze rzymscy, pomimo całej swej wartości, nie mogli uczynić zadość wzrastającej potrzebie wiedzy agronomicznej. Wszakże największy ze starożytnych agronomów, Collumella, usprawiedliwiając się przed czytelnikami, iż wziął się do napisania nowego dzieła, pomimo iż istnieje tyle świetnych traktatów, w których znajdzie się więcej „*quae nobis probanda est, quam quae repudianda*,” przypomina jednak, iż z biegiem czasu w każdym kraju zmienia się klimat, a ze zmianą klimatu „*mutatum coeli*” musi uprawa roli ulegać zmianom. Tenże sam Collumella zwraca uwagę, że tylko z największą ostrożnością można iść za wskazówkami obcych pisarzy, gdyż „*solum, coelumque diversae naturae nequent eodem proventus habere*.” To też samo przestudyowanie autorów starożytnych musiało żądnych wiedzy rolników epoki renesansu doprowadzić do przekonania, iż nie zawsze można iść za wskazówkami rzymskich agronomów i skłonić do poszukiwania oryginalnych do miejscowych warunków zastosowanych podręczników. Autor najstarszego oryginalnego niemieckiego podręcznika rolniczego ksiądz Marcin Grossern z Szewicz pod Wrocławiem, idąc śladami Collumelli, tłumaczył swym czytelnikom — „*junkrom*,” iż „*ob schon viel Bücher dieser Art in allerley Sprachen aussgangen, so sind doch die meisten oder das meiste darinnen, wie man saget.. Neque coeli nostri neque soli nostri*.” Nie dziwnego, że wydawcy i w szesnastym stuleciu odczuwający dobrze gusta i potrzeby czytającej publiczności, nie ograniczając się do tłumaczeń, zaczęli zabiegać o dzieła rolnicze oryginalne, lub przynajmniej o dobrze do warunków miejscowych zastosowane kompilacje.

Więc we Francji w środku wieku szesnastego lekarz Charles Etienne pisze swój własny podręcznik „*Maison rustique*,” drukowany poraz pierwszy w roku 1554, wkrótce przełożony na język niemiecki, przedrukowywany wielokrotnie w ciągu wieku szesnastego i siedemnastego zarówno po łacinie, jak i po francusku; w końcu szesnastego stulecia zjawiają się we Francji wybitne prace rolnicze Pybrac'a i Olivier de Serres. Szesnaste stulecie przyniosło i Anglii wielkiego agronoma Sir Anthony Filherberta, autora „*The Book of Husbandry*,” który z wielką przenikliwością wykazał pierwszy niebezpieczeństwo, jakie grozi rolnictwu an-

gielskiemu z powodu niepewności dzierżaw. W tym też czasie w Hiszpanii arcybiskup Toledo Alfons de Herrera pisze kompilację rolniczą, która zyskuje sobie prawa obywatelskie nawet we Włoszech. Ruch na polu literatury agronomicznej rozwinął się w Niemczech nieco później, niż we Francyi i Anglii. Wprawdzie z tłoczni niemieckich wychodzą już w środku wieku szesnastego książki rolnicze, lub stojące z rolnictwem w bliskim związku, nieraz nawet wspianiale wydane,¹⁾ ale są to jedynie tłómaczenia, lub co najwyżej kompilacje. Dopiero 1571 roku ukazuje się dzieło westfalczyka, adwokata Heresbacha, pod tytułem: „De re rustica.“ Traktuje ono wyłącznie stosunki, które panowały nad Renem, a zawiera tyle cennych informacji, iż jeden z historyków niemieckiego rolnictwa, Langethal, przedstawił na jego zasadzie stan nadreńskiego rolnictwa w końcu szesnastego stulecia. Dzieło Heresbacha napisane jest po łacinie, a pod względem planu wzoruje się, podobnie zresztą jak Crescencyusz i Étienne, na traktatach rzymskich. Pierwsze ściśle oryginalne i po niemiecku napisane książki rolnicze zawdzięczają Niemcy dwom duchownym ślązkim, Grosseinowi i Collerowi. Obaj mieszkali na wsi, obaj zajmowali się rolnictwem, to też doskonale byli poinformowani o stanie rolnictwa w swej ojczyźnie i obaj pozostaną na zawsze ważnem źródłem historycznem.²⁾ Dla nas w danej chwili szczególne znaczenie ma dziełko księdza Grosserna. Będąc przez lat 25 proboszczem w Szewiczach, w wiosce, która jakkolwiek była naówczas zgermanizowaną, leżała jednak w niezupełnie zniemczonej okolicy, poznał on dokładnie gospodarkę chłopów z pod Wrocławia; był też obznajmiony ze zwyczajami panującymi w Niskiem i Strzeleńskiem. Sposób uprawy ziemi, nawet przesady gospodarskie ludności wiejskiej, zgłębił dokładnie, opisał również szczegółowo narzędzia rolnicze, jakich chłopci naówczas używali, to też jest on niezrównanem źródłem, do poznania stanu rolnictwa na Śląsku w wieku szesnastym, a ponieważ, pomimo wszystkiego, gospodarka prowadzona podówczas na Śląsku nie wiele różniła się od polskiej, więc Grossern może niejednokrotnie przyczynić się do roz-

¹⁾ Za przykład tego rodzaju może służyć znajdujący się w Lipskiej Uniwersyteckiej bibliotece „Lustgarten der Gesundheit,“ wydany w roku 1517 we Frankfurcie.

²⁾ Coller był autorem pierwszego niemieckiego kalendarza rolniczego, który ukazał się poraz pierwszy w roku 1591. W dwa lata później wyszła z druku jego „Oeconomia oder Hausbuch.“ zob. Goltz., tom I, str. 296.

wiązania wątpliwości, w jakie stawiają historyka polskiego nasze niezawsze jasne źródła. Od współczesnych podręczników francuskich i niemieckich różni się znacznie dziełko Grosserna; napisane bez erudycji, nie przeładowane cytataми z autorów rzymskich, jest ono oryginalne zarówno w swej formie i treści i najbardziej pokrewne „Notatom Gospodarskim“ Gostomskiego, mającym być przedmiotem naszego studyum.¹⁾

Literatura rolnicza polska w wieku XVI-tym nie pozostała bynajmniej w tyle za niemiecką. I u nas wówczas rozwinął się na tem polu duży ruch wydawniczy.²⁾ Jak wiemy, już w r. 1542 ukazało się w tłumaczeniu Jędrzeja Trzycieskiego dzieło Piotra de Crescentis pod tytułem „Piotra Crescentyna księgi o gospodarstwie.“ Tłumaczenie to jednak dużo pozostawiało do życzenia. Wkrótce znaleźli się w Polsce ludzie, którzy w mniej lub więcej oryginalnych dziełach zaczęli zaznajamiać swych rodaków z poszczególnymi gałęziami gospodarstwa rolnego. Erazm Gliczner 1558 r. wydał „Naukę y Praktykę,“ w której zebrał znamiona, umożliwiające odróżnienie roku złego od dobrego. W roku 1558 ukazała się książeczka Micińskiego o przyswajaniu dzikich koni.³⁾ Większe znaczenie dla współczesnych rolników mogła mieć niewątpliwie praca Strumińskiego, pouczająca o urządzaniu gospodarstwa rybnego, tudzież o osuszaniu gruntów i sprowadzaniu wody.⁴⁾ Pomimo tych dziełek specjalnych, pomimo tłumaczeń „Crescentyna,“ odczuwała szlachta polska brak podręcznika, któryby zawierał rady, odnoszące się do wszystkich gałęzi gospodarstwa, zastosowane do warunków miejscowych. O wydaniu takiego dziełka przemysliwał krakowski wydawca Jakób Siebeneher. Rozumiał on dobrze, czego czytelnikom polskim potrzeba, a znając prawdopodobnie zagraniczne podręczniki, szukał książki,

1) Dziełko Grosserna należy obecnie do wielkich rzadkości bibliograficznych; egzemplarz, z którego korzystaliśmy, należy do biblioteki uniwersyteckiej w Getyndze.

2) Dostyć dokładny wykaz książek polskich treści agronomicznej, jakie się ukazały w wieku szesnastym, znaleźć można u J. A. Kamińskiego „Piśmiennictwo polskie rolnicze i technologiczne od roku 1549 do 1835.“ Lwów 1836. Egzemplarz tej rzadkiej książeczki posiada biblioteka Jagiellońska. Literatura rolnicza polska zebrana jest także w 10-tym tomie „Literatury Polskiej“ Wiszniewskiego str. 575 i następne.

3) Książeczka ta nosi tytuł: „O Swierzopach i ograch.“

4) „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybnieniu stawów, także o przekopach i o sprowadzaniu wody,“ Kraków, 1573.

w którejby było i o uprawie roli, i „o stad i bydła rozmnażaniu,“ i „o stawów kopaniu,“ i „miodów syceniu,“ i „sadów wymierzaniu, i szczepieniu, i mnożeniu,“ i o „prowadzeniu wód zdala,“ i „budowaniu domów“¹⁾ jednym słowem o takiej praktycznej encyklopedyi w swoim rodzaju, jaką było i dzieło Piotra de Crescentis, i „Maison rustique“ Charles Etienne, i tak liczne w szesnastym stuleciu kompilacye. Ale podobnego dzieła nie znalazł w Polsce Siebeneiher, dopiero w siedemnastym wieku ukazały się u nas tego rodzaju „Gospodarstwa“ i „Oekonomie generalne,“²⁾ nasz księgarz krakowski musiał się ograniczyć do wydania „Inwentarza domowego“ czyli „Gospodarstwa“ z rękopisu Anzelma Gostomskiego, wojewody rawskiego, dostarczonego mu przez sławnego d-ra Oczko.

II.

Pan Anzelm Gostomski nie był człowiekiem pióra. Życie dzielił pomiędzy lemiesz i oręż. „W młodości swej rotę długo na pograniczu wodził, królom, panom swym, do ostatniego żywota swego punktu żadnej posługi nie omieszkując, którym sposobem majątność pomnożył.“³⁾ Rolnictwo uprawiał wojewoda z zamiłowaniem, był bowiem podobno zdania, „iż dobre żołnierstwo i dobry dwór, ale pług w domu jeśli go nie wspiera, słabo bardzo iść musi, chyba żeby mu fortuna łaską jaką osobliwą z nieba poświeciła.“ W kraju miał Gostomski opinię człowieka, który umie gospodarować wzorowo; każdego, kto wszedł do jego domu miało uderzać, że wszystko tam na urząd, wszystko do oszczędności, a do pożytku.“⁴⁾ Nie każdemu oczywiście danym było oglądać dom pana wojewody i na miejscu podziwiać jego rzadność. Ale bliżsi i dalsi sąsiedzi mieli sposobność słyszenia nieraz o bogactwach, jakie miał zdobyć wojewoda w ciągu pracowitego ży-

¹⁾ „Gospodarstwo,“ wstęp do wydania I w edycyi Radwańskiego, za tytułowanej „Notaty gospodarskie,“ str. 42 tekstu.

²⁾ Wielką sławę cieszyła się w siedemnastym stuleciu parokrotnie drukowana „Oekonomia Generalna“ J. K. Haura.

³⁾ Notaty Gospodarskie: Przedmowa J. Siebeneihera, str. 41.

⁴⁾ Not. Gos., str. 41. Grochowski w wierszu, umieszczonym na czele pierwszego wydania „Gospodarstwa“ Gostomskiego, nazywa naszego wojewodę „tęgim gospodarzem.“

wota. Szeroko niezawodnie rozpowiadała w Polsce szlachecka brać o tem, jak wojewoda przez swe życie „pomnożon był“ nie tylko „w trzodach, stadach, ale w wszelkich gromadach ludzi sobie poddanych,“ jak „przykupił synom imienia“ i córkom posagi dał wielkie, a pomimo to zostały mu się jeszcze ogromne kapitały.¹⁾ W owej epoce w Polsce, a nawet i na Zachodzie dobrzy, rządni rolnicy nie byli często spotykanem zjawiskiem. Tak jak ksiądz Marcina Grosserna prosili okoliczni „junkrzy“ ślączy, by podzielił się z nimi swem doświadczeniem i napisał im podręcznik rolniczy „Elemental oder A. b. c. Büchlein der Landtwirtschaft,“ tak i „przyjaciele i słudzy pana Anzelma uprosili go, aby za łatwiejszemi godzinami listów albo kart kilkanaście Dozoru domowego napisać kazał.“

Wojewoda przychylił się do życzenia przyjaciół, którego spełnienie mogło być pożyteczne i dla jego własnych oficyalistów v. „urzędników“ i przystąpił do przygotowania materiału, z którego mogłaby powstać polska „Oekonomia,“ godna stanąć obok dzieł „Krescentyna“ i Etienne. Gostomski, chociaż był przedewszystkiem rolnikiem-praktykiem, chociaż uważał, że rolnikowi potrzebne jest doświadczenie więcej niż teoretyczna wiedza, nie był obcy literaturze agronomicznej. Można być pewnym, że znał Columellę, niewątpliwie nie obcą mu była i księga Krescentyna już od lat kilkunastu przyswojona polskiej literaturze, wiedział więc dobrze podług jakiego planu układają się podręczniki rolnicze i cę się w nich zawierać powinno. Większość starożytnych i średnio-wiecznych ksiąg rolniczych zaczynała się od opisu idealnego folwarku i domu, następnie uczyła o obowiązkach i zakresie władzy dworskich oficyalistów, dalej podawała tak zwany kalendarz rolniczy i specjalnie zatrzymywała się nad poszczególnemi działami wiejskiej gospodarki. Tego planu zamierzał się widocznie trzymać Gostomski i dyktując swym dworzanom gospodarskie notaty, starał się je układać według zwykłego szematu. Bójąc się czegokolwiek zapomnieć, wojewoda dyktował jednak wszystko, co mu na myśl przyszło, często zapominając o powziętym planie. Bardzo wiele notat zapisanych zostało, jeśli się tak można wyrazić, na gorąco, pod wrażeniem zwiedzenia jakiejś części gospodarstwa lub przeczytania raportu wiejskiego.²⁾ Wiele notat

¹⁾ Po śmierci wojewody miało pozostać 400,000 zł. Not. Gos., str. 41.

²⁾ Tak np. w liście 6-ym znajdujemy taką notatę: „Experyencya. Pan przyjechał do folwarków, młynarskie świnie zastał u kapłunów, a młynarz

urywa się prawie w połowie zdania. Ale też prawie wszystkie notaty stanowiły dopiero surowy materiał, z którego miał powstać starannie obrobiony podręcznik.

Jakby wyglądało dzieło Gostomskiego, gdyby mu się udało doprowadzić swój plan do końca, możemy wnosić z jedyne go kompletnie wykończonego ustępu, zatytułowanego „Ziemianin,“ który jakkolwiek pełen reminiscencyj z Columelli, jest najzupełniej zastosowany do ojczystych warunków i odznacza się przedziwnym stylem.¹⁾ Wojewoda przywiązać się musiał powoli do swego przygotowywanego dzieła, to też przed śmiercią, widząc, że już nie zdąży wykończyć go i obrobić, wręczył nieuporządkowany rękopis Oczce w nadziei zapewne, że uczony doktor zrobi to, czego jemu nie było już danem wykonać. Ale Oczce nie musiało zależyć na losie pozostawionego manuskryptu; na życzenie Jakóba Gostomskiego, syna zmarłego wojewody, oddał rękopis Siebeneiherowi, ale nie uporządkował go, ani nie przerobił. Nie wiemy, niestety, kiedy zaczął wojewoda Gostomski zbierać materiały do swego dziełka, nie wiemy daty śmierci naszego agronoma, ale ponieważ pierwsze wydanie „Gospodarstwa“ ukazało się w r. 1588, pan Anzelm zaś według Niesieckiego dopiero w roku 1583 otrzymał krzesło wojewódzkie, ponieważ jak się zdaje, zajmował się swem dziełem do samej śmierci, mamy prawo przypuszczać, że materiały swe zbierał nasz senator jeszcze pomiędzy latami 1583—1588, a więc prawie w tych samych latach, w których na sąsiednim Ślązku ks. Coller i ks. Grossern przygotowywali swe agromiczne prace.²⁾

„Gospodarstwo“ Gostomskiego w tej formie, w jakiej je przechowało wydanie Sibeneihera, podzielone zostało na 16 listów.

dziury nie zaprawił“ Not. Gos. str. 40. Naogół historia powstania „Notat“ Gostomskiego przypomina bardzo dzieje Katonowego „De re rustica,“ zobacz „Gummens Der römische Gutsbetrieb“ i t. d., str. 16.

¹⁾ Tak np. Columella w rozdziale IV książki I-szej mówi, że „pater familias quam optime debet habitare,“ że dom ma być zbudowany „elegantier“ i „in saluberrima parte regionis,“ w miejscu, w którym „aercalore et frigore temperatus.“ U Gostomskiego: „niech ma dom swój, a gotowy rzładnie rozmiarzony, na moc zbudowany, a ochędożny w zdrowym placu... kształtnie postawiony... w nim gmachy... zimie ciche lecie chłodne.“ Columella żąda przy „villi“ „fons perennis,“ Gostomski mówi: „w środku podwórza woda rzładna“ (N. G. 106).

²⁾ Jan Radwański w swem wydaniu „Notat Gospodarskich“ przypuszcza, że napisane były pomiędzy latami 1560—1570, przypuszczenia tego jednak nie uzasadnia, str. 1.

Trudno wysledzić obecnie komu zawdzięczamy ten podział, który niezupełnie odpowiada treści samego dzieła. Gdybyśmy chcieli wydzielić w „Gospodarstwie“ jego składowe części, musielibyśmy cały zawarty w niem materiał rozdzielić na 4 grupy. A mianowicie: 1) autentyczne niezawodnie wskazówki t.j. „nauki,“ jakie posyłał wojewoda swym oficyalistom poszczególnych folwarków, a więc przede wszystkim „urzędnikom,“¹⁾ dalej klucznikom, gospodyniom wiejskim, młynarzom i piwowarom; 2) luźne notatki, jako to: „Rząd w miasteczkach ziemiańskich na krótkce zebrany,“ dalej „Porządek około gaszenia,“ „Porządek około powietrza,“ „Pamięć do skutku porządnego ładunku;“ 3) do trzeciej grupy można zaliczyć notaty robione już z myślą o „Gospodarstwie,“ przeznaczonem dla szerszego koła czytelników i grupowane według zwykłego szematu współczesnych książek rolniczych, a więc listy zatytułowane „jesień,“ „zima,“ „wiosna,“ „lato,“ dalej tak zwane „Zapowiedzi,“ t. j. jakby szemat ustawy wiejskiej, wyliczenie wszystkich czynszów i danin, jakie pobierane bywają od chłopów, wyszczególnienie wszystkich pozycyj, jakie znaleźć się powinny w „liczbie dorocznej;“ 4) ostatnią nakoniec grupę stanowi już zupełnie wykończony ustęp, zatytułowany „Ziemianin,“ o którym wspominaliśmy. Pomimo, że jak widzimy, dziełko Gostomskiego było raczej brulionem, niż wykończonym podręcznikiem, pomimo całej swej chaotyczności, niejasności i niedomówień, było tak na czasie, iż cały nakład rozszedł się szybko.

W roku 1606 sukcesorowie Jakóba Siebeneihera przystąpili już do drugiego wydania, ponieważ „egzemplarzów wydania pierwszego już dawniej nie stało.“ Pierwsze dwa wydania dziełka Gostomskiego²⁾ nosiły tytuł „Gospodarstwo,“ trzecie wydanie

¹⁾ W dziełku Gostomskiego znalazły się aż dwie nauki dla „urzędników.“ Pierwsza z nich (w wydaniu Radwańskiego str. 5) nosi następujący tytuł: „Nauka Urzędnikowi i pamięć, którą ma często czytać i tak długo, ażby to wszystko pamiętał i czynił. A ma to czytać Włodarzom i Klucznikowi zawždy przy święcie a nie w Niedzielę.“

²⁾ Pierwsze „Gospodarstwo“ w Krakowie w drukarni Jakóba Siebeneihera r. 1588; drugie „Gospodarstwo“ w Krakowie u wdowy Jakóba Siebeneihera. W pierwszym na karcie tytułowej umieszczony jest wiersz St. Gro. (Stanisława Grochowskiego), zachwalający dziełko czytelnikom. Obok tekstu znajdowały się i próżne karty, na których czytelnicy mieli zapisywać swe własne spostrzeżenia gospodarskie, albowiem „stąd wszystkie nauki pomnożenie brały, gdy ich przemysły ludzkie z lekka przyczyniały.“ Oba pierwsze wydania dedykowane były przez wydawców synom wojewody; przy drugim

z roku 1644 otrzymało od nowego wydawcy modny tytuł „Oekonomii.“ Potrzeba aż trzech wydań dziełka Gostomskiego wymownie świadczy, jak ono było popularne i poszukiwane. Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę, że późniejsi polscy agronomowie, jak Theodor z Zawad Zawadzki, czy nawet tak wzięty później Hauet hojną ręką czerpali z doświadczeń, zawartych w książce wojewody Gostomskiego, to przyznamy, że jego niewykończona praca musiała wywrzeć duży wpływ na gospodarkę w Polsce, a w części nawet na ukształtowanie się stosunku dworu do wsi. Ta okoliczność podnosi jeszcze znaczenie naszego „Gospodarstwa,“ jako źródła historycznego. Znaczenie Gostomskiego ocenili polscy badacze już w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, co niewątpliwie przynosi zaszczyt intuicji naszych uczonych. Kiedy angielska nawet „Fleta“ nie doczekała się współczesnego wydania, kiedy napróżno szuka się po bibliotekach podręczników Coiera czy Etienne, dzieło Gostomskiego już w wieku zeszłym doczekało się dwóch wydań, umożliwiających korzystanie z tego cennego źródła dla wszystkich. Już w roku 1844 J. K. Wójcicki przedrukował „Gospodarstwo“ z trzeciego wydania z roku 1644 w swej Bibliotece Star. (tom III). W roku 1856 Jan Radwański puścił w świat nowe wydanie Gostomskiego, oparte „na porównaniu trzech poprzednich, pod zmienionym, a dobrze do formy dzieła zastosowanym tytułem „Notat Gospodarskich.“ Radwańskiemu przypada też zasługa, iż pierwszy dowiódł, co zresztą nie przedstawiało wielkich trudności,¹⁾ iż nasze „Gospodarstwo“ napisał wojewoda Anzelm, a nie Sibeneiher, jak sądził Chromiński, ani Jakób Gostomski, jak przypuszczał Maciejowski. Wielki nacisk

wydaniu na karcie tytułowej znajduje się wiersz, wysławiający rodzinę Gostomskich i jej herb Nałęcz.

¹⁾ W przedmowie do wydania I-go Sibeneiher, dedykując dziełko Jakóbowi Gostomskiemu, wyraźnie zaznacza, że napisane było przez jego ojca, wojewodę Rawskiego. Na zasadzie herbarzy Paprockiego i Niesieckiego łatwo skonstruować, że wojewodzie Rawskiemu, ojcu Jakóba, Gostomskiemu było na imię Anzelm, zwłaszcza, że Niesiecki Anzelma Gostomskiego, mianowanego wojewodą Rawskim w roku 1583, nazywa mężem „bystrego rozumu i w ekonomicznych rzeczach nad inne biegłym.“ Radwański zrobił próbę napisania życiorysu Anzelma Gostomskiego, opierając się na herbarzach i na licznych danych, znajdujących się w przedmowach drukarzy do obu pierwszych wydań. Pewną wartość posiadają uwagi przeważnie dotyczące języka, przy pomocy których starał się Radwański ułatwić zrozumienie nieraz bardzo zawilego tekstu.

położył w swej przedmowie Radwański na znaczenie naszego „Gospodarstwa,” jako źródła do historii prawa ziemiańskiego, prawa pańszczyźnianego i miał najzupełniejszą słuszność co do tego: w niewykończonym, nieuporządkowanym dziełku wojewody, wolnem od współczesnej mu pseudo-naukowości, znajdziemy żywy obraz tego, jak się rządził, jak siał i orał, jak się obchodził z chłopami bogaty szlachcic rawski w końcu wieku szesnastego. Znajdziemy w niem nietylko autentyczny inwentarz i instruktarz Gostomii Wielkiej i Małej, nietylko ważny rozdział z agrarnej historii rawskich wiosek wojewody, ale obraz tych stosunków, które, panując w jednym zakątku polskiej ziemi, zostały przedstawione całemu krajowi, które były rozpatrywane po dworach wielkich panów i pod strzechą kilkowłókowych ziemian, wszędzie służąc za wzór pożądany, w niejednej wiosce stając się normą, do której się miała dostrajać cała gospodarka. Jako źródło do historii agrarnej, „Gospodarstwo“ Gostomskiego można śmiało postawić obok pierwszej księgi Columelli, obok Flety czy Hersebacha.

III.

Jak świadczy rozdział, zatytułowany „Ziemianin,” który, jak już wiemy, w dość luźnym stoi związku z resztą „Gospodarstwa,” Gostomski zamierzał widocznie zastosować swój podręcznik do potrzeb przeciętnego polskiego szlachcica. Ale, jak zaznaczyliśmy, przedsięwzięcie wojewody nie zostało urzeczywistnione i z tłoczni drukarskiej wyszły właściwie tylko materiały zebrane z praktyki gospodarskiej wojewody. Wojewoda był, jak na stosunki panujące w Rawskim województwie, gdzie, podobnie jak na Mazowszu, przeważały drobne folwarki, człowiekiem bardzo zamożnym, w porównaniu do okolicznej szlachty był panem prawdziwym, to też „Notaty Gospodarskie“ mogą się przede wszystkim przyczynić do wyświeatlenia podstaw, na których opierała się wielkopańska gospodarka w tych częściach Polski, gdzie nie było wielkich latyfundi. ¹⁾ Dobra, z których zarządu wyniósł swe do-

¹⁾ Kwestya ta, mojem zdaniem, ma szersze znaczenie. Wiadomo jest, że znaczenie naszych możnowładczych rodów opierało się nie na pochodzeniu, lecz przede wszystkim na środkach, jakimi rozrzadzali. Ród, który, jak to

świadczenie Gostomski, składają się, jak widzimy z naszego źródła, z paru wsi i miasteczka, będącego ich centrum ekonomicznem. Całe dobra, czy też część ich leżą nad Wisłą. „Gospodarstwo“ niema charakteru wyłącznie rolniczego, ale raczej rolniczo-przemysłowo-handlowy. „Pan“ taki, jakim go widzimy w „Gospodarstwie“, jest wielkim kupcem hurtowym, który całkiem opanowuje miejscowy rynek, przynajmniej wywozowy. Oczywiście w zakres obrotów handlowych naszego pana wchodzi przedewszystkiem zboże. Przy ówczesnych opłakanych stosunkach komunikacyjnych ceny zboża w danym zakątku kraju zależały w znacznej części od miejscowych producentów, względnie miejscowych kupców. W ten sposób wielki właściciel ziemski, trudniący się jednocześnie handlem zbożowym, mógł dowolnie prawie regulować ceny zboża, a w ten sposób trzymać w szachu nietylko swych własnych poddanych, ale i szlachtę okoliczną, nie będącą w stanie wysłać zboża wyprodukowanego przez siebie bezpośrednio do Gdańska. Metody handlowe, których trzyma się nasz wojewoda, nie są skomplikowane. Należy się stale informować o cenach zboża na miejscowym rynku, gdy zboże jest tanie, należy je kupować od okolicznych producentów. Zaleca się i sprzedawać na miejscu zboże, ale, powiada Gostomski, „kto chce pieniądze zebrać poważne“ nie powinien się śpieszyć z opróżnieniem swych śpichrzy, lecz zachować je pełnemi „na drogość.“ Do Gdańska należy szkuty ze zbożem wysłać jaknajprędzej po żniwach, bo wtedy ceny są wysokie; by sobie ułatwić tę operację, zaleca Gostomski rządcom swych dóbr zmuszać chłopów wczesną jesienią do przymusowego pożyczania dworowi wymłóconego ziarna.

Głównym terenem operacyj miejscowych jest dla pana oczywiście jego własne miasteczko, o ile je posiada w swych dobrach. Nasz wojewoda żąda, by na targ miasteczka nie dopuszczano kupki z majątków innych właścicieli, mile widziani są natomiast producenci przywożący ziarno. Handel zbożowy, prowadzony w sposób, jaki wskazują zebrane wskazówki z „Gospodarstwa“, wymagał znacznego, jak na owe czasy, kapitału obrotowego, który rósł

się stało np. w wieku XVI-tym z Tarnowskimi, nie utrzymał swego majątku, tracił znaczenie. Podstawy finansowe rodzin małopolskich, mających ogromne latyfundia, są jasne. Co do rodu magnackich z innych części Polski ważne jest zbadać, czy nie mając wielkich majątków ziemskich nie były czasem posiadaczami większych kapitałów obrotowych, przy pomocy których utrzymywali w zależności od siebie biedniejszą brać szlachecką.

szybko, to też nie wydaje się nieprawdopodobnem, że nasz wojewoda, jak to już wspominaliśmy, posiadał przed śmiercią już po zapłaceniu posagu córkom i dokupieniu synom mienia—400,000 złp. Handel zbożem, prowadzony przez naszego wojewodę, nie jest jedynym dowodem, stwierdzającym, że jego gospodarstwo opierało się na obrotowym kapitale. Więc Gostomski przedewszystkiem wszystko kupuje hurtownie i to nietylko na własny użytek, ale także, przynajmniej niektóre produkty, i na potrzeby poddanych. Mają urzędnicy wojewody sprowadzać przy okazji z Torunia różne towary np. węgorce, śledzie, sól i żelazo, a potem odprzedawać je poddanym po cenach targowych. Kupowanie produktów trzymanyh na składzie dworskim pociąga na poddanych karę 16 grzywien. Mamy tu więc do czynienia z dobrze znanym i poza granicami Polski handlowym monopolem dworu, z którego korzystanie wymagało posiadania kapitału. Dziwnym naprawdę i czcym frazesem musi się wydać, po przytoczonych przez nas faktach, sentencya Gostomskiego, że „sromota temu kupczyć, komu Pan dał ziemię.“ Być może, iż wojewoda rozumiał słowo „kupczenie“ w jakimś specjalnem tylko znaczeniu, być może, że nie pojmował przez nie „kramarstwa;“ nie przeszkadzało mu to jednak dawać rady, by pan włości wkładał część swego kapitału właśnie w drobny kramarski handel miasteczkowy. Ponieważ jednak prowadzenie tego rodzaju handlu pod własną firmą stanowczo już nie godziło się z ówczesnemi pojęciami o honorze szlacheckim, więc wojewoda radził wypożyczać pieniądze „ubóstwu handlującemu.“ Oczywiście należy dawać kapitalik tym mieszczanom, którzyby się tem „wspomogli, a nie utracili;“ dochód miały obie strony, to jest pan i sklepikarze, dzieląc na równe części za równym pożytkiem.“ Udzielanie mieszczanom kapitału potrzebnego do rozpoczęcia handlu, powinno mieć jednak według rad Gostomskiego i inny dalszy cel. Chodziło mianowicie o rozbudzenie ruchu handlowego w miasteczku, gdyż w ten sposób ściągało się kupujących, a co zatem idzie, zwiększało się dochody dworskie z targowego, mostowego i t. d. To też wojewoda w razie potrzeby zaleca udzielać mieszczanom nawet bezprocentowych pożyczek. Posiadanie kapitału pozwalało panu takiemu, jakiego poznajemy z naszego źródła, prowadzić i przedsiębiorstwa przemysłowe. Przemysł, o którym wspomina Gostomski, wchodzi głównie w zakres gorzelnictwa i piwowarstwa, młynarstwa, nakoniec przemysłu leśnego. Mąkę zaleca nasze źródło produkować nietylko na własny użytek, ale i na eksport do Gdańska, tudzież na potrzeby targu w miasteczku, na który nie powinno

się dopuszczać obcej mąki, ani też gotowego pieczywa. Nie małą rolę przypisuje wojewoda gorzelnictwu, a zwłaszcza piwowarstwu. Gorzałkę zalecał wyrabiać z jarki, piwo z jęczmienia. Oba te produkty nieobliczone jednak były na wywóz dalszy, lecz jedynie na konsumpcję miejscową. Część piwa szła na potrzeby dworu, „cienkusz“ czyli inaczej „taźbor“ dawano czeladzi, resztę piwa, tudzież nie zużytą przez dwór gorzałkę, rozdzielał „urzędnik“ pomiędzy karczmy, pilnie „przyglądając, aby karczmy bez piwa nie bywały.“ Monopol propinacyjny uznawał Gostomski, jako fakt zwyczajny, to też zalecał pilnować, by po wsiach nie wyrabiano poza dworem i nie sprzedawano trunków z cudzych dóbr pochodzących.

Gostomski nie był bynajmniej zwolennikiem rozpajania chłopów; godnem jest jednak uwagi, że już on w wieku szesnastym ważną rolę przypisuje propinacyi. W czasach nieco późniejszych w wieku XVII i XVIII stała się ona osią, około której obracała się cała gospodarka w Polsce i w niektórych krajach habsburskich. Obok młynarstwa i propinacyi, większą rolę, jak zaznaczyliśmy, odgrywa u Gostomskiego przemysł drzewny. Nasze źródło wspomina o produkowaniu przy pomocy dworskich rzemieślników smoły, a dalej gontów, desek, beczek i obręczy. Z wyrobów tych w dobrach wojewody były obliczone na sprzedaż beczki, gonty, a niezawodnie i deski, które tarto w tartakach wodnych tak zwanych „tartych młynach.“ Pozatem wojewoda wspomina jeszcze o produkowaniu na sprzedaż cegły, gwoździ, a dalej oleju lnianego, konopnianego i rzepakowego, który miał głównie zasilać rynek miejscowy. Oprócz tego czytamy w naszych notatach o produkowaniu na wsi własnymi siłami, z własnych lub hurtownie nabytych materiałów wszystkiego, co potrzebował dwór i gospodarstwo, zaczawszy od mała, skończywszy na obramach. Widzimy więc, że w takich dobrach, jak wojewody Gostomskiego, działalność przemysłowa była różnorodna i ożywiona. I ona, podobnie jak wielki i drobny handel prowadzony przez dwór, wymagała obrotowego kapitału, to też wojewoda przy końcu swego dziełka otwarcie wyznaje, że zarządzający gospodarstwem urzędnik, „zgromadziwszy pieniądze, ma robić niemi.“¹⁾

¹⁾ Tak różnorodna działalność przemysłowa wymagała oczywiście dużej ilości specjalistów rzemieślników, którzy nadto, jak zobaczymy, pomagali niekiedy w dworskich polnych robotach; mieli oni prawo przyjmować obstalunki i od poddanych dziedzica, a nawet i od obcych, w wieku siedemnastym dbali

Musimy podnieść jeszcze jeden charakterystyczny rys, który cechuje gospodarke Gostomskiego: jest ona ściśle merkantylistyczna. We wsi środkowej Europy szesnastego wieku merkantylizm panował już w najlepsze.¹⁾ Można go wówczas było obserwować zarówno we wsi polskiej, jak czeskiej, jak i brandeburskiej. Grossman, charakteryzując w swej cennej, obiektywnie napisanej monografii położenie wsi brandeburskiej w wieku szesnastym, zwrócił głównie uwagę na polityczną stronę wiejskiego merkantylizmu, który według niego był rezultatem tej okoliczności, że dobra rycerskie były naówczas jakby „państwem w państwie.“ Państwem w państwie była za czasów Gostomskiego i wieś polska i to stało się powodem, jak zobaczymy, iż rozwinęły się w niej już wówczas i ekonomiczne cechy merkantylizmu, które uderzają chociażby przy powierzchownem zaznajomieniu się z notatami naszego wojewody. Rys zasadniczy jego gospodarki, to jest dążenie do tego, by jak najwięcej pieniędzy ściągnąć do kasy dworskiej, jak najmniej gotówki wydać za granice swej włości, harmonizuje w zupełności z zasadami merkantylizmu; również i środki, przy których pomocy Gostomski zdąży do tego celu, są zupełnie zgodne z merkantylizmem.²⁾ Więc naprzód stara się jak najwięcej ludzi ściągnąć do swych posiadłości, bo „ubi populus ibi obulus,“ „kiedy ludzi więcej, więcej też pieniędzy.“ Następnie stara się wojewoda wysyłać swe produkta zagranicę, o ile możliwości nie w surowym, ale przerobionym stanie, więc zboże w postaci mąki, proso „potłuczone“ na kaszę jaglaną, wszystko zaś, co potrzebuje dwór i folwark, a nawet wieś, sprowadzać w surowym stanie, o ile to już konieczne, i przerabiać na miejscu.³⁾ W tym

o powstanie swych browarów i gorzelnii dziedzice, starali się nawet specjalnie o takich rzemieślników, „do których postronni zjeżdżają ludzie,“ i w ten sposób „karcznie do wyszynku pomagają.“ J. K. Hauer: „Ziemiańska generalna Oekonomia,“ Cracovia r. 1679, str. 175.

¹⁾ Porów. Friedrich Grossmann: „Über die gutsherlich bauerlichen verhältnisse in der Mark Brandenburg.“

²⁾ Not. Gos. str. 91: „Pan, który chce pieniądze zebrać pobożnie... z tem, co się doma rodzi, tak się miarkuje, aby wszystkiego uprzedal, a nie przyku-pował;“ na str. 33: „Urzędnik ma strzedz, aby w folwarczech (z pieniędzy) za żyto i za inne zboże wydatek drobny nie był—bo się najdzie za co innego pieniędzy na folwarkowe wydatki zebrać.“

³⁾ Nawet wino chciał zastąpić wojewoda wyrabianym na miejscu jabłecz-nikiem i „gruszczenikiem“ i wiśniaki. Podobnie „konfekty i przysmaki“ na-

celu wymaga wojewoda, by w każdej włości byli dworscy rzemieślnicy wszelkiego rodzaju, a więc kowale, smolarze, bednarze, tkacze, kołodzieje i t. d. W swej włości-państwie wojewoda stosuje nawet metody, przypominające protekcyonizm, a więc, jak widzieliśmy, udziela nawet bezinteresownych zapomóg mieszczańom na prowadzenie handlu, z drugiej strony, chcąc obronić od konkurencyi młyny swoje i swych poddanych, tudzież mieszczańskie piekarnie, niedopuszcza na rynek miejscowy obcej mąki i pieczywa. Podobnie miała się sprawa z dworską propinacją. Z systemem merkantalnym nakoniec harmonizował kompletnie i monopol solny, który, jak wiemy, istniał w dobrach wojewody i niezawodnie przynosił niemałe zyski. Dziwnem napozór się zdaje, że w Polsce już w XVI-tym wieku opierano wiejską gospodarkę na systemie, który dopiero w następnym stuleciu doszedł do rozkwitu i zapanował nad gospodarką państwową wielu krajów europejskich. Nie należy jednak zapominać, że merkantylnizm, jakkolwiek otrzymał swą nazwę i teoretyczne ujęcie dopiero w wieku osiemnastym, rozwijać się zaczął na Zachodzie, zwłaszcza w Anglii, już w końcu wieków średnich, z drugiej strony zasady w części zbliżone do późniejszego merkantylnizmu odnośnie wiejskiej gospodarki, głosili rzymscy agronomowie od czasu Catona. Villa taka, jaką znamy z dzieł Catona, a zwłaszcza Columelli, jest osobną jednostką, wytwarzając wszystko o ile możliwości na miejscu, miejscowemi siłami, starannie broniącą swej ekonomicznej odrębności. Zasada Catona, że „patrem familias non emacem, sed vendacem esse oportet,” pewnie brzmiała w uszach Gostomskiego, kiedy zapisywał w swych notatach napomnienie, by pan z tym, „co się doma rodzi, tak się miarkował, aby wszystkiego uprzedał, a nie przykupował.“ Wojewoda jednak nie był człowiekiem, któryby na ślepo przyjmował cudze myśli, chociażby nawet takiego mistrza, jakim był dla owoczesnych rolników Columella. Gostomski kazał swym rządcom i przyjaciołom gospodarować według zasad, przypominających teorye merkantylnistów i rady rzymskich agronomów, bo one naówczas odpowiadały interesom szlachty, zasklepionej w swym egoizmie, bo wieś polska, będąca już od lat dziesiątków rzeczywistym państwem w państwie, zmierzała już za jego czasów w kierunku skrajnego separatyzmu ekonomicznego i politycznego, któremu klasyczny wyraz da w dwa wieki później

leży robić w domu, a nie sprowadzać z Gdańska, bo „tylko to Polszcze przystoi, co się w Polszcze rodzi“ str. 79.

księżna Anna Jabłonowska w swej sławnej „Ustawie dla dóbr moich rządców.“¹⁾

IV.

Gospodarstwo rolniczo-handlowo-przemysłowe, jakie prowadził Gostomski i jakie prowadzić zalecał swym czytelnikom, wymagało dobrze wyszkolonych oficyalistów. Sam pan nie mieszkał w dobrach stale, przyjeżdżając do nich od czasu do czasu; jednakże zachował w swych rękach zwierzchni nadzór nad majątkami, utrzymując z niemi wciąż styczność, bądź to przy pomocy raportów, przesyłanych mu peryodycznie przez zarządy poszczególnych folwarków, bądź to przy pośrednictwie rewizorów, którzy wysyłani byli przez dwór do pojedynczych wsi, by sprawdzić, azali nie dzieje się szkoda jaka, dotycząca dziedzica, tudzież ażeby zabezpieczyć go od możliwego wyzysku ze strony miejscowych oficyalistów. Obok rewizora, po wsiach ma jeździć także główny ekonom, który, jak wiadomo, za czasów Rzeczypospolitej miał daleko większe znaczenie, niż obecnie i odpowiadał naszym współczesnym administratorom i rządcom dóbr. Ekonom za przybyciem do wsi sprawdzał i weryfikował rachunki, przedstawione przez tak zwanych „urzędników;“ ekonomowie też obmyślali z panem cały plan gospodarki. Rzecz charakterystyczna, że w „Notatach“ Gostomskiego nie znalazło się specjalnej „nauki“ dla „ekonomna.“ Było to zapewne rezultatem tej okoliczności, że ekonom, przebywający stale w głównym folwarku, gdzie znajdowała się czasowa przynajmniej rezydencya dziedzica, częściej się z nim komunikował i odbierał od niego za każdym razem ustną instrukcyę, oprócz tego ekonom, zarządzający całym kluczem, mający zwierz-

¹⁾ Księżna Jabłonowska: „Ustawa Powszechna dla dóbr moich rządców,“ Siemiatyce, 1784. Porównaj rozbiór tego dziełka u Bocheńskiego: „Beitrag zur Geschichte der Gutsherlichbauerlichen Verhältnisse in Polen auf Archivalischer Quellen der Herrschaft Rock.“ Równie skrajny separatyzm ekonomiczny cechuje opracowany przez d-ra Stefana Pawlika Instruktarz ekonomiczny z roku 1784; zobacz, Pawlik: „Zasady gospodarskie w Polsce w połowie XVIII wieku według J. z roku 1784.“ Jako klasyczny przykład separatyzmu ekonomicznego w Polsce mogą służyć i dobra Końskowolskie (Puławskie), które jeszcze w końcu wieku XVIII-ego starają się ograniczyć do minimum nie tylko import, ale nawet eksport. Porów. moje: „Z dziejów gospodarki rolniczej w Polsce.“

chni nadzór nad zarządami pojedynczych wsi, miał zbyt rozległe zadania do spełnienia, by się je udało wojewodzie ująć w szczególową „naukę.“ Za to posiadamy w naszych notatach, aż dwie nauki dla „urzędnika,“ który zarządzał jednym folwarkiem i wszystkimi należącymi do niego wsiami. „Urzędnik,“ jak widzimy z naszego źródła, kierował gospodarstwem rolnem, miał nadzór nad wszystkimi przemysłowemi i handlowemi przedsiębiorstwami dworu, załatwiał wszelkie kancelaryjne czynności, jakie się nadarzyły; z drugiej strony zastępował pana w wykonywaniu władzy nad poddanyimi. Od urzędnika wymaga się nietylko uczciwości, pracowitości, ale i pewnego zasobu wiadomości rolniczych, gdyż obdarzony on jest szerokimi pełnomocnictwami. Wojewoda poleca nawet swym urzędnikom wyszukiwać nowe źródła dochodu, obiecując im w razie pomyślnych rezultatów połowę czystego zysku. Rzecz charakterystyczna, że Gostomski w razie potrzeby pozwala urzędnikom zwracać się do pana listownie, czy ustnie, chociaż, jak wiemy, między nim a dziedzicem było w zarządzie dóbr ogniwo pośrednie w postaci ekonoma. Zaznaczyliśmy już parokrotnie, że wojewoda, jakkolwiek znał starożytnych agronomów, nie trzymał się ich ślepo. Widzimy to i przy sposobności traktowania przez niego urzędników, którzy odpowiadali prawie zupełnie rzymskim villicus,¹⁾ pomimo to mają większy zakres działania i większe pełnomocnictwo, niż ci ostatni. Zdaje się jednak, że urzędnicy często nadużywali swej władzy i, jak ongi merowie we francuskich dobrach średniowiecznych, mieli tendencję do przywłaszczania sobie w pewnym przynajmniej stopniu

¹⁾ Zarówno Cato, jak Columella, chcą mieć w urzędniku ślepego wykonawcę woli Pater familias i pozbawiają go wszelkiej inicjatywy, niewolno mu nawet nie sprzedać „inseiente domino“ (Cato I, V, 4). Nic dziwnego też, że od urzędnika wymaga Gostomski większej wiedzy, niż rzymianie od villicus'a. Urzędnik ma lepiej umieć gospodarować, „niż pan z doktorem.“ (Not. Gos. str. 7), natomiast Cato przestrzega co do villicus'a „ne plus censeat sapere se, quam dominum“ (Cato I, V, 2). Urzędnik, który odczytywał instrukcye, robił rachunki i rejestra, korespondował z panem, musiał mieć przynajmniej elementarne wykształcenie, tymczasem villicus Columelli ma być „illiteratus,“ albowiem „nescius litterarum, vel ipse minus possit rationes confingere, vel per alium propter conscientiam fraudis timeat,“ I, VIII, 4. Charakterystyczne jest, iż Gostomski, wymagając pewnego doświadczenia od urzędników, radzi się im jednak uczyć w razie potrzeby od chłopów, jak gospodarować, podczas gdy Columella uważa, że nie wypada, aby villicus uczył się czegokolwiek „ab subiecto,“ I, VIII, 3.

prawa własności na zarządzanych przez siebie ziemiach pańskich. Nasz wojewoda wspomina, iż urzędnicy umieją odrywać grunta folwarczne i wydzierzawiać je na swą korzyść nawet chłopom z obcych wsi, że posługują się samowolnie na swój własny użytek pańskim robotnikiem pańszczyźnianym.¹⁾ Chcąc zapobiedz nadużyciom podobnego rodzaju, Gostomski nie ograniczał się do wysyłania po folwarkach rewizorów, ale wymagał od poddanych, by pilnie szpiegowali urzędników i donosili mu o każdym ich występku. Wojewoda pozostawił wskazówki i co do tego, w jakiej sferze szukać urzędników. Nie pochwalał on istniejącego naówczas zwyczaju powierzania zarządu majątku drobnym szlachetkom, „którzy przegorzałowali a przekarczili“ swe majątki i radził wziąć na urzędnika „dobrego gospodarza w sobie“ — sługę wychowanego we dworze. Godność urzędnika nie była oczywiście dziedziczną, ale roztropny wojewoda radził, by po urzędniku następował jego dotychczasowy pomocnik, zwany przez wojewodę bądź to „przystawem,“ bądź to „namiestnikiem,“ który był bądź to własnym sługą urzędnika, bądź to danym mu przez oficjalistę. Nie podaje Gostomski, jakie wynagrodzenie powinien pobierać urzędnik, dowiadujemy się od niego jedynie, że powinno się ono składać z ordynaryi, t. j. z tak zwanego „wychowania,“ z pieniężnej pensyi i pola. Skądinąd jednak wiemy, że wynagrodzenie, przynajmniej pieniężne, urzędników nie było naówczas zbyt wysokie. Rewizya dóbr królewskich na Mazowszu, dokonana właśnie w czasie, gdy wojewoda zbierał swe materiały, wykazuje, jako wynagrodzenie urzędników po folwarkach do starostw należących 8 florenów. Chcąc plastycznie przedstawić znaczenie głównych wiejskich oficjalistów, wojewoda porównuje urzędnika do sędziego, klucznika do podsędka, włodarza do pisarza. Pomimo jednak tego porównania, stawiającego włodarza obok urzędnika i klucznika, sprawuje on swoje obowiązki na zupełnie innych zasadach, pozostaje w innych stosunkach do pana niż tamci. Gdy klucznik i, jak wiemy, urzędnik wyznaczani byli z pomiędzy służby dworskiej, a nawet spotykało się wśród nich podupadłych szlachetków, włodarzy mianuje pan z pośród poddanych kmieci i zachowuje sobie nad nim władzę życia i śmierci.²⁾ Włodarz za

¹⁾ Wojewoda naznaczał na występnych urzędników wysokie kary, np. jeśli urzędnik rozmyślnie „uczynił sobie pożytku 10 złotych“ dawał panu za karę 100 zł. Not. Gos. str. 11.

²⁾ Not. Gos. str. 96; Włodarz, który ześle, tego karać, a którego trzykroć skarawszy o leż — czwarty raz na szubienicę.

swe usługi otrzymywał wynagrodzenie w postaci pola dworskiego, które miał sobie dobrze zaorać i pożąć. Należy też przypuszczać, że włodarza już za czasów Gostomskiego, podobnie jak się to działo później, „liberowano“ od danin i robocizn. O pieniężnem wynagradzaniu włodarzy nie wspomina nigdzie wojewoda, nie znajdziemy o niem wzmianki i w rewizyi dóbr królewskich na Mazowszu, na którąśmy się już powoływali, nie mówią o niej i znane nam źródła późniejsze, przypuszczamy więc, że musieli się oni zawsze kontentować „opatrzeniem w naturze.“ Włodarz, według naszego źródła, był wykonawcą poleceń urzędnika, doglądał pańszczyźnianego robotnika z jednej wsi, której „rozkazywał,“¹⁾ w tej czynności pomagają mu dziesiętnicy, wyznaczani pośród zamożnych kmieci. Oprócz tego do pomocników włodarza należeli karbowi—„karbarze,“ jak ich nazywa nasze źródło, którzy zgodnie ze swą nazwą oznaczali karbami ilość wymłóconego na gminie zboża, a następnie oddawali swe karby włodarzowi. Włodarze i dziesiętnicy rozrzućeni byli po wsiach, należących do folwarku, ale i na samym folwarku miał urzędnik Gostomskiego podwładnych oficyalistów zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej. Więc klucznik, którego wojewoda gdzieś indziej identyfikuje z szafarzem, ma nadzór nad dworem, zwłaszcza w nieobecności dziedzica, a nadto jest piwniczym, magazynierem, dozoruje młynarza, ma nadzór nad stróżą.²⁾ Obok klucznika na folwarku rezyduje tak zwana „dworka,“ to jest gospodyni, która ma ponad sobą w większych dobrach, należących do „młodzieńców lub wdowców,“³⁾ zwierzchniczkę w postaci „starej Pani,“ zastępującej samą dziedziczkę i mającej ogólny nadzór nad całym żeńskim go-

¹⁾ Not. Gos. str. 8. Wojewoda nie wspomina, czy włodarz miał jaką władzę nad poddanymi poza robotami pańszczyźnianymi, wspomina natomiast o dozorowaniu przez dziesiętników „dziesiątek,“ na które wieś była podzielona. Być może, że włodarz miał podobną władzę nad całą wsią, odpowiadając w ten sposób ściśle wójtom z innych okolic, z jakimi nas zapoznaje np. ks. Jabłonowska w swem dziełku.

²⁾ Not. Gos. str. 35, 36. O wynagrodzeniu klucznika nie informuje nas wojewoda, w dobrach królewskich na Mazowszu pobierali naówczas klucznicy po 2 floreny; Arch. ks. Czartoryskich Rkps 3067.

³⁾ Sam Gostomski często jednak miesza „dworki“ ze „staremi paniami.“ Rękopis ks. Czartoryskich № 3067 niema „dworek,“ a tylko „stare panie,“ które znajdują się po wszystkich folwarkach i pobierają 2 floreny wynagrodzenia. Gostomski wspomina, że dworkom wolno jest chować na dworskiem swoje świnie. Not. Gos. str. 73.

spodarstwem. „Dworkom“ i „starym paniom“ poświęcił Gostomski aż dwa obszernie rozdziały, w których mamy dużo materiału zarówno do poznania zakresu władzy tych oficyalistek, jak i do zaznajomienia się ze współczesnem kobiecem gospodarstwem, które naówczas było dość wszechstronne. „Dworka“ więc, względnie „stara pani“ prowadzi gospodarstwo mleczne, chów drobiu, dozoruje ogrodu warzywnego, pilnuje przedzenia, przygotowuje wszelkiego rodzaju zapasy spiżarniane, zaczynając od suszonych ryb i kasz, a kończąc na winach owocowych, małdzykach, plackach, „konfektach“ i innych przysmakach. Do oficyalistów wiejskich, wymienionych przez Gostomskiego, należeli jeszcze piwowar i w części młynarz, który zajmował stanowisko pośrednie pomiędzy oficyalistą a dzierżawcą. Młynarz brał młyn w antreprzyę, a za to obowiązany był dozorować grobli, stawu i wszelkich urządzeń we młynie, a także wykarmiać dworskie świnie „chudziki.“ Ponadto młynarz u Gostomskiego jest jeszcze dworskim cieślą,¹⁾ ma „opatrywać w przyległym dworze podwaliny, rynny, węgły... i około dachów, aby nigdzie nie ciekły; tak też każdej rzeczy poprawić, co na cieśle należy.“ Jeśli młynarz nie spełniał obowiązków tego rodzaju, pan zajmował jego rzeczy.²⁾ Najgłówniejszym jednak obowiązkiem młynarza było dawanie do dworu „pańskiej miary,“ jak mówi Gostomski, to jest opłaty w naturze proporcjonalnej do ilości zmełtego zboża. Wielkości „miary pańskiej“ nie podaje nasz wojewoda, wiemy jednak, że była ona wysoka, dochodząc w niektórych majątkach do $\frac{2}{3}$ dochodu samego młynarza. To też dochód z młyna stanowił wcale poważną pozycję w budżecie właściciela dóbr ziemskich, o ile mu się udało, jak to radził Gostomski, otoczyć młynarza tak czujnym nadzorem, by nie mógł ukrywać ilości mielonego zboża.³⁾

¹⁾ Podobnie i w innych częściach Polski młynarze byli jednocześnie cieślami; działo się tak i na pół już polskiem naówczas Podlasiu, np. na początku wieku XVI-go magnat podlaski Niemira Hrymalicz nadaje młynarzowi Janowi swój Drażniewski, zobowiązując go, oprócz innych świadczeń, do pomagania dworskim cieślom i naprawiania we dworze, jeśli się co „zkaży“ albo stół, albo drzwi, albo ława. Rękopis Metryki Litewskiej w Moskwie, Księga zapisów № 25, f. 212.

²⁾ „Który omieszka karać, albo dom odrzeć,“ Not. Gos. 39.

³⁾ Gostomski więc radzi nie tylko oddać młynarza pod nadzór klucznika, ale nawet osadzić we dworze specjalnego dworskiego „miernika.“ Not. Gos. str. 39.

Wielokrotnie wspominają „Notaty gospodarskie“ o dworskiej czeladzi, nie dając jednak dokładniejszych informacji co do tego, z ilu osób składała się ona i jakie były jej obowiązki; sama ta jednak niedokładność w traktowaniu czeladzi jest dowodem znanego zresztą faktu, że w końcu szesnastego stulecia wobec rozwoju pańszczyzny, wobec rozpowszechnienia zwyczaju, znanego nam już z rozbioru naszego źródła, osadzania na wsi rzemieślników, pomagających przy żniwach, a nawet przy pieleniu dworowi, nie odgrywała czeladź prawie żadnej roli. Z nielicznych napomknień wojewody dowiadujemy się zresztą, że czeladź zatrudniona była głównie przy oborze, pasła bydło i przygotowywała dla niego karmę. Podobnie działo się naówczas i w królewskich mazowieckich, w których, jak wykazała ówczesna rewizja, znajdowało się zwykle na każdym folwarku po 2 dziewczki, po jednym parobku, po jednym lub dwóch pastuchów, którzy łącznie otrzymywali 4 do 5 florenów rocznie.

V.

Niełatwo jest na zasadzie notat Gostomskiego rekonstruować metody, których trzymał się wojewoda przy uprawie roli. Rad swych i wskazówek z tej dziedziny nie zebrał on razem, nie ułożył systematycznie, tak jak to uczynili wzorem starożytnych agronomów współcześni francuscy i nadreńscy pisarze, a nawet księży Coler, Grossern z bliskiego pokrewnego Ślązka. Z pojedynczych zdań, rozrzuconych po całym dziele, z niedokończonych często wskazówek, trzeba zbierać rysy metody, której się trzymał wojewoda. Naogół mówiąc, gospodarka wojewody nie stała nisko, jeśli ją prowadzono rzeczywiście tak, jak to czynić zalecał swym rządcom i czytelnikom. Ustępowała w swej intensywności gospodarce francuskiej, takiej, jaką poznajemy z dziełka Etienne i idącej jej śladami nadreńskiej, które w wieku szesnastym znały już obsiewanie łąk lucerną i innymi roślinami, dającymi paszę dla bydła, które używały do użyźniania gruntów wapna i marglu, ale nie stała niżej od gospodarki, jaką naówczas prowadzono we wschodnich prowincjach Niemiec i w Czechach. Gostomski sam praktyk w gospodarstwie, który utrzymywał, że „rozum nie tak wiele leży w nauce, jako w eksperyencyi, bo wielu uczonych nie umieją nic czynić, albo wykonać,“ nie tylko nie gardził radami starych rzymskich agronomów, ale nawet nie jedno od nich przejął. Im przedewszystkiem zawdzięczał on niewątpliwie swe prze-

konanie o konieczności obfitego nawożenia pól, a co za tem idzie utrzymywania dużej obory, która według niego jest „fundamentem gospodarstwa ziemianinowi albo oraczowi rządmem.“ Rzymianom też, a ściślej mówiąc Columelli, zawdzięczał Gostomski swoją metodę nawożenia. Jak wiadomo w wiekach średnich nawozowi przypisywano raczej fizyczne, niż chemiczne działanie na rolę: przypuszczano mianowicie, że dobrze przegniły nawóz zlany deszczem, przypruszony śniegiem ogrzewa grunt i broni go od przemarznięcia. Wobec tego zalecano w jesieni rozrzucać nawóz po polu, ale nie kazano go bynajmniej przed wiosną przyorywać. Tej metody trzyma się nawet jeszcze autor „Maison rustique“ Charles Etienne, zarówno jak i niemiecki erudyta Heresbach, o którym wspominaliśmy już wielokrotnie.

Inaczej zapatruje się na tę kwestyę wojewoda: on, idąc śladami swego wielkiego mistrza Columelli, parokrotnie zaznacza z naciskiem, że nawóz należy worać „na świeżo,“ tego samego dnia, którego został na pole wywieziony. Godnem jest uwagi, że i ślązak Grossern, wbrew swemu nadreńskiemu rodakowi, zaleca tę samą metodę, której trzymał się nasz wojewoda, być może również pod wpływem Columelli, który i jemu nie był obcy. Zato z Etiennem zgadza się Gostomski, co do tego, że gnój musi być o ile możności stary, dobrze przegniły, to też zaleca on używanie nawozu jesiennego, to jest rocznego, a nie wiosennego, półrocznego. Wojewoda nie uważa też bynajmniej za rzecz łatwą i prostą przyrządzania nawozu. „Gnój trzeba umieć dobrze działać,“ pisze on, streszczając w paru wierszach, „skutek i doskonałość gospodarstwa.“¹⁾ Na czem polegało to „działanie.“ Oto przedewszystkiem w lecie, gdy wywieziono już nawóz „na rzepe,“ powinno się do obory zwieźć całą pozostałą zeszloroczną słomę, która dotąd „butwiała“ umyślnie rozścielona w gumnie. Słomę bydło zimujące w oborze „przedepływało“ i mieszało z nawozem, zbierającym się podczas zimy. Do tworzącego się w ten sposób kompostu dodawano wszelkie wypielone chwasty, stare zużyte strzechy i t. d.

Nawozów mineralnych, znanych już naówczas na Zachodzie, z wyjątkiem chyba popiołów, pochodzących ze spalonego drzewa, tudzież chmielin i makowin, wojewoda nie używał, natomiast zaleca jako nawóz szlam ze stawów, nie różniąc się pod tym wzglę-

¹⁾ Not. Gos. str. 95: Skutek i doskonałość gospodarstwa: rolę dobrze sprawić, bydło uchwycić, gnój dobrze umieć działać i co najwięcej go na rolę wywieźć i świeżo go worać, a brona pan roley, bo na bronie wszystko zależy.

dem od Heresbacha. Na uwagę zasługuje i znaczenie, przypisywane przez wojewodę torfowi, w sprawie użyźniania gruntów: poleca on mianowicie „kędy błota są, poważać niemi piaszczyste grunty, kosztując jako gęsto błoto sadzić wedle spławu i gruntu.“ Wojewoda uważał, że o ile to jest możliwe, nie należy się ograniczać do nawożenia pola tylko pod oziminę, to jest raz na trzy lata, ale przeciwnie wspomina także o nawożeniu na wiosnę, a nawet w lecie pod rzepę. Można wątpić, czy przy ówczesnej małej ilości inwentarza jaką trzymano po dworach, nawet Gostomskiemu udawało się tak często nawozić swoje pola, ¹⁾ bądź co bądź godne jest szczególnej uwagi, że wojewoda umiał się przejąć zrozumieniem konieczności nawożenia, jeszcze wówczas, gdy według wyrażenia Fraasa w Niemczech nawet była „alle Kenntniss von Bedeutung des Düngers sehr in Argen,“ ²⁾ a i w Polsce przy dworach trzymano tak mało bydła, że nie mogło być mowy o prawidłowem nawożeniu. Skąpy jest bardzo nasz wojewoda w szczegółach dotyczących się „sprawienia“ samej roli. Współczesny mu ślązak Grossern wspomina, że w jego okolicy orano ziemię pod oziminę trzy, a nawet cztery razy. Pierwszą orkę nazywa on „brechen,“ drugą nie zawsze konieczną „wenden,“ trzecią „Rhuren,“ czwartą przed samym siewem „aarn.“ Pierwsza, druga i czwarta orka dokonywane były przy pomocy pługu, trzecia radłem „Rhurhacker.“ Nasz wojewoda nie wspomina nigdzie o czterech orkach, możemy się u niego doliczyć z trudem trzech. Więc późną jesienią przyorywa się gnój jesienny. Druga orka odbywała się w lecie, podobnie jak u Grosserna przy pomocy radła. Bezpośrednio po niej następowało bronowanie, mające głównie na celu „unięszanie“ roli „coby z niej najmniejszy kęs perzu wymknął.“ Bronowaniu przypisuje z tego powodu wojewoda nadzwyczajne znaczenie: „brona pan roley,“ a „kto rolę zorze, a z niej perzu nie wywlecze po oraniu nic.“ Trzecia orka „rola na sianie“ następowała bezpośrednio przed siewem, a zatem pomiędzy świętym Bartłojem, a świętym Michałem. Po siewie następowało oczywiście drugie bronowanie. Pod jare zboże wojewoda orał po nawiezieniu roli i przed siewem; podczas gdy Grossern zaznaczył, że jego chłopci zarówno pod owies, jęczmień jak i żyto jare orał raz jeden. Trzykrotne oranie pod oziminę i dwukrotne pod ja-

¹⁾ Zresztą sam wojewoda mówi, w jednym z listów, że szkoda nawozu pod rzepę.

²⁾ Fraas str. 54: Grossern opowiada, że w jego stronach, to jest pod Wrocławiem, niektórzy chłopci nawet pszenicę siali na trzechletnim nawożeniu.

rzyne, dawałoby bardzo dobre świadectwo o gospodarce Gostomskiego, mamy jednak wszelkie dane wątpić, czy stale trzymał się swego systemu. Wspomina on w jednym miejscu o wywożeniu nawozu także i na wiosnę zarówno na oziminę, jak i na jarzynę, w takim wypadku jedna orka odpadała.

Dużą wagę przypisywał wojewoda temu, aby „wszystkie zagony jednakuczkie i jednuyłkie“ były. Każdy zagon mianowicie miał mieć na długość 36 sążni, a na szerokość 3 łokcie, składać się powinien z 8 skib. 45 zagonów stanowiło staję.¹⁾ Zgodnie z Etienneem kładzie Gostomski wielki nacisk na dokładne czyszczenie ziarna przeznaczonego do siewu.²⁾ Pielenie zboża musiało się w dobrach wojewody odbywać bardzo starannie, skoro uczestniczyli w niem nietylko oracze i ogrodnicy, ale również chałupnicy, karczmarze i rzemieślnicy.³⁾ Gostomski, jakkolwiek wspominał o użyźnianiu piasków „błotem,“ był jednak zdania, że najlepiej „piaski odkładać,“ gdyż nie opłaca się ich nawiezienie.⁴⁾ Do niskich roli nie czuł wojewoda zbyt dużego zaufania i radził się na nich wyłącznie „jarzynę,“ podczas gdy ślązak Grossern właśnie na takich gruntach zalecał uprawiać pszenicę. Na nizinach radził wojewoda orać wysokie zagony, nadto zalecał je w razie potrzeby „naprawować rowami,“ miał więc pojęcie o sztucznym odwadnianiu. Zresztą nie powinno nas to zbyt dziwić, gdyż za jego czasów istniało już nawet w języku polskim dziełko Strumieńskiego, poświęcone specjalnie urządzaniu gospodarstwa rybnego, tudzież sprowadzaniu wody i *osuszaniu gruntów*. W notatach naszych nie spotkaliśmy się z żadnym śladem, wskazującym, że wojewoda w swych posiadłościach przeprowadzał osuszania gruntów, ale w każdym razie ta jego rada świadczy dodatnio o jego planach, zmierzających do rozszerzenia swej gospodarki. Zresztą i u naszych zachodnich sąsiadów, jakkolwiek już w wieku szesnastym pisano o osuszaniu gruntów, do dziewiętnastego wieku należało ono do rzadkości.⁵⁾

¹⁾ Not. Gos. str. 93.

²⁾ Gostomski kazał nawet „kmiotkom“ upominać urzędnika, aby nie siał niezręcznego zboża str. 64.

³⁾ Not. Gos. str. 94.

⁴⁾ Ibidem str. 42. O łubinie nie wspomina Gost. nigdzie, jakkolwiek znają go i starożytni i nawet Heresbach porów. Fraas str. 60.

⁵⁾ Nawet w takim państwie Loboszickiem osuszenie gruntów rozpoczęło dopiero w początku wieku dziewiętnastego: Medinger Dr. Wirtschaftsgeschichte der Domäne Lobositz. Wien 1903.

Podnieść należy jeszcze jeden interesujący szczegół w radach wojewody, dotyczących się uprawy roli, a mianowicie jego zapatrywania co do tego, jakie nasienie należy zasiał na danym gruncie. Otóż w średnich wiekach, a nawet jeszcze w wieku szesnastym, agronomowie europejscy trzymali się w tej kwestyi maksymy, „*ze simile simili gaudet*,” nawet uczony erudyta nadreński Heresbach utrzymywał, że na tłustej ziemi trzeba siać tłuste nasienie, racjonalniejszą formę przybrała ta zasada u Etienna, który zalecał, aby na równinie siać nasienie z równin, a nie z okolic górzystych, na roli wilgotnej nasienie zebrane z pola wilgotnego, a nie suchego. U wojewody nie spotkamy się z żadną formułką tego rodzaju; pod tym względem przynajmniej jest on wierny swym zasadom, czystym praktykiem, i pozostawia czytelnikowi, względnie swemu rządcy, prosto siać to, co najlepiej na danej roli wschodzi, a o tem co z roli z „najlepszym pożytkiem użyć można,” decydowało oczywiście doświadczenie. Należy przypuszczać, że Gostomski życzył sobie, by w tej sprawie postępowano tak, jak naówczas radzili sobie, według Grosserna, śląscy chłopi. Chcieli się np. przekonać, gdzie należy siać len; w tym celu zasiewali sianę w kilkunastu polach, a później uprawiali go na tych z nich tylko, na których udał się dobrze.

System gospodarczy, którego się trzymał Gostomski, był zbliżony do trójpolowego, o ile chodziło o grunta niewilgotne, nie położone zbyt nisko. Na lepszych gruntach, prowadził jednak Gostomski, czy też tylko zalecał prowadzić, ulepszoną trójpolówkę, stanowiącą już przejście do bardziej intensywnych systemów. Kiedy w ówczesnych Niemczech użytkowanie ugoru należało jeszcze do rzadkości, mamy w naszych notatach wskazówki, dowodzące, że w szesnastym wieku robiono już u nas wprawdzie nieśmiałe próby intensywniejszego wykorzystania ziemi. Dowiadujemy się więc o sianiu rzepy na nawiezionym ugorze, czego zresztą wojewoda nie pochwalał, natomiast zalecał on, o ile można, nawiezione ugory, zwłaszcza bardziej odległe, a zatem niewygodne na pastwisko, zamieniać na łąki, kosić je w lecie i dopiero wtenczas orać pod oziminę. Od używania jako łąki ugoru do obsiewania go np. lucerną, czy innemi roślinami dostarczającymi paszy, jak to kilkanaście lat przed Gostomskim zalecał Etienne, był już krok jeden tylko, ale kroku tego nie zrobił wojewoda. Pewne komplikacje w prowadzeniu czystej trójpolówki wprowadzało i proso, którego siał wojewoda stosunkowo zdaje się dużo i to na nawozie, widząc w nim, a raczej w wyrabianych z niego jagłach, produkt odpowiedni do zagranicznego eksportu. Nako-

niec mamy w notatach wskazówki, że nie trójpolowe gospodarstwo uważał wojewoda za odpowiednie na gruntach nizinnych, zalecał bowiem siał na nich tylko jare zboża. Nie mamy żadnych wskazówek co do tego, jak wojewoda prowadził gospodarstwo na nizinach, być może trzymał się na nich systemu przypominającego tak zwane „Feldgraswirtschaft,“ które od niepamiętnych czasów prowadzono w Westfalii i w Holsztynie, a w wieku szesnastym zaprowadzono w Anglii. Jak łatwo się domyślić, w produkcji rolnej stawiał wojewoda na pierwszym planie żyto, a dalej pszenicę. Zalecał siał o ile możliwości pszenicę ozimą. Jarką, a również tatarką radził się „ratować“ tylko, gdy oziminy zginęły wskutek „jesieni niepogodnej, a mrozu rychłego.“ Jest to zupełnie zrozumiałe, albowiem zboże jare przynosi gorszy plon niż ozime. Po życie i pszenicy wylicza Gostomski w rozdziale zatytułowanym „Liczba doroczna“ jęczmień, dalej owies, później groch, tatarkę, proso, orkisz. W notatach Gostomskiego nie mamy żadnych śladów, któreby pozwoliły wnioskować, jaki był w jego dobrach stosunek pomiędzy ilością poszczególnych wysianych zbóż. Co gorsza nie znajdziemy nawet wskazówek co do tego, ile wysiewał poszczególnych zbóż na mórg roli i jakie urodzaje uważał za normalne. Jeśli znów zwrócimy się do tylokrotnie już zużytkowanej przez nas rewizyi dóbr mazowieckich, to spostrzeżemy jednak, że porządek w jakim wymienił Gostomski poszczególne zboża w „Liczbie dorocznej,“ odpowiadał ich rzeczywistemu znaczeniu w produkcji. Wszędzie w starostwach mazowieckich na pierwszym planie stoi żyto, którego wysiewa się gdzieś tam 15, a nawet 30 razy więcej niż pszenicy. Jęczmień siano widocznie naówczas na Mazowszu, tak jak na Ślązku po pszenicy, to też na wielu folwarkach wysiewano obu zbóż jednakowo. Owsa w większości dóbr królewskich siano naówczas z małymi wyjątkami znacznie więcej niż jęczmienia, gdyż uprawiano go na gruntach żytnych.¹⁾ Prawie na każdym folwarku wysiewano dalej przynajmniej po jednym korcu grochu po parę korec prosa i tataraki.²⁾ W „Liczbie dorocznej“ wymienia Gostomski

¹⁾ Podobnie w Niemczech żyto i owies miały przewagę nad pszenicą i żytem.—Inama Sternegy, tom 3, część I, str. 322.

²⁾ Przytaczamy dla przykładu dane, dotyczące się paru królewskich folwarków na Mazowszu z Rkps. ks. ks. Czartoryskich 3067. Folwark Zakroczymski, grunt piaszczysty, rozległość dwie włóki chełmińskie: wysiewają zyto ozimego 97 korec, zbierają—264; zyto jarego—6, zbierają—15; pszenicy wysiewa-

także len i konopie, które zalecał hodować nietylko dla włókna, ale i dla siemienia, służącego za materiał do wytłaczania oleju, podobnie jak mak, o którym również wspomina. Weale pokażna jest lista jarzyn, o których mówią nasze notaty; zawiera ona cebulę, kapustę zwykłą i „czarną“, czosnek, pasternak, marchew, pietruszkę, ćwikłę (buraki), ogórki, rzodkiew, rzepę, rzepnicę, chrzan, gorczycę, sałatę. Jarzyny te jednak, nawet marchew i buraki, wchodziły w zakres gospodarstwa kobiecego i były uprawiane przez dworki po ogrodach, tylko rzepę uprawiał niekiedy wojewoda na polu. Naogół jednak wojewoda nie przypisywał znaczenia uprawie jarzyn, uważając, że nawóz, jakiego wymagają, można zużyć pożyteczniej. I tu wyraziła się praktyczność wojewody, produkującego głównie na eksport do Gdańska: jarzyny, jak wiadomo, nie znoszą długiej podróży, o poważnych zaś miejscowych rynkach zbytu nie mogło być mowy w owej epoce ani na Mazowszu, ani w województwie rawskim, gdyż nie posiadały miast w nowoczesnem znaczeniu tego słowa, to jest takich, w których gospodarstwo rolne nie byłoby głównem zajęciem mieszkańców. Wojewoda nie łudząc się nadzieją, by znajdowano amatorów na jarzyny, radzi dokarmiać niemi w razie obfitości bydło, lub darmo dać dobrym ludziom. Oprócz jarzyn w zakres działalności dworek wchodził i ogródek z roślinami aptekarskiemi, tudzież ozdobnemi. Według wojewody taki ogródek powinien być istnieć przy każdym folwarku, ale należało uprawiać tylko wtedy, gdy nie było do roboty nic pilniejszego, a więc przede wszystkim w święta. W notatach Gostomskiego nie brak śladów, świadczących, że w takich dobrach, jak wojewody, sado-

ją—3, zbierają—13; jęczmienia wysiewają—2, zbierają—6; owsa sieją—89, zbierają—213; grochu korzec, zbierają—3; prosa—1, zbierają—4 $\frac{1}{2}$; tataraki—3, zbierają—12. Folwark Jazdów pod Warszawą włók 3 $\frac{1}{2}$; sieją żyta ozimego 80 korecy, zbierają od 324 do 750 korecy; żyta jarego sieją 3 korce, zbierają—18; pszenicy sieją 8 korecy, zbierają—56; jęczmienia—7, zbierają—52 $\frac{1}{2}$; owsa—26, zbierają—232 $\frac{1}{2}$; grochu sieją 7 $\frac{1}{2}$, zbierają—20; prosa sieją—1 $\frac{1}{2}$, zbierają—12; konopi sieją korzec, zbierają—3 $\frac{1}{2}$; lnu sieją 1 $\frac{1}{2}$ korea, zbierają—7 $\frac{1}{2}$. Folwark Mogilno, rozmiar 3 włóki: sieją żyta ozimego 56 korecy, zbierają—148; żyta jarego sieją korzec, zbierają 4 korce; pszenicy sieją—5, zbierają—21; owsa—48, zbierają—63; konopi—2; lnu—1 $\frac{1}{2}$. Folwark Rudzilkowski: żyta ozimego sieją 109 korecy, zbierają—236; żyta jarego sieją 4 korce, zbierają—8; jęczmienia sieją—8, zbierają—32; pszenicy sieją—8, zbierają—30; grochu sieją—3, zbierają—12; owsa sieją—107, zbierają—339; prosa sieją—1 $\frac{1}{2}$, zbierają—6; konopi sieją— $\frac{1}{2}$, zbierają—2; lnu sieją— $\frac{1}{4}$, zbierają korzec.

wnictwo było w dość dobrym stanie. Dowiadujemy się więc, że sady były ogradzane porządnymi płotami, że szczepy okopywano dokoła na wiosnę, na zimę okładano nawozem. Oprócz jabłek, gruszek, wiśni, śliwek, które się suszy i używa na powidła, w sadach Gostomskiego były i orzechy włoskie, i nawet brzoskwinie. Charakterystyczne jest znaczenie, jakie wojewoda przypisuje chmielarstwu; zaleca on z naciskiem: „na rządne się chmielniki sadzić,“ bo „chmiel w wielką drogość wchodzi.“ W istocie, jak wiemy, na podniesienie się cen chmielu wpłynęło nie tylko rozwinięcie się już za czasów Gostomskiego polityki propinacyjnej dziedziców, ale także łatwość zbycia tego produktu w Gdańsku. Mamy więc w chmielarstwie nowy dowód, jak Gostomski stosował swą gospodarkę do eksportu zagranicznego. Musimy jeszcze zatrzymać się na chowie bydła, które, jak już wiemy, otaczał wojewoda szczególniejszą pieczołowitością, rozumiejąc, że bez niego niemożna prowadzić porządnej gospodarki. W Polsce, podobnie jak zresztą i w Niemczech i w Czechach, do końca wieku ośmnastego racjonalnej hodowli bydła stał na przeszkodzie brak pożywienia. Na wiosnę, w lecie, w jesieni, gdy bydło znajdowało sobie karm na pastwiskach, ugorach i ścierniskach, poradzić sobie jeszcze nie było zbyt trudno. Ale szalone trudności przedstawiało wyżywienie bydła w zimie, tak że gospodarze musieli wyzbywać się w jesieni części swego inwentarza, lub wykarmiali je niedostatecznie. W Niemczech w owej epoce, a nawet w wieku ośmnastym, nie należały do rzadkości wypadki, że bydło z końcem zimy było tak słabe, że nie mogło prawie stać na nogach, i niektóre zwierzęta, t. zw. „Schwanzvieh“ musiano za ogon wyciągać na pastwisko. Troska o obmyślenie dobrej paszy dla bydła przebija się w całym „Gospodarstwie“ Gostomskiego. Radzi on o ile możności „siec“ siano dwa razy: po „świętkach“ i po Ś-tym Bartłomieju. Wszakże „późne potrawy,“ których „już słońce ususzyć nie może,“ zaleca wojewoda wypasać. Jak wiemy, brakowi siana zalecał wojewoda zapobiegać, kosząc odleglejsze ugory. Ale oczywiście i ten środek mógł tylko w części zapobiedz brakowi karmu zimowego. W braku lepszego pożywienia, siczka stanowiła i w dobrach Gostomskiego podstawę zimowego pożywienia dla bydła, które po za tem dostawało „zgoniny“ plewy i otręby, według zdania wojewody, szczególniejszej pożyteczne dla cieląt i źrebiąt, nakoniec praktyczny wojewoda radził wypasać bydłem wszystkie zbywające jarzyny rzepy, kapusty, cebulę. Żeby jaknajwięcej słomy i siana zaoszczędzić w porze ciepłej, rżnięto dla bydła chwasty, nawet pokrzywy. Za dobre pożywienie uznaje wojewoda także i słodzi-

ny. Pomimo całej swej pomysłowości, nie był Gostomski w stanie wykarmić przez zimę wszystkiego bydła, to też w jesieni zalecał zabijać słabsze sztuki.¹⁾

W czasach, kiedy wojewoda dyktował swoje notaty, pańszczyzna była już w pełnym rozkwicie, i dworskie roboty wykonywano przy pomocy chłopów poddanych chłopskim inwentarzem. To też po ówczesnych dworach polskich nie trzymano prawie wołów, ani koni roboczych. Gostomski miał wprawdzie w swych folwarkach po kilka wołów i koni pociągowych, ale był to tylko zapas, z którego udzielano poddanym, niemającym inwentarza, t. zw. załogi. Wojewoda wspomina również i o wołach karmnych, które miały być po folwarkach. Niezawodnie jednak najgłówniejszą część obory stanowiło i u Gostomskiego bydło mleczne. W każdym razie pod względem ilości bydła folwarki wojewody musiały wyróżniać się korzystnie: w takich np. dobrach królewskich na Mazowszu nie było podówczas zupełnie skarbowych wołów, a obora składała się wyłącznie z byka, krów i cieląt.²⁾ Mimochodem dał wojewoda w swych notatach kilka szczegółów, dotyczących się urządzenia obór, które świadczą dobrze o jego gospodarności. Obory więc powinny być zbudowane porządnie, miały posiadać pułapy, które tworzyły strych do przechowywania paszy, posiadały podłogi z desek lub bruk, tak urządzone, że płynne nieczystości odpływały po nich do żłobów. Gospodarstwo mleczne nie stało u wojewody na ostatnim planie. Naturalnie o sprzedawaniu surowego mleka nie mogło być mowy, ale znajdowano zbyt na masło i ser. Wyrabiano je, jak się dowiadujemy z notat, głównie na wiosnę, a sprzedawano w dobrze zagospodarowanych majątkach wtedy, kiedy nabiał był najdroższy, t. j. pomiędzy Ś-tym Marcinem, a zapustami, a to, „co-

¹⁾ Oczywiście w jesieni cena bydła spadała ogromnie, to też taki praktyczny gospodarz, jakim był nasz wojewoda, zalecał w jesieni właśnie dokupywać bydła, zabijać je i solić, by mieć zapas mięsiwa na zimę. Not. Gospod. str. 45. Warto zwrócić jeszcze uwagę, że wojewoda dbały o swą oborę, za jeden z pierwszych warunków zapewniających jej stan pomysłny uważał wynalezienie dobrego pasterza. Pasterz, który „ma mieć karb wszelakiego bydła,“ ma być mędrzy niż oracz, bo lada kto rolę zorze, a bydłociu nie lada kto ugodzi, aby je uchował. Not. Gos. 70, 71.

²⁾ Tak np. folwark Radzikowski w starostwie Zakroczymskim posiadał: 1 byka, 5 krów, 2 jałowięc, 8 nieuków, 5 cieląt. Folwark Jazdów pod Warszawą: krów 12, byka 1, cieląt „łońskich“ 3, jałowięc 3 i t. d. Rkps. ks. ks. Czartorys. 3067.

by się do zapust nie wyprzedalo,“ miało iść na targ „przed Wielkanocą aż ku świątkom.“ Notaty Gostomskiego, tak skąpe w szczególności, dotyczące się uprawy roli, są o wiele dokładniejsze, gdy chodzi o chów bydła, znajdziemy więc w nich nawet wyliczenie, ile dzieciowemu powinna przynosić dochodu jedna krowa. Wysokość tego dochodu jest, według wojewody, zależną od wieku sztuki. Młode krowy, które się po raz pierwszy ocieliły ¹⁾, powinny dawać po dwa złote rocznie, tyleż powinny przynosić krowy, które w danym roku cieląt nie miały, krowy starsze po ocieleniu się powinny dawać po 4 złote, które otrzymywano za wyrobiony z ich mleka garniec masła, tudzież 60 groszowych serów. Bądź co bądź, jak na owe czasy, był to dochód dość znaczny, współczesna Gostomskiemu rewizya starostw Mazowieckich wykazała jako dochód od wszelkich krów po złotemu. Być może, że Gostomski, piszący instrukcye dla swych oficyalistów, podawał rozmyślnie zbyt wysokie dochody z obory, przeciwnie zaś dzierżawcy z łatwo zrozumiałych powodów mogli mieć tendencję do wykazywania wydatności swych krów niższą, niż była w istocie. W dobrach wojewody, jak łatwo się domyśleć, nie brakło i owiec, które hodowano tam nietylko dla wełny, ale i dla mleka, z którego wyrabiano ser i masło. 10 owiec powinno było dawać tyle dochodu, co jedna krowa. Godne jest uwagi, że Gostomski zaleca, aby hodowano w jego dobrach polską rasę owiec, gdy był zwolennikiem mieszanej rasy świń i zalecał krzyżować polskie z żuławskimi, pomorskimi i westfalskimi. Praktyczny wojewoda przypisywał niemałe znaczenie hodowli drobiu, przestrzegając, aby po jego folwarkach hodowały dworki nie tylko kury miejscowej i włoskiej rasy, oraz gęsi, ale i kaczki, które w wieku szesnastym nie były bynajmniej po naszych dworach tak rozpowszechnione, jak dzisiaj ²⁾, a dalej indyki i pawie, nakoniec gołębie, które miały stanowić ważną część pożywienia wiejskich oficyalistów. Hodowla koni nie była bynajmniej za czasów Gostomskiego rozwinięta. W folwarkach, należących do starostw mazowieckich, konie należały wprost do rzadkości, wojewoda jednak w paru miejscach robi wzmianki o tych zwierzętach, dowodzące, że po folwarkach jego znajdowały się nietylko stada koni cugowych

¹⁾ Cieląt takich młodych krów „mądrzy gospodarze“ nie mieli chować. Not. Gos. str. 71.

²⁾ W starostwach mazowieckich na paru tylko folwarkach znajdowały się kaczki. Rkps. ks. ks. Czartoryskich № 3067.

i wierchowych, ale i konie robocze, które rozdawano chłopom na załogę. Hodowlę koni prowadził wojewoda w sposób bardzo racjonalny, przestrzegał np., żeby zbyt młodych źrebaków nie dopuszczano do klaczy, co mogłoby pociągnąć za sobą „zeszkapienie stada.“

Nie wiele szczegółów można znaleźć w naszych notatach o bartnictwie: jakkolwiek wspomina Gostomski, że „pszczoły ulenicznie w każdym folwarku rządym mają być,“ nie umieścił ani miodu, ani wosku w swej „Liczbie dorocznej,“ to jest spisie tego wszystkiego, z czego relacye powinni byli zdawać dziedzicowi „urzędnicy;“ widocznie więc w dobrach wojewody, podobnie jak po królewskich folwarkach na Mazowszu, nie zajmowano się pszczelnictwem na większą skalę. Nie wiele więcej poświęca wojewoda miejsca i rybołówstwu, jakkolwiek wspomina nawet o produkowaniu suszonych ryb na sprzedaż ¹⁾. Musimy jeszcze zatrzymać się chwilę na leśnictwie, o którym tu i owdzie wzmiankuje Gostomski. Za jego czasów, wobec łatwości korzystnego sprzedawania drzewa w Gdańsku, umiała już szlachta cenić lasy. Nietylko w dobrach królewskich i majątkach ziemian właściwej Polski, ale nawet we włościach takiego Podlasia, zaczęto otaczać lasy troskliwą opieką, regulować w nich prawo własności, bronić od niepożądanych „uchodów.“ Nic też dziwnego, że i praktyczny wojewoda rozumiał wartość lasów: „kto ma lasy — pisze on w swych Notatach — pewniejszy skarb zostawi potomstwu, niż w skrzyni pieniądze, gdy go nie pustoszy.“ Do lasów swych jest Gostomski prawdziwie przywiązany, żał mu każdego drzewa, które ścięto, bo „drzewo kiedy porąbisz, jako chłopą zabił.“ Główny nadzór nad lasami ma urzędnik; pod jego zwierzchnictwem pozostają gajowi. Tych głównem zadaniem jest pilnowanie, by nie kradziono drzewa i strzeżenie, by gdziekolwiek nie wybuchnął pożar. Jak dalece wojewoda cenił las, świadczy i jego niesłychana surowość wobec poddanych, którzy nie pospieszili na pomoc płonącemu lasowi: „a gdzieby się w boru zapaliło — pisze Gostomski — każdy poddany, ile ich w domu, *pod gardłem* ma biec gasić, jako do dworu, gdyby się zapaliło, tylko dzieci w siedmi lat mają zostać doma.“ Podobnie gardłem groził wojewoda „chłopom,“ a nawet dzieciom, którzyby rozpalili ogień w lesie w czasie „kie-

¹⁾ Wojewoda nawołuje wprawdzie do przygotowywania rozmaitych sieci na ryby do wielkich i małych stawów, zaleca robienie przerebli w zimie, ale po za tem nie podaje prawie żadnych charakterystycznych szczegółów.

dy pożary gorywają.“ Pomimo jednak całej swej troskliwości o stan swych lasów, nie mógł się jeszcze zdobyć na zakaz pasienia bydła w lesie, i to nietylko dworskiego, ale nawet chłopskiego. Nie zdobył się również na krok śmiały, a dla dobra lasów konieczny, jakim by było rozgraniczenie lasu dworskiego od chłopskiego, które można już było naówczas wysledzić nawet w niektórych wsiach bynajmniej nie świetnie zagospodarowanych starostw mazowieckich. Chcąc jednak chociaż częściowo zabezpieczyć lasy od zniszczenia, jakim groziło im korzystanie z nich chłopów, rozkazał wojewoda wydać dla poddanych regulamin, którego mieli się trzymać w użytkowaniu lasów dworskich. Mieli więc poddani tylko w oznaczone przez urzędnika dni jeździć do lasu, dalej, dozwolone im było tylko podejmować z ziemi leżące drzewa. Gdy potrzebowali drzewa do budowania, mieli prawo wycinać tylko te sztuki, które im wskaże urzędnik. Jak wiemy, wojewoda rozumiał doskonale, że nie jest korzystnie wysyłać na sprzedaż produktu surowe, skoro je można na miejscu przerobić, to też radził on gromadzić „przy lesie drzewem robiące rzemieślniki,“ z pośród których najczęściej wspomina bednarzy, dalej mówi o wyrobie gontów, a nawet tartaku „tartym młynie,“ który miał „trzyć tarcice tak cienkie — jako i mięszse wedle potrzeby a rozkazania.“

Zatrzymywaliśmy się już nad wszystkimi gałęziami produkcji, o których wspominają „Notaty“ Gostomskiego, a które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, reprezentowane były właśnie w jego gospodarstwie. Niestety, nie doszedł do nas inwentarz, ani księgi rachunkowe wojewody, na których podstawie moglibyśmy obliczyć, jakie dochody przynosiły jego, bądź co bądź, rządnie prowadzone folwarki. Nie wiemy nawet, w jakim stosunku odnosiły się do siebie dochody z poszczególnych gałęzi jego gospodarstwa. Na zasadzie „Notat“ nietrudno wyciągnąć wniosku, że produkcya zboża była głównem źródłem dochodu, gdy inne gałęzie, jak chów bydła i owiec, nie mówiąc już o sadownictwie, ogrodnictwie, rybołówstwie, dawały tylko dochód stosunkowo nieznaczny, w niektórych zaś folwarkach pokrywały jedynie zapotrzebowanie dworu i oficyalistów. Oczywiście dobra wojewody nie stanowiły pod tym względem wyjątku: podobnie rzeczy miały się naówczas w całej Polsce; wystarczy nam przejrzeć w tym celu chociażby rewizyę starostw mazowieckich, na którą powoływaliśmy się już nieraz. W takim np. Jazdowie dochód ze sprzedaży zboża, tudzież lnu, konopi i siana wynosił 334 zł., podczas gdy sad, ogród, obora i drób razem przynosiły 29 zł. p.; do-

chód ze sprzedaży zbóż był 24 razy większy niż z obory. Podobne stosunki panowały i w innych folwarkach mazowieckich starostw. Ogromna przewaga zysku ze zboża nad dochodami z innych gałęzi gospodarstwa nabiera jeszcze specjalnego znaczenia, skoro weźmiemy pod uwagę, iż, zdaniem wojewody, dochód ze sprzedaży zbóż miał być czystym dochodem dziedzica, podczas gdy inne gałęzie gospodarstwa miały opędzać wszystkie folwarczne wydatki. Wydatki te jednak nie były zbyt wielkie. Dzięki pańszczyźnie, dziedzic nie potrzebował kupować narzędzi rolniczych, ani pociągowego inwentarza, nie potrzebował również opłacać pieniędzmi robotnika, wynagrodzenie zaś nielicznej czeladzi dworskiej i oficjalistów rzadko przewyższało 20 złotych, a niejednokrotnie spadało nawet do zł. 16. Nie darmo też napisał Gostomski, że „robotą chłopków, to dochód, albo intrata nawet szła w Polszcze.“

Dr. IGN. T. BARANOWSKI.

ŁUNA.

XXIV.

Obroński rozmawiał z księżną. Zmierzył Pawła niechętnem wejrzeniem, przywitał najchłodniej, sztywnie ukłonił się księżniczce. Księżna miała niepokój w oczach, ślady wzburzenia na twarzy i pewną, niezwykłą u niej nerwowość w ruchach.

— Spieraliśmy się przed chwilą—zaczęła z pośpiechem—pan Obroński opowiadał o posiedzeniu, które zwoływał... Pan zapewne słyszał i wie...—zwróciła się do Pawła.—Dowodziłam tutaj, że wypowiedzenie wojny żywiołom skrajnym może zaszkodzić sprawie... Pysną ostatnie, łączące ich z narodem więzy.

— Oni sami rozpoczęli wojnę i zerwali — sucho zauważył Obroński.

— Gdyby nawet tak było... Si même et quand même... Powinniśmy walczyć inną bronią i przede wszystkim dbać o to, żeby nigdy nie wymierzono przeciw nam zarzutu, iż rozmijamy się z zasadami i przepisami moralności chrześcijańskiej... Silni będziemy siłą moralną... Obrona wysokich ideałów, to nasze raison d'être...

— Twierdziłem to samo...

— Tak, proszę pana... Ale jeśli wkroczymy na drogę niewiści, powiedzą ci, których pan nazywa wrogami, że podeptaliśmy dogmaty, że czyny przeczą zasadzie, że chodzi nam jedynie o ratowanie przywilejów...

Toczyła się sztuczna rozmowa, która nie zajmowała w tej chwili nikogo. Każdy miał troskę osobistą w sercu i osnuwał dokoła niej swoje myśli. Przed godziną Obroński prosił księżnę o rękę panny Marylki i otrzymał odpowiedź nieokreśloną, chwiej-

na, więc niepomysłną. Wśród banalnych komplementów, banalnych zapewnień o przychylnem usposobieniu matki i całej rodziny, tkwiło źle wróżące napomnienie. Stanowcze słowo, że tylko córka będzie tu rozstrzygała, że trzeba dać siebie poznać, że należy cierpliwie czekać, zaskarbiać sobie względy, bardzo usilnie starać się o pozyskanie łaski... Była to prawie odmowa. Obroński panował nad sobą, ale stał się sztywnym, oschłym, cierpkim. Księżna żałowała doskonale, najpierwszej w kraju partyi, wymawiała sobie zbytnią oziębłość tonu i kilka szorstkich wyrazów, któremi skarciła pewność siebie ordynata, przewidywała, że i za kilka miesięcy córka nie przyjmie, trwożyła się o przyszłość, wahała się, sumowała... Księżniczka po zachowaniu się Obrońskiego, z twarzy matki, z drogiej, dobrej, zaniepokojonej twarzy, w której umiała czytać wszystkie uczucia i odcienia uczuć, domyśliła się, iż podczas jej nieobecności ważyły się tu jej losy — i chciała przy pierwszej sposobności wymknąć się z salonu, wstała, ale matka zatrzymała ją wzrokiem. Trzeba było usiąść i, unikając oczu obu panów, odpowiadać temu, którego nie lubiła, którego bała się, który traktował ją stale jak dziecko, Obrońskiemu, na pospolite, chłodne pytania... Na ścianie, oświetlony lampą, wisiał stary, znany, związany z tysiącem wspomnień, obraz. Zazdrościła w tej chwili świętemu pustelnikowi, że był sam ze swoją księgą i krzyżem u wejścia do pieczary, że modlił się, oddalony od świata...

Paweł zwiesił głowę, nie brał udziału w rozmowie, nie słucał. Poznał brodatego pustelnika na obrazie i zegar, którego cykanie przed kilku dniami napępniało go smutkiem, ale nie żałował tym razem uciekających godzin życia. Poszarpane, niedokładne, chwiejne myśli zarysowywały się mętnie w świadomości i znikwały natychmiast, napływały inne... Przypominały się czasami szczegóły przechadzki po ogrodzie, niby obrazy z odległej, skończonej na zawsze epoki — zasłaniał je żal, przemknęło spostrzeżenie, że Obroński stara się zapewne o rękę księżniczki, zastanawiał się niechętnie i beznadziejnie nad tem, co zrobi z sobą, dokąd pojedzie, jaki uczyni użytek z tych niepotrzebnych dni, które zaczną się za godzinę w pustym mieszkaniu, w pustym domu istnienia, i znowu wracał do ciemnej alei parku, wstępował na szare stopnie werandy, na których pojął, ujrzał z całą pewnością że nie dla niego... że nie będzie nic... że przeminął jasny sen serca... Podnosił ukradkiem spojrzenie na księżniczkę, spotykał chłodny wzrok Obrońskiego, jakgdyby stale w niego utkwiony, spuszczał oczy i pogrążał się na chwilę w obojętności, w zupełnem zapomnieniu o wszystkim. Potem dźwięk jej głosu, ja-

kieś zwyczajne słowo, którem odpowiadała Obrońskiemu, budziły go, i, ocknąwszy się, myślał, że należałoby odejść, że milcząca jego wizyta przeciąga się zbyt długo, że skończyło się, zmieniło się wszystko... Zostawał wszakże... Widział białe, szczupłe, wykwintne ręce księżniczki, spoczywające na sukni, i, patrząc, bezwiednie tworzył przemowę do tych rąk, najdroższych i najczystszych, przemowę, złożoną z prośb i skarg, dotykał spojrzeniem oszytego taśmą rąbka sukni, oddawał hołd. Nie opuszczało go owo dziwne, wynikające z bojaźni, wzruszenia i czci, onieśmienie, które poznał po raz pierwszy tam na ścieżce w ogrodzie. Zestawiał marzenie o szczęściu, świetlistą niemożliwość z rzeczywistością—ukazywał mu się smutek. Za ścianami oświetlonego salonu, z którego trzeba będzie wyjść za chwilę — cykanie zegara przypomina, że czas biegnie, że wizyta trwa długo — za ścianami salonu jest mrok nocy, jest ciemność niepotrzebnego istnienia... Życie woła nań głosem bezdźwięcznym i posępnym, wzywa go, żeby porzucił krainę snu, przybytek cudzego szczęścia, przecudny szlak nadziei... Wije się kędyś tam jego własna droga, pusta i bezcelowa... Przeminięły lata, w których człowiekowi wolno pragnąć, brać, posiadać, radować się... pora odejść stąd, pora zapomnieć i wyrzec się... Niezmierny żal chwycił Pawła, a żal ożywił, wzbogacił, użyźnił skąpe i ubogie, martwe i zeschłe jego serce... Płynęły falą uczucia pierwotne, proste, bardzo prawdziwe, napływały proste, pospolite, a rzewne, myśli o tem, że Obroński będzie przychodził, że usiądą dokoła stołu, w blasku lampy, pod zamodlonym pustelnikiem, że wszyscy zostaną, a tylko on nie powróci tu nigdy, że nikt go nie pożaluje, że trwa i nie kończy się niedola człowieka samotnego... Paweł niżej pochylił głowę... I znowu widział białe ręce na sukni... Drżały lekko palce księżniczki... delikatny rysunek żył... na prawej ręce jakgdyby subtelny znak zapytania... Paweł składał oczami smutny pocałunek pożegnania na tych rękach najdroższych i najczystszych, cudzych...

W pewnej chwili księżna zwróciła się do niego z zapytaniem o zdrowie teścia, o stan interesów Kamienieckich i wynik narady z adwokatami. Opowiadał apatycznie i bezładnie, plątały mu się słowa, urwał, nie wyczerpawszy przedmiotu, i popadł w zadumę. Zresztą i księżna słuchała z roztargnieniem...

Atmosfera w salonie stawała się coraz bardziej ciężką, wysiłki gospodyni nie pomagały, rozmowa gasła ciągle. Poruszano rozmaite tematy. Obroński spróbował wyszydzać erę wolnościową, zapał ulicy, manifestacye i pochody, powódź mów, płynących

„strumieniem błagi do morza banalności,“ rewolucyjną trójcę równości, wolności i braterstwa — niedorzeczne bóstwo tłumu — i przebrzmiały szyderstwa, nie budząc opozycji. Skarciły go tylko przelotnie niechętne oczy księżniczki. Potem odczytano jakąś odezwę, i list od rządcy białoruskich majątków hrabiego Tobiasza, otrzymany przed strajkami, pełen złych wieści i złych wróżb, i znowu omawiano najświeższe wypadki w mieście, wyjazd i fantastyczne, zapewne zmyślane, przygody tych, którzy pośpieszyli zemknąć, wysnuwano domysły co do przyszłości. Padały obojętne, zdawkowe słowa. Paweł leniwie, lakonicznie odpowiadał Obrońskiemu, który zwracał się do niego, niby do wyroczni, traktował, jak wodza, indagował, jak winowajcę.

— Widzę, że nie wolno nawet pytać... trzeba poddać się, iść na oślep... pan zazdrośnie chowa światło pod korcem — złośliwie zauważył Obroński.

— Wystąpiłem, wycofałem się, zerwałem, a pan wciąż atakuje mnie... Czemu pan nie skieruje swojej napaści pod adresem rzeczywistych przeciwników—niecierpliwie odparł Paweł.

Obroński przyglądał się z uśmiechem.

— Pan radzi!...

— Tak, bo szkoda czasu i talentów szermierczych pana... Napada pan na bezbronnego, walczy w próżni, toczy wojnę z nieprzyjacielem, którego tu nie ma... niech pan pójdzie i wypowie im... proszę zmierzyć się z wrogiem...

Twarz Obrońskiego zachmurzyła się. Obaj byli rozdrażnieni. Patrzeli sobie w oczy.

— Zarzut tchórzostwa...

Zaległo milczenie. Czuć było burzę w powietrzu.

— Zarzuca mi pan tchórzostwo... chciał bym, żeby pan powtórzył...

Stanowcze słowo ważyło się na ustach Pawła. Rozumiał, że Obroński nie daruje mu obelgi, że stanie się coś niezwykłego — ale burzyła się w nim złość chciał walki... W tej chwili ukazał się we drzwiach hrabia Tobiasz. Zbliżył się, przywitał gości, wyszedł...

— Brat mój jest strapiony, niespokojny, zgnębiony... nie widziałam go takim — odezwała się księżna, pragnąc usprawiedliwić niezbyt grzeczne jego zachowanie, pragnąc zażegnać burzę — przepowiadał oddawna łuny i pożary, upadek ducha, zachwianie się idei, dziś trwoży się...

— Tymczasem on sam poniekąd przyczynił się... — wstawił Obroński.

— Mój brat?! — zdziwiła się księżna i żeby nie dotykać drażliwego przedmiotu, zmieniła rozmowę.

— Mamy tu niezwykłego gościa... Pewien starzec, podobno ostatni z wielkiej epoki ducha, przemawiał na ulicach, potępiał, próbował ostrzegać... poturbowano go, i Tobiasz, który na to patrzył, zaopiekował się nim, zabrał go z sobą...

— Grzybowski u nas! — zawołała księżniczka — czy można, mamo, pójść?

— Może panowie chcieliby poznać... to człowiek niepospolicity... takich już niema...

Znużona nieznośną atmosferą, która panowała w salonie, bojąc się ponownego wybuchu, księżna wstała i zaprowadziła gości do biblioteki. Grzybowski siedział tam w fotelu. Podniósł na wchodzących wzrok, przywitał skinieniem głowy. Księżna nie zaprezentowała mu panów. Usiedli wszyscy, wpatrywali się w starca. W pokoju chwiały się blaski, które słał palący się na kominku ogień... trzaskały od czasu do czasu suche szczapy drzewa... Grzybowskiemu dokuczyły natrętne i natarczywe spojrzenia przybyłych, którzy przyglądali mu się, jakgdyby jakiemu szczególnemu okazowi, uczynił nieokreślony ruch, powiedział coś, czego nikt nie dosłyszał.

— Dolega wam, ojczy? — spytał hrabia Tobiasz.

— Nie, nie dolega nic — odparł — wdzięczny jestem za opiekę.

Nastało milczenie. Migotliwy płomień kładł ruchome smugi światła na srebrną głowę patryarchy, i wydawało się, że to on się porusza, że to wysuwa się naprzód, to cofa się w tył. Różowy odbłask swawolił u jego stóp na podłodze; padały czasami iskry, świeciły chwilę, gasły...

— Ciężkich doczekaliśmy się czasów — cicho odezwała się księżna.

— Przyjdą gorsze... Zbliża się zaćmienie... W mroku wyłęgna się zmije...

Grzybowski patrzył w płomień.

— Wiem, że to przyjść musi, ostrzegałem — mówił powoli, znużonym głosem, jednostajnie — byłem na ulicach, nikt nie słuchał... Zaslaniają się tarczą i łanią się strzały słów... Świątynie obrócili na giełdy, na ołtarzach — złoty cielec, w duszach rośnie trujące ziele... Dziś burzą — gdy budować zaczną, przekonają się, że nie ostoi się ten gmach... Ukochali ziemię i kłamne moce... Żądze będą ucztować, a na końcu uczyty nie wino, ale krew się poleje...

Obroński słuchał z uśmiechniętym grymasem politowania.

— To jest ten sam, który spaceruje w ogrodzie, zaczepia każdego, samotnie siedzącego na ławie, nawraca—odezwał się szeptem, pochylając do księżniczki — rozmawiałem z nim raz i nie nie rozumiem...

— Pan nie rozumie?

— Bo cóż znaczą owe tarcze, łamiące się strzały słów, kłamne moce, trujące zielska... jakaś apokalipsa... trzeba, żeby ktoś stał za nim i tłómaczył każdy wyraz... Może pani zechce wyjaśnić, skoro rozumie wszystko...

— Panie; najłatwiej jest wyszydzać — chłodno i niechętnie odrzekła księżniczka.

— Tępię, proszę pani, najszkodliwszy chwast, który buja w Polsce i nazywa się: umiłowanie frazesu...

Księżniczka nie odpowiedziała nic. Utkwiła spojrzenie w starcu, ciekawa i przejęta, zachwycona śliczną postacią, urokiem nastrojowej chwili. Zdawało się jej, że prorok biblijny, patriarchy narodu wstąpił pod ich dach i naucza, że mądry i smutny ten człowiek wie wszystko i zadumanemi, wpatrzonemi w płomień oczami, czyta przyszłość, że z ust zawiedłych padają bezcennie słowa, które trzeba jej zapamiętać, zachować, jak skarb na resztę życia. Słuchała chciwie... Na kolanach starca i u jego stóp na podłodze, niby wesołe dzieci, swawoliły blaski ognia, on zaś z przestankami, powoli, urywanemi zdaniami mówił i biadał...

— Nadciąga gorejąca burza... niezmierna łuna na niebie... złe wybuchło jak pożar, ogarnia, szerzy się... Nazywają to zwycięstwem, wolnością, wyzwoleniem... Z grzechu, z nienawiści, z krwi nie urodzi się nowy dzień ducha... Rydwan złotego cielca stratował kwiat obietnic Chrystusowych... chleba, miłości zabrakło w domostwie... żądze usiadły na progach... Człowiek pokochał użycie i ciało swoje i ziemię, upojony mocą, zapomniał... Ale osiągnąwszy potęgę, poznają słabość, a zdobywszy wiedzę, przerażą się...

— Więc cóż, ojczyzna?.. więc nasze nadzieje... — wyrwało się księżniczce.

Grzybowski zwrócił się w jej stronę, szukał oczami, przyglądał się chwilę, nie mogąc dobrze w mroku rozeznąć...

— Umarło to słowo: ojczyzna na ustach czasów dzisiejszych—odrzekł—i niema bodaj ojczyzny. Są partye, stronnictwa, obozy, są wodze, armie, sztandary... waśnią się z sobą i walczą, obozy z obozami, w obozach namioty z namiotami, każdy domaga się berła władzy, każdy najgodniejszy... Gdzież ci, co miłują ojczyznę?..

— Gdzież są ci, co miłują ojczyznę? — powtórzył. Jedni poświęcają się dla proletaryatu, inni pracują dla przemysłu, dla nauki, dla sztuki, inni wymyślili patryotyzm... Trwa wrzawa, podobna szumowi, z którym płytkie wody toczą się po kamieniach, jest zgiełk niesforny, szeleszczą gazety, rodzą się codziennie nowe programy...

Umilkł i znowu spoglądał w płomień. Była cisza. Nikt mu nie zaprzeczał, nikt już o nic nie pytał.

— Ale przyjdzie, rozraduje was — po chwili ciągnął dalej — ukaże się wam ojczyzna... najpierw w sercach i duszach waszych, potem na ziemi w kształcie widzialnym... poza zasłoną teraźniejszości rozwija się dzieło, wzrasta sprawa i nie ustaje trud... Jako ofiara są one trwające męki i bóle, ofiara zaś potrzebna jest, żeby wypełniło się odkupienie...

Obroński kąsał sobie wargi, żeby nie roześmiać się. Niecierpliwiła go cała ta uroczysta scena, w której zdzienniały, zdaniem jego, starzec grał rolę proroka, a wszyscy z nabożnym skupieniem chylili przed nim głowy. Nie rozumiał mglistych przenośni, szukał przewodniej myśli, ukrytej na spodzie urywanych, powleczonej tajemnicą okresów, a uchwyciwszy ją na mgnienie, gubił natychmiast. Przez wzgląd na księżną tłumit szydercze wnioski, chęć poddania trzeźwej analizie mistycznej frazeologii, która rozwiałyby się jak dym—zniecierpliwienie. Przestał słuchać. Próbował parę razy odwrócić uwagę księżniczki od „bredni zdzienniałego patryarchy z przedmieścia,“ a gdy mu się nie udało, znudzony, nie mogąc doczekać końca „żywego obrazu,“ złożył ukłon i wyszedł. Wówczas Paweł zbliżył się do księżniczki, stanął za jej krzesłem, patrzył... On także nie słuchał... Smutek tej godziny pochłaniał mu serce... Biblioteka, stół z piśmami, szafy, majaczące z za szyb, równe, nudne, martwe szeregi oprawnych tomów przypominały odległą chwilę, gdy pewna pani, może najpiękniejsza ze wszystkich, które znał, pani Anna Opolska, w takim samym pokoju, wśród zaduchu książek i nudy sztywnych szaf, doradzała mu, poznawszy dzieje jego młodości, ażeby jak najprędzej rozpalil w sobie płomień uczucia, żeby nauczył się mowy szczęścia i kochania, napełnił radością posępne „oczy życia,“ bo może być zapóźno, bo straszną karą jest próżnia i czczość... I przypominała się jednocześnie czyjaś gorzka, wyrzeczona dawno przepowiednia, że on nie potrafi pokochać, że nie będzie nigdy kochanym, ukazywał się obraz doli stryja Michała Naborowskiego, zdziwaczałego samotnika, który w głuszy wiejskiej utopił zdolności i szczęście, wynurzały się z przeszłości ponure twarze,

lat, które minęły, wysnuwał się wniosek, że przyszło owe „zapóźno,” że sprawdza się przepowiednia... Naborowscy rodzą się pod złą gwiazdą... Ojciec zginął śmiercią tragiczną, stryj marniał... a on, a on? Ze wszystkich jego kolegów każdy miał dom, w którym mieszkała radość, i drogę wytkniętą, tylko on znalazł się na wydmie, tylko on był bez domu, bez drogi, bez celu... Pójdzie stąd w świat, jak żebrak... Gorzki żal gromadził się w duszy Pawła. Pieszcząc pożegnalnym spojrzeniem precudną najdroższą głowę, wyrzekął się nadziei, powtarzał, że nie zobaczy już nigdy, że nie wróci, że odejdzie, żeby nie patrzeć na cudze szczęście.

— Czy pan słuchał uważnie?—szepnęła księżniczka—w tych mądrych słowach zawiera się odpowiedź.

— Znalazłem już odpowiedź, księżniczko...

I znowu pogrążył się w zadumie, pochylał się nad smutkiem swoim. Mowa starca o grozie czasów, o umiłowaniu ojczyzny, o ofierze i odkupieniu płynęła mimo uszu jego, jak szum morza nad głową śpiącego. Zanknął się w celi osobistego cierpienia, i nie mógł jej opuścić, zgłębiał księgę własnego życia i zapomniał o reszcie... Tracił chwilami poczucie rzeczywistości i zdawało mu się, że jest zupełnie sam, w pustce, zawieszony w przestrzeni między niebem a ziemią, że wyszły zeń myśli i dusza, że on jest tylko cząstką mroku, atomem w próżni i że tak będzie trwał... Szelest sukni księżniczki albo jakieś głośniejsze wypowiedziane przez Grzybowskiego słowo rozniecały w nim świadomość... I zanurzał się nanowo w realnym bólu, w beznadziejnych myślach... Widział pusty dom swój, samotną drogę, niedolę, posępny obraz przyszłości, przeżywał smutek rozstania... Niezmiernie drogą i niezmiernie bolesną była ta godzina. Mijała wolno, jak zamysłony, stroskany przechodzień, jak ten, który odchodzi z żalem i wie, że nie wróci. Przemienie i zabierze z sobą wszystko, nawet ona żalność, która pożera oczy, wpatrzona w swoje umiłowanie. Rozpościera się za nią mrok, a w mroku—szereg dni, jak owe na półkach martwe nudne rzędy książek... Wzdrygała się w przerażeniu dusza Pawła, i płakało pierwszy raz po latach, po latach ubogie i skąpe, zaschłe i zimne serce. Najstraszliwszą była myśl, że rozwiął się jedyny sen o szczęściu, że umarła ostatnia jasność na ścieżce człowieka skrzywdzonego, że taką jest dola jego, że tak już będzie na zawsze... Godził się z losem swoim, poddawał się, sam zgasił nadzieję, a mimo to spodziewał się jeszcze czegoś niewiadomego.

Lokaj zameldował jakąś wizytę i obie panie wyszły. Zostali we trzech w pokoju. Grzybowski, znudzony długim mówieniem, umilkł. Płomień huczał i gwarzył, napelniał ciszę wesołą, lekko-

myślną opowieścią, nie zastosowaną ani do chwili, ani do tych zadumanych ludzi, strzelał iskrami i były to niby wybuchy śmiechu, pełzał pieszczotliwym migotaniem po zmęczonej postaci starca, weselił się on jeden w tym posepnym pokoju, zdawało się, i śpieszył kędyś... Spoglądali w jego zmienne, ruchliwe, jasne i radosne oblicze ci trzej zamyśleni ludzie, ścigali spojrzeniem duszy—każdy odmienne obrazy. Trwało długie milczenie.

— Widujemy się z panem rzadko — odezwał się do Pawła hrabia Tobiasz — pan pisał do mnie niegdyś... odpowiedziałem... ale rozeszły się nasze drogi...

— Rok cały—ciągnął dalej—spędził pan z tymi, którzy dziś obchodzą dzień zwycięstwa — i właśnie teraz najniespodziewaniej pan rozstał się... mówiono mi... Widzę w tem dowód, że nie uganiał się pan za popularnością, że pan szczerze szukał... Łuna przeraziła pana, poznał pan głębiej cele, potępił środki, zwątpił— i zmienił kierunek...

Hrabia Tobiasz podniósł na Pawła wzrok, którym zapytywał, ale on patrzył w ogień.

— Z powodu listu owego, którym pan mnie zaszczycił, nie traciłem pana z oczu i nie traciłem nadziei... Staliśmy wówczas w epoce, w której pan zwrócił się do mnie, bardzo daleko. Wskazałem panu cel, nie wskazawszy dróg... Wiedziałem, że pan je znajdzie... Przechodziłem sam różne koleje, ulegałem prądom, błądziłem... cenną i trwałą jest tylko ta prawda, do której się dochodzi przez cierpienie ze znojem w duszy...—przyjaźnie brzmiały słowa hrabiego Tobiasza.

— Nie znalazłem, proszę pana — chłodno odpowiedział Paweł—ani nowych dróg, ani nowej prawdy... Nie obrałem żadnego kierunku i nie będę szukał... Pan, zdaje mi się, należy do kategorii ludzi, zajętych uszczęśliwianiem ludzkości—ja wyparłem się na zawsze tych zamiarów... cele ogólne zatapiają jednostkę tak, jak powódź zalewa żdźbło trawy na łące... Spojrzałem oczami człowieka śmiertelnego, człowieka, który żyje raz jeden, przychodzi na wieki, przekonałem się, że należy żyć dla siebie, korzystać z daru istnienia... Byłem długo, jak muł... ciągnąłem zażarcie abstrakcyjny wóz celów ogólnych, wóz ojczyzny, nauki, proletaryatu — i nie zyskałem nic... odejdę w mrok z próżnymi rękami...

Hrabia Tobiasz słuchał ze zdumieniem dosadnych zdań, wypowiedzianych niechętnie, a z nutą rozdrażnienia w głosie, z odcieniem zjadliwości.

— Ubolewano tu, że zabrakło takich, co by miłowali ojczyznę... Wyznaję, że i ja nie miłuję ojczyzny... Nie obchodzą mnie także ani dzieje proletaryatu, ani zdobycze nauki, ani postęp... mam własne życie, jedno jedyne, znikome... i pragnąłbym z niego wydobyć... jeśli nie jest za późno... Pamiętam radę pana... Nie zrozumiałem jej wówczas... Co to znaczy obumrzeć, jak ziarno pszeniczne? Nie chcę, panie, tej śmierci i wolę życie... Boję się tylko, że już zapóźno... — urwał, zgnębiony wyrokiem, który sam wydawał na siebie.

— W obliczu śmierci zastanawiałem się, dociekałem, szperałem w sobie i w życiu. Wysnułem wniosek, że szczęście mogłoby być realną wartością, że szczęście, gdyby istniało, usprawiedliwiłoby, nadałoby sens doli człowieka... A jeśli niema szczęścia, życie wydaje się niedorzecznem... Ludzie mijają, jak cienie, pragnąc i czekając nadaremnie, lata uciekają, niedola trwa długo... I lepiej byłoby nie istnieć...

— Ile dni pan zgłębiał zagadnienie życia i śmierci?—szorstko przerwał mu hrabia Tobiasz.

— Ile dni, pan zapytuje... Nie zapisywałem w kalendarzu. Myśli te nasunęły mi się niedawno...

— I już pan zdążył zwątpić o wszystkim, zdeptać ład świata, wykreślić z życia rzeczy wieczne i święte... Jakiś zawód osobisty, jedno niepowodzenie czy rozczarowanie popchnęły pana w objęcia przeczenia...

Hrabia Tobiasz postąpił ku Pawłowi, pochylając się, patrzył z blizka, mówił twardo:

— Przekonania, stronnictwa może pan zmieniać, ale ducha zabijać w sobie niewolno... Trzymał pan w ręku, niby numery dzienników, rozmaite programy, skleił z nich jakie takie credo, zamieszkał w splecionym naprędcie szafasie, a że wiatr czasu wyrócił go, bluźni pan prawom i prawdzie... Niech pan sądzi i potępia siebie samego, ale nie świat, który stworzony nie dla pana... Stoczył się pan w dół, szczyty istnieją wszakże... Nie było w panu wiary, zapracowanej krwawo, zdobytej na własność, utrwalonej na opoce ducha...

— Nie było—obojętnie powtórzył Paweł.

— Należy szukać... znajdzie ją pan... „światłość prawdziwa oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego.“

— Pan twierdzi, że jest światłość prawdziwa...

— Tak... i zamykać oczu, przeczyć lekkomyślnie nie wolno—surowo mówił hrabia Tobiasz.

Paweł spuścił głowę, dumął. Stał oto przed nim człowiek, mądry i stanowczy, ten sam, do którego w godzinach trwogi zamierzał udać się, którego chciał prosić, żeby zgodził się być mu nauczycielem, i przyszła właśnie chwila, doniosła, odpowiednia, w której mógł pytać... Ale cierpienie zgasiło pracę wewnętrzną, stłumiło one żadne wiedzy pragnienia, odsunęło tamten niepokój... W znękanem sercu rozlegał się szept zniechęcenia: czy warto? cóż po długich rozmowach? do czego prowadzą? nie zmieniają rozumne słowa przeznaczenia, nie odrobnią, nie przywrócą... Ogarniało Pawła znużenie, i nie chciało mu się brać na barki ciężaru zagadnień... Usiłował wskrzesić w sobie owe myśli, które wrzały w duszy przed niewielu dniami.

— Pan twierdzi, że jest światłość prawdziwa — rzekł cicho martwym głosem — proszę mi wskazać... Był czas, że miałem zwrócić się do pana, nie mogąc podołać... Zarzut egoizmu legł w poprzek nowej drogi... Wydawało mi się, że życie jednostki ma znaczenie i wagę, zawiera ukrytą myśl, że człowiek spełnia jakieś zadanie, że śmierć nie powinna być końcem, że trzeba żyć dla siebie, i tu właśnie egoizm...—przypominał niedokładnie.

Nużyła go rozmowa, krępował badawczy wzrok hrabiego Tobiasza.

— Niech mi pan wskaże... wdzięczny będę... Odwróciłem się od spraw społecznych, a nadeszła pora, w której człowiek wyrzeka się dążeń osobistych... znalazłem się w próżni... Wspominałem o szczęściu, ale nie dlatego, żebym je posiadał... właśnie przeciwnie...—głos złamał mu się... skończył.

Nastało milczenie. Hrabia Tobiasz przyglądał się wciąż Pawłowi, i czekał może dalszego ciągu wyznań.

— Pan chce, abym wskazał, wyłożył, pożyczyl—zaczął wreszcie sam—trzeba zdobyć samemu... mówiłem już... — zawałał się.

— A jeśli spadły na pana ciosy—dodał ciszej—zniechęcenie brzmi w niektórych słowach pana... to jedno powiem, że nie dla szczęścia rodzi się i żyje na ziemi człowiek.

I znowu było długie milczenie. Paweł zastygł w obojętności. Nie obchodziły go podniosłe, chłodne prawdy, nie obchodziła owa trudna i twarda wiara, którą zdobywa się w cierpieniu. Cierpienia i smutku miał dosyć... Wlepił oczy w ziemię, bezmyślnie zabawiał się migotliwym blaskiem, który drżał w tem miejscu na podłodze. Hrabia Tobiasz przeszedł się po pokoju, dorzucił dREW do kominka, zadał pocichu Grzybowskiemu jakieś pytanie, rozmawiali...

Nagle zaszeleściła gdzieś suknia... Paweł drgnął, przecuwając, kto idzie...

— Pani Kamieniecka jest u nas i chciałaby widzieć pana—zaprosiła księżniczkę.

Poszli razem. W jadalnym dzieci, które pod przewodnictwem Angielki śpieszyły na podwieczorek, zabiegły im drogę. Mały, trzyletni Jacek uczeplił się sukni panny Marylki, nie chciał puszczać. Wzięła go na ręce, trzymała chwilę, pocałowała w czoło, oddała Angielce... To krótkie mgnienie zostało na zawsze w pamięci Pawła. Widział precudne zapłonienie, słodki uśmiech ust, miłujące spojrzenie oczu, macierzyńskie tulenie dziewczycych ramion, wstydlliwość uczucia... była to jakoby przelotna wizya przyszłych dni, cudzego szczęścia...

— Jacek lubi mnie za bajki, które mu opowiadam... lubimy się bardzo... to Beniaminek—tłumaczyła księżniczkę.

Wchodzili już do salonu, gdzie pani Henryetta prowadziła żalowaną rozmowę. Wyglądała jak obraz niedoli w swoich krepach, czarna od stóp do głowy. Opowiadała o atakach męża i ostatnich chwilach Agi, o książce, podniosłej a krzepiącej, przysłanej przez hrabinę Skomoroch, i mszach, zakupionych przez służbę. Potem ubolewała nad stanem miasta i położeniem w kraju, nad podeptaniem zasad, nad socjalizmem, nad przerażającym rozzuchwaleniem...

— Rozczuliła mnie wszakże i pocieszyła pewna drobnostka—mówiła, ruchliwemi oczami przebiegając po obecnych, zwracając się w szczególności do gospodyni—podzielę się z panią, bo w czasach tak smutnych przyjemnie postyszeć, że nie jest jeszcze zupełnie źle... Otóż przed kilku dniami robotnicy, którymi opiekowałam się trochę, spotkali naszego stangreta i polecili mu powiedzieć nam, że możemy się nie obawiać, że nic nam się nie stanie, że oni będą nas bronić... Moja panna służąca otrzymała także list ze wsi od swoich, w którym donoszą jej, iż szlachta zaściankowa, włościanie, fornale, postanowili czuwać nad naszym miem, postanowili nie dopuścić do rozruchów...

Pani Kamieniecka spojrziała na wszystkich po kolei.

— Prawda, że takie objawy pokrzepiają i cieszą... Nic tradycyi jeszcze nie zerwana... dobre ziarna przynoszą owoc... Rozdawałam tym biednym, ciemnym ludziom trochę książek, gawędziłam czasami.

— To jest coś zupełnie wyjątkowego...—zauważyła prawdziwa księżna—mój brat i ja pracowaliśmy dużo i na wsi i tu i właśnie blizcy jesteście zniechęconia...

Pawła niecierpliwiła dziś znana mu dobrze naiwna, płytka frazeologia teściowej. Rzucił w nią niechętnem spojrzeniem, jak gdyby pragnął zamknąć jej usta, popatrzał w oczy księżniczki... I chciałby odezwać się do niej, ale nie umiał zacząć... Spozstrzegł, że ona zmieszała się, że odwróciła nieco głowę, spojrzenie jej pobiegło ku pustelnikowi, potem ku oknom, za którymi, wśród ciemnej nocy, dumwały, szumiały może, drzewa ogrodu... Patrzali tam chwilę oboje... Paweł szukał w sobie owego jedyne go, ostatniego słowa, którem pożegna ją...

— Byłam dziś na grobie Agi—zaczepiła go naraz pani Kamieniecka—zaniósłam kwiaty...

Paweł poruszył się niespokojnie na krześle, milczał. Była cisza.

— Rozmawialiśmy onegdaj cały wieczór z Pawłem o naszej drogiej zmarłej, przeglądałiśmy pamiątki... — smutnie opowiadała dalej teściowa.

Paweł wstał niespodzianie i zaczął żegnać się. Nie patrząc, niezgrabnie, nieufnie podał rękę księżniczce, dotknął za ledwie jej palców, cofnął się natychmiast i nie powiedział nic... Wyszedł... Panna Marylka odprowadziła go wzrokiem do drzwi. W jej sercu żal mieszał się z uczuciem ulgi...

— To jest człowiek ogromnie zacny... poznałam i oceniałam jego dobroć w nieszczęściu... okazał nam tyle współczucia... garnie się do nas—po francusku mówiła o Pawle pani Henryetta.

Księżna potakiwała z roztargnieniem, zajęta domysłem, który nasunął się jej w tej chwili i przyglądała się badawczo córce... A potem, gdy zostały same, streściła jej swoją rozmowę z Obrońskim i znowu szukała w oczach potwierdzenia owego domysłu. Panna Marylka miała wyraźną niechęć do Obrońskiego, widziała w nim okrucieństwo i twardość, chłód i zarozumiałość, zarzucała mu brak patriotyzmu, egoizm... Nie pomogły dowodzenia księżny, która w trosce o przyszłość, w uznaniu świetnej partii próbowała bronić, próbowała zlekka doradzać. Panna Marylka odmawiała stanowczo...

Umilkły wreszcie, obie znępane tem pierwszym nieporozumieniem, zgnębione doniosłością chwili... Księżniczka pieszczotliwie tuliła się do matki, całowała jej stroskane czoło.

— Pan Naborowski — zaczęła nieśmiało — pan Naborowski, mam, także...

Przywykła spowiadać się matce ze wszystkich myśli, matka przywykła zgadywać...

— Paweł?!—zdziwiła się księżna—Paweł, który przed kilku dniami pochował żonę...

— Nie wiem napewno, nie mówił mi nic... domyślam się — tak mi się wydaje...—wstydliwie wyznawała.

— I ty, Marylko, wołałabyś jego?...

Niepokój był w głosie księżny.

— Nie, mam... i on nie...—szepnęła.

Ogarnęła ją zaduma... I marzyło serce o tym, którego wyśniła w ciszy dziewiczego pokoju, którego nie spotkała nigdy, któremu oddała duszę i zaprzysięgła wierność, którego goniła tęsknotą po świetle... Był kędyś daleko, nieznanym a drogi — nie przychodził... czekała, jak w onym wierszu, który lubiła nucić, patrząc ku drodze, biegnącej przez pola puste i senne o godzinie zachodniej.

Et s'il revenait un jour

Que faut-il lui dire?

— *Dites lui qu'on l'attendit*

Jusqu'à s'en mourir.

Et s'il demande où vous êtes

Que faut-il répondre?

— *Donnez lui mon ameau d'or*

Sans rien lui répondre.

Et s'il veut savoir pourquoi

La salle est déserte?

— *Montrez lui la lampe éteinte*

Et la porte ouverte.

XXV.

Płynęły dla Pawła jednostajne dni smutku. Nieobeznany z bólem nie przypuszczał, nie wiedział, że cierpienie może trwać i nie kończyć się, że miazdząca moc jego zawiera się właśnie w owym przewlekłym trwaniu, że nie zawsze zjawia się dobroczynna wróżka dla przecięcia długiego pasma. W pamiętnej godzinie rozstania ukazywał mu się posepny i beznadziejny obraz przyszłości, a mimo to spodziewał się, że los wskaże mu drogę i wyjście, iż przyjdzie jakieś rozwiązanie, nastąpi jakiś koniec, stanie się coś, co położy kres, spodziewał się czegoś niewiadomego. Zgasił nadzieję, ale czekał jeszcze... Tymczasem płynęły jednostajne dni smutku. Ciężką była nuda, którą niósł; niepokojącą—próżnią, w której zawisł; niezdolną—pustką, przez którą szły, budząc ponure echo; najgorszą zaś — obawa, że ten ich

szereg ciągnąć się będzie bez zmiany, bo wypowiedzianem zostało ostatecznie słowo, bo już nie pora zaczynać... Tam, za oknami milczących pokojów wrzało miasto, budzące się codzień z innym uczuciem, pełne naprzenian radości to strachu, walczyły partye, brzmiał śpiew wolności, odbył się pochód, podobno wzruszający, podniosły i wspaniały.—Paweł stał poza życiem, beczyny, zniechęcony, obojętny i mierzył jałowe rozłogi swoich myśli zgaszonym spojrzeniem. Zerwał wszystkie wiążące go ze społeczeństwem nici—ludzie odwrócili się od niego z niechęcią, zapomnieli o nim, wykreślili imię jego ze swoich rachunków bieżących. Nikt go nie odwiedzał, nie zapraszano na posiedzenia, nie kołatano o składki, upadły naraz wszystkie sprawy i była dokoła domu jego jakgdyby bezлюдna pustynia. Kamieniecy, którym dopomógł w kłopotach funduszowych, udali się pierwszym kuryerem na południe, dla poratowania gasnącego zdrowia pana Hilarego; Obroński zamknął się pogardliwie w swoim pałacu, zgnębiony zwycięstwem ulicy; Śniałowskiego porwał szybki prąd wypadków i niósł może ku brzegom chwały, może w odnetę zatracenia; panna Malinowska przestała dokuczać; dom księżny skrył się za czarną chmurą... Paweł trwał przy projekcie podróży. Kazał spakować kufer, przejrzał rozkład pociągów, przygotował pieniądze, ale leniwie odkładał wyjazd z dnia na dzień... Dokąd miał jechać? Do Naborowa, żeby przyjrzeć się zmarnowanej doli stryja Michała? do Włoch, żeby wśród obcych ludzi, pod obcym niebem tęsknić do swoich, do bliskich, których nie było? na kraj świata? do przylądka Dobrej Nadziei, który istniał tylko na mapie? Więc zostawał i wlokły się ociężałe, niepotrzebne godziny... Wstawał, snuł się po pokojach, jakgdyby oczekiwał czegoś, kładł się spać, nie doczekawszy...

W mieszkaniu panował wzorowy ład. Skarcona służba odzyskała dawną sprawność, świeciły wyfroterowane starannie posadzki, połyskiwały wymyte lustra, znikły pajęczyny i kurz, w porę podawano wyborną kawę, dobre śniadanie, obfity obiad, za naciśnięciem dzwonka zjawiał się natychmiast dawniej zwykle nieobecny lokaj, zgadywał życzenia. Ale ten doskonały porządek, owa wygoda, pomyślność i łatwość niecierpliwiły Pawła, bo tem jaskrawiej występowały na jaw bezcelowość istnienia, próżnia i próżniactwo, tem ostrzejszem stawało się poczucie rozprzeżenia, zamętu wewnętrznego. Podobnie rażą wzrok wiszące na ścianie kosztowne ramy, gdy ktoś wyjmie z nich obraz... Nie mogąc znaleźć zajęcia, przeglądał książki, stopy przewertowanych niegdyś przed napisaniem sławetnej rozprawy dzieł, odczytywał pierwszy

lepszy rozdział, zamykał książkę, brał inną. Nuda wiała z po-
żółkłych stronic suchej i martwej nauki, która tak się miała do
życia, jak kościotrup do żywego człowieka; nie potrzebował wie-
dzy o tworzeniu się społeczeństw, o walkach plemion pierwotnych,
o prawie naśladownictwa, o powstawaniu gatunków... Były to
sprawy nieskończenie odległe, obce i obojętne. Trzymał w obję-
ciach, niby matka chore dziecko, własne życie swoje i nie wie-
dział, co z niem uczynić...

Któregoś dnia, pragnąc spełnić obietnicę daną księżniczce,
kupił sobie psalmy angielskie i przejrzał uważnie od początku do
końca. Podczas czytania, jak w kościele na nieszporach, to uka-
zywała mu się moc Boga, moc niepojęta, niezmierna, straszliwa,
to odzywały się wątplenia, i przesuające się przed oczami wy-
razy traciły sens i nie umiał znaleźć związku, pasma łączącego
między Bogiem, dalekim, wielkim, możliwym, a człowiekiem ma-
łym, znikomym i cierpiącym. Bóg stawał się abstrakcją, niwe-
czącą jednostkę tak jak naród, ojczyzna, idea... Nie odzyskał te-
dy wiary, mimo, że chwilami wydawało mu się, iż religia jest
niby świetlista dolina, że księżniczka naznaczyła mu w niej spo-
tkanie (jak w onym ogrodzie na wiosnę) i czeka na niego, mimo
że słyszał jej głos, trochę wzruszony, którym odpowiadała na
jego pytania, i widział ją zbliżającą, klęczącą przed ołtarzem z ni-
sko pochyloną głową... Zresztą on nie szukał wiary. Minęły
godziny, w których, przerażony śmiercią, spragniony prawdziwe-
go życia, życia, któreby nie rozpadało się w proch od technienia
śmierci, gorączkowo, pracowicie, niespokojnie przebiegał obszar
wiedzy ludzkiej i domagał się dokładnej, rzetelnej odpowiedzi na
zasadnicze pytanie, gdzie leży cel, jaką jest trwała myśl istnie-
nia. Obecnie po stopniach cierpienia osobistego szedł do ciasnej
celi, gdzie otoczył go mrok, i stracił z oczu wysokie szlaki i za-
chwiała się w nim instynktowa, normalna wiara, na której opie-
rał się, która pokrzepiła go w znękanii pewnego poranku, gdy
patrzył w bielejące świtem niebios, w łagodną obietnicę dnia.
Napróżno powtarzał sobie surowe słowa hrabiego Tobiasza i wła-
sne rozsądne wnioski o szczęściu; napróżno starał się znaleźć po-
ciechę i spokój w trzeźwym rozumowaniu — wskrzeszone serce
tęskniło, pragnęło, skarżyło się, marzenie kreśliło nieustannie
obraz życia, który mógłby zajaśnieć, gdyby nie było zapóźno,
i oczy kochały swój sen, żeby potem z odrazą wrócić do rzeczy-
wistości, zestawiać, smucić się,—i podnosił się bunt...

Twardą była dola, pod złą gwiazdą rodzili się Naborowscy.
Wszyscy ci, których znał, o których słyszał, dawni koledzy szkol-

ni i uniwersyteccy, towarzysze z partyi, znajome w świecie mieli cele, stanowiska, jakieś zajęcia i radości, tylko on zmarnował lata, nie zbudował sobie trwałego domu i znalazł się w próżni, stanął na wydmie w wieku, w którym zapóźno jest zaczynać na nowo... Żenią się ludzie, hodują dzieci, kochają żony, rządzą majątkami, zakładają fabryki, ślęczą w biurach, wydają gazety, kupują i sprzedają kamienice, rzeźbią posągi, jedni robią pieniądze, drudzy poświęcają się idei, każdy idzie własną ścieżką od początku do końca, zadowolony i spokojny, rad z siebie i z życia—tylko on nie znalazł ani drogi, ani zadowolenia... Dlaczego?

Całemi godzinami z okna salonu przyglądał się przechodniom na chodniku, i, dumając nad dolą tych mijających ludzi, widział wyraźne zarysy domów ich życia i próżnię własnego istnienia. Z trwogą odsuwał przypuszczenie, że tak już zostanie, że nie wyrośnie nowy gmach... W powieściach, które czytywał niegdyś, bohaterowie zmagali się z bólem, zwalczali rozmaite przeszkody, borykali się ze złem i zwyciężali albo zwyciężeni ginęli; słowem, był zawsze epilog, była jawna kropka nad i i kropka po końcowym wyrazie. W jego zaś życiu, złożonem z luźnych rozdziałów, brakowało rozwiązania. Po różnych próbach, przejściach, przemianach uczyniła się pustka—czyżby takim miało być dokończenie? Wertował pilnie swój dziennik. Zinartwychwstały w pamięci dzieciństwo posepne, któremu los ukradł radość i naiwne szczęście, chłodna pracowita młodość, pozbawiona marzeń, porywów, kochania, wreszcie epoka dojrzałości, obcował z sobą, badał, starał się poznać siebie. I dojrzał przewijającą się przez szczere wyznania linię przewodnią ambicyi, zauważył, iż kamieniem węgielnym budowy były przekonanie o wyższości własnej, wiara w szczególne posłannictwo, spostrzegł, że na zimnej powierzchni jego życia nie zaświeciła nigdy gorąca smuga uczucia, widział zawody, upadki, rozezarowania, niepowodzenia. Nasuwał się wniosek, że linia wytyczna była błędną, a kamień węgielny kruchym. Z ziarna ambicyi wyrosło drzewo, które pochłonęło wszystkie żywiące soki, wysuszyło i zubożyło glebę, zagłuszyło wszelką inną roślinność... Zagłębiając się w sobie, bezstronnie wydawał sąd i potępiał. Jak przed laty w noc gwiazdzistą po pewnym nieudanym odczycie mierzył swoją postać miarą właściwą, nazywał rzeczy po imieniu, tylko że dziś korzył się, godził się z losem, pochylał się ze skruchą pod wyrokiem, który był surowy i twardy. Czynił długą spowiedź. W uniesieniu żalu wytykał sobie błędy i grzechy, winy i wady, wytykał oschłość, brak szczytnych umiłowań, pychę, samolubstwo, uznawał ubóstwo, kar-

cił ambicję i próżność, mówił sobie całą prawdę. Zdarzały się chwile, że zrywał mu się w duszy płacz, płacz nad zmarnowanym życiem. Zazdrościł ludziom, którzy szli chodnikiem, chciałby być najmniejszym, najlichszym, najbardziej przeciętnym, byleby zdjęto z niego ciężar lat, straconych bezpowrotnie, brzemień odpowiedzialności, byleby znikła zmora przeświadczenia, że już za późno. Ale nie było tego, któryby go rozgrzeszył i podał w czarze przebaczenia nadzieję i rozwiął wątplenie... Z jednej strony stało ponure widmo przeszłości, z drugiej przed wzrokiem leżała martwa równina przyszłości, na terażniejszość cierpienie kładło czarne cienie. Próbował odegnać cierpienie, zmódc je jakimkolwiek orężem, uczynić nieszkodliwym. Myślał o śmierci i odwracał się od niej ze zgrozą, z tem większem przerażeniem, im straszliwszą wydawały mu się próżnia i czczość własnego życia. Myślał o ojczyźnie, o stronnictwach i rewolucyi, o idei i poświęceniu, które zapełniłoby mu lata — i wbijał w ziemię zawstydzone spojrzenie: przekonywał się, że nie miłował ojczyzny, ludu, nauki, idei... Przypominał nauki hrabiego Tobiasza — były mądre, chłodne, niedostępne, w sercu odzywała się skarga. Wspominał ciche i nieśmiałe uwagi księżniczki, w których ona wskazywała mu Boga, posłuszeństwo, spokój prostoty, „niech pan bierze z prostotą i siebie i życie, jesteśmy podwładni“ i ważył je badawczo, a z wiarą ale nie pojmował... Tak tedy oręż, po który sięgał, żeby zadać cios cierpieniu, łamał się... nie było rady, pociechy, pomocy. I mijały długie, jednostajne dni smutku. Trwoga padła na Pawła. Postanowił nieodwołalnie wyjechać, uciec od niedobrych uczuć, które zaczynały budzić się, od wspomnień, z tego mieszkania, które zniemawdził, z miasta, które radością urażało jego niedoli, pracą — jego bezczynności, od ludzi, którym zazdrościł, skryć się kędyś, schronić się...

Przed wyjazdem w niedzielę uległ pokusie, wybrał się do kościoła. Tak samo odbywały się nieszpory, modliły się tłumy, w organach luezała wspaniała pieśń, księżniczka klęczała w tym samym miejscu, świątynia pełna była chwały Boga. Wspominał. Ogromny żal wstrząsnął sercem, wybuchnął w głębiach płacz, cisnęły się na usta proste skargi, ogarniało dziecięce wzruszenie, w którym tkwi żałosna litość nad sobą. Chciałby błagać kogoś... Spojrzenia pobiegły ku blaskom ołtarza i dalej w mrok absydy ku witrażom, zawisły w ciemni pod sklepieniem, szły dalej i wyżej w przestwór niezmierny, myśl wzięła chwiejny lot, wahała się chwilę i zanurzyła się w obszarach nieznanym, wzbijała się, dążyła. I przyszło mgnienie, w którym, jak dreszcz, przeniknęło

Pawła poczucie bliskości Boga i nikczemnej małości własnej, poczucie owego niepojętego i niedostrzegalnego pierwiej związku. Zdawało mu się, że nie jest już sam, człowiek znikomy, lichy, drobny, zły i nieszczęśliwy; sam, ze skołataną i zbłąkaną myślą, z cierpieniem, z niepokojem, z nudą w obliczu obojętnego świata, który weseli się, pracuje, trwa i szydzi z niego, ale że roztacza się nad nim jakowaś miłościwa opieka, że czyjaś wiedza czuwa nad nim, że czyjeś troskliwe oczy patrzą mu w duszę i czytają z niej, że jest nad nim wola, która kieruje... Zdawało się, iż spadły mu z ramion ciężar zmarnowanych lat, brzemień odpowiedzialności, że powraca młodość. W poczuciu małości własnej zmałały cierpienie i gorycz życia, ucichły w tej chwili skargi. Jakaś nadzieja uśmiechała się w sercu... Dobroć tuliła go do swego łona—i stał się pełen dobroci, czyjaś najśodsza miłość przebaczyła mu—i trysły w nim źródła miłości, pokochał klęczące tłumy, księdza, który śpiewał, kamienną płytę, na której stał, leniwe pasmo kadzidła... Widział nieskończone rozłogi, a wśród nich nikłe dźbełko, ogarnął wieczność, ujrzał ład i prawo, zaczerpnął wiedzy, zgłębił przeznaczenie, pojął niedolę i zadanie...

Działo się to kędyś w przybytku duszy, prawie za progiem świadomości,—świadomość nie zdołała uchwycić, odbić, utrwalić. Została pamięć smugi świetlistej i olśniewającej, pamięć wyrazów, które w onem mgnieniu wybiegły na wargi (wypowiedziała je niedgdyś księżniczka) „dusza idzie do Boga, który jest ojcem, zostały spokój i ukojenie.“

Wyszedł z kościoła, podążył w oddaleniu za księżniczką, odprowadził ją do domu, gonił za nią wzrokiem, a gdy znikła, okrążył ogród i znalazł jakąś furtkę, którą zapomniano zamknąć. Był już wieczór i wysokie, potężne drzewa milczały w ciemności. Nie poruszyła się gałąź, nie spłynął liść.. Jak duch, kroczył aleją „królewską,“ odszukał ustronie, cichą łąkę, dwie jodły, smutne w swoich żalobnych szatach, dwa olbrzymie, nieruchome, posępne cienie, zadumane nad grobem jakiejś radości, dwie ogromne, tajemnicze myśli i onań mniejszą jodełkę, pochyloną naprzód i dąbek... Na wypogodzonym niebie było złociste święto gwiazd... roily się, migotały, drżały, skrzyły się i chwiały obojętne gwiazdy, spoglądały z niezbadanych odmętów świata, z mrocznej otchłani wieczności... chłodna cisza nocy zawisała nad ziemią... Dumając, Paweł dziwił się spokojowi, który uczynił go łagodnym i mądrym, pytał, zali długo potrwa to ukojenie, trwożył się, że przemienie... patrzył w niezmierne niebiosy... Potem szukał oczami pałacu i zęgnął świecące w dali po przez konary jego okna.

W sercu wychyliły się dobre, gorące słowa życzenia, ażeby ona, ona przynajmniej, gdy jego gnębi smutek, znalazła szczęście, ażeby ominęły ją niedole, ażeby nigdy nie płakały jej drogie oczy... Składając u jej stóp dobre życzenia, słowo rozłąki, cenną perłę kochania, sam poddawał się, wyrzekał się, przyjmował cierpienie.

I miały przyjść dla niego dni bólu, tęsknoty, samotności i zwątpienia, ale boleść, jak pług, przeorała mu duszę i przygotowała ją pod posiew nowych umiłowań i nowych radości.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

K O N I E C .

Ruch literacki we Francyi.

(D R A M A T).

Podobnie, jak w innych jej działach, literatura francuska w dziale dramatu odznacza się w ostatnich latach pewną rozbieżnością w dążeniach ideowych i różnaitością w koncepcyi utworu scenicznego, jego celu i zadaniu, posiada jednym słowem tenże charakter indywidualizmu, który stanowi jedną z cech głównych doby obecnej.

Prądy ogólne, które z kolei brały górę od czasu upadku naturalizmu, nie przeszły również bez wpływu i w tej dziedzinie, ale z powodu warunków wyjątkowych, ograniczających w utworze scenicznym zbytnią swobodę autora, wpływy te objawiły się tu znacznie słabiej. Naturalizm, a raczej realizm, który dla tychże powodów nie mógł dojść w dramacie do tego stopnia zwyrodnienia, co w powieści, stanowiąc z drugiej strony jego podstawę główną, jako formy, odtwarzającej życie najwięcej bezpośrednio, przetrwał w nim dotąd, a nawet rzec można, iż się rozwinął, ulegając tylko odpowiednim duchowi chwili modyfikacyom.

Uwidocznia się to w coraz większem staraniu o ścisłość i prawdę obserwacyi, w dążeniu do pozbycia się sposobów sztucznych i konwencyonalnych, niezbędnych do niedawna dla przeprowadzenia myśli przewodniej, lub tezy założenia sztuki. Postać rezonera np., który myśl tę wypowiadał w ciągu akcji w zastępstwie autora, jedna z tych najwięcej zakorzenionych, tradycyjnych konwencyj—pozostałość starożytnego chóru, choć kołacze się jeszcze tu i owdzie, jest już nieodzownie skazaną na zniknięcie z nowożytnego dramatu. Przedmiotem tegoż jest też prawie wyłącznie odzwierciedlenie obyczajów współczesnych z właściwym im charakterem, wierne odmalowanie współczesnego społeczeństwa wraz

z nurtującymi je namiętnościami, jego przywar, jego trosk, dążeń i absorbujących je prądów i zagadnień chwili obecnej.

Cechy naturalizmu w ciaśniejszem znaczeniu dają się poznać w przeważnie pesymistycznym pojmowaniu człowieka, w predylekcyi do traktowania objawów ujemnych życia, w poszukiwaniu pierwiastku dramatycznego raczej w walce instynktów, niżeli w konfliktach ideowych, lub uczuciowych wyższego rzędu;—w współzawodnictwie, którego bodźcem jest bezwzględny egoizm, a jedynym celem — zaspokojenie nieumiarkowanych apetytów i rozkiełzanych pożądliwości. Wynikające stąd komplikacje przedstawione są, zwłaszcza u wielu młodszych autorów, cieszących się obecnie dużym powodzeniem, bez wyraźnej konkluzyi, wskazującej stanowisko samego autora, lecz w formie t. zw. „tranches de vie,” według znanego określenia naturalizmu, z pozostawieniem sądu do woli i gustu publiczności. Rodzaj ten nazwano „teatrem amoralnym.“ Niejednokrotnie przytem autor stara się wywołać współczucie dla cierpień swych upadłych bohaterów, których własna nieprawość wpędziła w położenie bez wyjścia. Pojęcie obowiązku, które dotąd stanowiło probierz działalności ludzkiej, zastąpiono pojęciem nowem „prawa jednostki do szczęścia,” lub nawet „prawa jej do użycia,” powstałem z zastosowania w życiu praktycznym nieco dowolnie wyciągniętych wniosków z teoryi Nietzschego.

Pod względem budowy utworu dramatycznego, zaniechano zbyt zawikłanej intrygi, która też do niedawna pierwszorzędą odgrywała rolę, dając przewagę akcji wewnętrznej nad zewnętrzną i to stanowi niewątpliwie główny postęp, który można zauważyć w tym zakresie twórczości.

Niema prawie takich zagadnień, kwestyj i spraw, interesujących ludzkość dzisiejszą, któreby nie znalazły odbicia w literaturze dramatycznej; niema takich grup, lub typów społecznych, któreby nie przeszły na scenie przez ogień krytyki, albo satyry.

Do spraw, najwięcej w teatrze od pół wieku roztrząsanych, a mimo to nie wyczerpanych dotąd, należy kwestya rozwodu. Z natury rzeczy, sprawa rozwodu, jako tycząca się najważniejszej podstawy społecznej — rodziny, jakimkolwiek ulegnie w przyszłości zmianom prawodawczym, nie przestanie zapewne nigdy zajmować umysłów, dopóki mężczyźni i kobiety, łącząc się w tej lub innej formie prawnej w związki matrymonialne, uczuwać będą potrzebę ich utrwalenia ze względu na interes progenitury, lub zerwania, gdy pożycie wspólne okaże się niemożliwym.

W ostatnich latach, niemniej jak w poprzedzających, rozwód wspólnie z nieuniknionem, tradycyjnym na scenie wiarołomstwem

małżeńskim, obok innych podobnych wariantów na tle erotycznym, stanowił jeden z przedmiotów głównych, który liczni autorowie obrali sobie, jako motyw do rozwinięcia przeróżnych sytuacji dramatycznych, z mniej lub więcej wyraźnem zabarwieniem tendencyjnym.

Dawniej, przedmiotem sztuk o tego rodzaju tendencyach były nieszczęścia, wynikające z nieporozumień i zawodów, dzielących dwoje małżonków, których prawo zmuszało, wbrew woli i skłonnościom jednej, lub obu stron, do wspólnego pożycia, które w wielu razach stawało się dla nich nieznośną męczarnią, zamykając im raz na zawsze drogę do szczęścia, możliwego do osiągnięcia w innych warunkach, gdyby zerwanie istniejących więzów było dopuszczalnem. Naturalną konkluzją takiej tezy była potrzeba, a raczej konieczność rozwodu.

Z czasem, gdy prawo o rozwodach stało się faktem, kwestya ta bynajmniej na żywotności nie straciła, uległa tylko odpowiedniej zmianie — zamiast dowodzić potrzeby rozwodu, który już istnieje i jest stosunkowo łatwym do uzyskania, zaczęto badać konsekwencye tegoż w sytuacjach, mogących wyniknąć z jego zastosowania, i wyciągać z nich wnioski rozmaite. Jednym prawo w dotychczasowem brzmieniu wydało się niedostatecznem, zaczęli więc żądać, przy pomocy sceny, jego rozszerzenia. Inni, nie potępiając zasady rozwodu, wystąpili jednak w obronie praw dziecka, rodziny, przyszłych pokoleń, rasy, których interesom zagraża zbyt lekkomyślne często zerwanie związku małżeńskiego dla egoistycznych widoków zadowolenia osobistych namiętności lub fantazyi jednostki. Niektórzy kwestyę tę przedstawili w swych poszczególnych utworach z obu tych punktów widzenia, biorąc za podstawę prawo jednostki do szczęścia, lub podporządkowując takowe prawom dziecka, t. j. gatunku. Inni wreszcie traktowali ten przedmiot dla ukazania jedynie nieszczęśliwych wogóle, a niekiedy ciekawych i niespodziewanych komplikacyj, będących skutkiem małżeńskich nieporozumień; dla obnażenia pewnych stanów psychicznych, procesów moralnych lub kryzysów uczuciowych.

Z niezwykłą siłą i logiką, w sytuacjach o nastroju wysoce dramatycznym, potrafił *Pawel Hervieu* wyłożyć niewystarczające znaczenie rozwodu dla odzyskania chybionego szczęścia niedobranym małżonków; kardynalne błędy przepisów prawa, któremi rozwód jest uwarunkowany, a które, dając przewagę absolutną stronie sprzeciwiającej się rozłączeniu, mogą w pewnych razach zmusić drugą do uległości i zniewolić do prowadzenia życia przeciwnego jej pragnieniom i skłonnościom. Takie położenie przedsta-

wia sztuka tego autora p. t. „Les Tenailles,“ w której kobieta, żyjąca w małżeństwie z konwenansu, spostrzegłszy się, iż serce jej należy do innego, pragnie rozwodu, lecz musi się go wyrzec wobec odmowy zgody ze strony męża, i nawzajem, zmusza tegoż do pozostania z nią w związku, gdy z kolei on, dowiedziawszy się od niej samej w chwili uniesienia, że syn ich nie jest jego dzieckiem, zażąda rozwodu, nie posiadając jednak przepisanych praw dowodów przestępstwa żony.

W „La Loi de l'Homme“ dowodzi tenże autor upośledzenia praw kobiety i uprzywilejowania mężczyzny przez ustawę rozwodową.

W „La Course du flambeau“ i w „Le Dédale“ za podstawę służy p. Hervieu prawo dziecka, któremu szczęście indywidualne rodziców powinno być poświęcone, tak bowiem postanowiła sama natura, czyniąc władnącą sercem człowieka miłość rodzicielską najsilniejszym z instynktownych jego uczuć. Rozwód w razie, gdy istnieje dziecko, jest tedy zbrodnią, która mści się strasznie na tych, którzy się jej dopuszczają, jak to widzimy w „Le Dédale,“ gdzie żona-rozwódka, po wstąpieniu w powtórne związki, spotkawszy się przy niebezpiecznie chorem dziecku z ojcem tegoż, a swym pierwszym mężem, przekonywa się, że wspólne przywiązanie do dziecka i troska o nie, łączy ich węzłem trwalszym od wszystkich ustaw i czuje, że nie może być szczęśliwą zdala od tego jedyne go rodzinnego ogniska, do którego powrót jest jej obecnie, z powodu istnienia drugiego męża, wzbronionym.

Tragiczny koniec obu mężów, niszcząc podporę rodziny i zadając jednocześnie cios straszny sprzecznym uczuciom tej kobiety, dopełnia miary jej nieszczęścia, wywołanego przez nią samą lekkomyślnem i egoistycznym poddaniem się uniesieniu obrażonej miłości własnej i kapryswi chwili.

Tezą sztuki *Pawła i Wiktora Margueritte* p. t. „Le Coeur et la Loi“ jest przekonanie o potrzebie reformy odnośnego prawa, która dopuściłaby przyznanie rozwodu na żądanie jednej tylko strony.

Widzimy tu kobietę, która wyszedłszy za mąż bez miłości, nabiera wstrętu do swego męża, zwłaszcza od chwili, gdy przekonała się naocznie, że jest zdradzoną. Z powodu braku dostatecznych dowodów, trybunał dwukrotnie odmawia jej rozwodu, poczem zrozpaczona kobieta, nie chcąc powrócić pod dach męża, ucieka do Szwajcaryi z kochankiem i kilkoletnią córeczką, którą porywa. Sztuka ta mocno przeszarżowana, w kompozycyi nieco niezręczna, nie jest zbyt pociągającą—ukazuje ona raczej nieuczciwość oboj-

ga małżonków, nie usposabiając bynajmniej widza na korzyść poszkodowanej i nieszczęśliwej jakoby żony, która wartością moralną nie zdaje się przewyższać męża. To też, pomimo nadto wyraźnie i bezpośrednio wyrażonej przez autorów tendencji, przedstawiona w ten sposób sytuacja niema sama w sobie nic przekonującego. W każdym razie życzeniu pp. Margueritte stało się w ostatnich czasach zadość, gdy reforma w tym duchu ustawy rozwodowej uzyskała zatwierdzenie Senatu. Po ostatecznem zdobyciu tej placówki, dla której tyle ofiar padło na scenie, czy rozwód przestanie dostarczać tematu dla nowych utworów dramatycznych? Wątpić należy. Trzeba raczej przypuszczać, że w praktyce i ta ułatwiona forma okaże się jeszcze wadliwą, a zresztą wpływające z tej łatwości, jako jej konsekwencya, nadużycie rozwodu zmusi zamilowanych w tym temacie autorów zwrócić się przeciw niemu.

Taki zwrot widzieliśmy już przedtem u Pawła Hervieu, gdy wystąpił w obronie praw dziecka. Toż samo w sztukach p. *Brieux* p. t. „Le Berceau“ i „Deserteuse,“ oraz w „L'Invitée“ Fr. de Currel. Stanowisko mniej lub więcej nieprzyjazne rozwodowi zajęli też z różnych względów, jeszcze przed urzeczywistnieniem rzeczowej reformy, i inni autorowie.

W liczbie tych ostatnich, jeden z wybitniejszych wśród młodszego pokolenia dramaturgów współczesnych, *Emil Fabre*, napisał bardzo ciekawą sztukę p. t. „La Maison d'Argile,“ w której skutki rozwodu i powtórnego małżeństwa sprowadzają niesnaski, rozstrój i ostatecznie rozproszenie rodziny. Za podstawę do rozwinięcia swej tezy obrał autor nieporozumienia natury majątkowej, będące wynikiem wytworzonego w tych warunkach położenia.

Córka bogatego przemysłowca wyszła za mąż za dozorcę fabryki swego ojca, człowieka dużych zalet, ale bez wychowania, którego brutalność zmusiła ją do rozwodu. Zawarłszy powtórny związek z jakimś panem Armières, inżynierem, który wziął na siebie kierunek ojcowskiej fabryki, pani Armières zachowała przy sobie jedno z dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa—córkę Walentynę, syna zaś, Jana, pozostawiła jego ojcu i straciła go zupełnie z oczu.

Autor zapoznaje nas z tą rodziną w chwili, gdy córka jedy-naczka państwa Armières, Małgorzata, jest już dorosłą i ma narzeczonego, pana de Réhy, którego zarówno panna, jak i jej rodzice bardzo sobie życzą. Małgorzata jest ulubienicą w domu, dla której niczego się nie szczędzi, co sprawia, że przyrodnia jej sio-

stra, zajmująca drugie miejsce w sercu matki, tembardziej czuje się upośledzoną.

Tymczasem interesa p. Armières są niepomysłne, fabryka musi być sprzedaną. Rodzina p. de Réhy, której idzie przede wszystkim o 300 tysięcy franków posagu Małgorzaty, zaczyna okazywać niepokój i chęć odłożenia projektów matrymonialnych ad feliciora tempora, gdyby gwarancje owego posagu były zachwiane. Gdy wskutek tego kwestya posagu Małgorzaty, który musi jej być zapewnionym, jest na porządku dziennym, Walentyna pragnie dowiedzieć się, co też jej przeznaczają, bo dotąd o tem nie było mowy i przeczuwając, że jak we wszystkim, tak i pod tym względem zostanie poświęconą siostrze, występuje z przykrymi i ostrymi zarzutami przeciw matce, która mocno to odczuwa, tembardziej, że wobec ich słuszności, nie znajduje odpowiedzi. Ale nie dość na tem; mąż wyznaje, że jest u progu bankructwa i żąda pomocy jej kapitału, dając do zrozumienia, iż w przeciwnym razie popełni samobójstwo. Pani Armières jest w rozpacz — 300 tysięcy posagu Małgorzaty i suma, której żąda jej mąż, stanowią cały jej kapitał, dla Walentyny nie pozostaje nic. Pomimo to, obiecuje mu żadaną pomoc. Wkrótce potem zgłasza się syn jej, Jan, którego nie widziała od małego dziecka. Po krótkim wstępie objaśnia on matce, co go sprowadza. Oto dowiedział się, że fabryka jest do sprzedania, przybywa więc żądać, aby jemu, jako synowi, dano pierwszeństwo przy jej kupnie, związał bowiem spółkę komandytową, która dostarcza kapitału, brak mu tylko 200 tysięcy franków i spodziewa się, iż ta suma przyjętą mu będzie przez matkę w rachunku przypadającej nań części jej majątku. Chodzi tu o jego przyszłość i stanowisko, w warunkach bowiem, które ułożył, fabryka ma wszelkie widoki powodzenia, poświęcenie zaś ze strony matki nie jest wielkie, bo przecież i on ma prawa syna, z których dotąd nie korzystał. Tu przebiera się miara kłopotów i cierpień pani Armières. Jest ona wzruszoną widokiem syna, już prawie zapomnianego, chciałaby mu dopomóc, ale musiałaby w tym celu poświęcić projektowane małżeństwo córki Małgorzaty. Nieszczęśliwa nie wie, co robić, chciałaby dogodzić wszystkim, waha się, w końcu odmawia. To wywołuje gwałtowną i przykrą scenę pomiędzy matką a jej dwójkiem dzieci z pierwszego małżeństwa, które zasypują ją literalnie najcięższymi wyrzutami, zresztą zupełnie zasłużonymi. Pani Armières jest przybita. „Nie damy się wyzuć!“ wołają wzburzeni Jan i Walentyna. „Czyż więc idzie wam tylko o pieniądze?“ „A cóż innego wiąże nas jeszcze?“

Oto punkt kulminacyjny tej sztuki—słowa te wyrażają konkluzję autora, że rozwód jest zabójstwem uczuć rodzinnych; jeśli pozostają jeszcze wspólne interesa, to te, zamiast łączyć, dzielią tylko rodzinę na przeciwne, nienawidzące się wzajemnie obozy, które w namiętnie zażartej walce godność jej tarzają w błocie.

Po wzajemnem obrzuceniu się obelgami Jana z panem Armières, rzecz kończy się na tem, że pani Armières ustępuje życzeniom męża i syna, wyzuwa się na ich korzyść i nie zadowolwszy ostatecznie nikogo, opuszczona przez wszystkich, pozostaje sama jedna, załamując ręce z rozpaczą i całując fotografie dzieci, dla których nie umiała być matką i które się jej wyrzekły. Pan Armières, którego miłość własna zbyt ucierpiała, ekspatryjuje się w towarzystwie swej córki, Małgorzaty, zaś Walentyna wraz z Janem powraca do swego ojca. I oto „gliniany dom“ szczęścia, któremu za podwalinę posłużył rozwód, rozpadł się w gruzy! Historia ta, przedstawiona z nadzwyczajną siłą, sprawia wrażenie wstrząsające i przygnębiające zarazem, pomimo, iż opartą jest li tylko na interesach materyalnych, z wyłączeniem prawie zupełnem wszelkiej uczuciowości, bo odczuwa się w niej prawdę życiową.

Pozatem żadna z występujących osób nie interesuje nas, wszystkie są antypatyczne. Są to natury płaskie, drewniane, na wskroś utylitarne, bez cienia szlachetności. Nawet nieszczęśliwa pani Armières, nie umiejąca opanować swych sprzecznych uczuć, zbyt niesprawiedliwą i niedbałą była matką, chociaż nie tyle ze złego serca, ile ze słabości charakteru, aby mogła wzbudzić współczucie dla swej niedoli. O to też zapewne najmniej autorowi chodziło—celem jego było dowieść szkodliwości rozwodu dla rodziny w pewnych warunkach i celu tego dopiął, przedstawiając rzecz ze strony dotąd jeszcze nie wyzyskanej.

Wprawdzie powiedzieć można, że te same zajścia mogłyby mieć miejsce, gdyby pani Armières nie była rozwódką, lecz wdową po pierwszym mężu, ale to rzeczy bynajmniej nie zmienia i wyrażonej tezy nie osłabia. Pod względem scenicznym „La Maison d'Argile“ jest sztuką wybornie przeprowadzoną, polegającą całkowicie i jedynie na żywej akcji, z wyłączeniem wszelkich, wychodzących poza jej granicę dydaktycznych pereł. Jest ona tylko zbyt suchą i przez to pozbawioną powabu.

Z innego jeszcze punktu wyłożył tę samą kwestyę *Pawel Bourget* w sztuce swej „Un Divorce,“ przerobionej z powieści pod tymże tytułem, przy współpracownictwie *Andrzeja Cury*.

Bourget wychodzi tu z założenia tradycyjnego, przyjmuje małżeństwo w znaczeniu, jakie mu nadał kościół, t. j. jako sakra-

ment nierozzerwalny. Stanawszy na tym gruncie, Bourget, rzecz prosta, jest przez to samo bezwzględny przeciwnikiem rozwodu, ale w „Un Divorce,“ prócz wykazania jego szkodliwości społecznej, autor wprowadził bardzo interesujący wykład sprzecznych idei, scierających się wzajemnie lub łączących się, pomimo ich przeciwieństwa, w umysłach nowoczesnych w kombinacye, nie wytrzymujące probierza ściślej, opartej na logicznej dedukcyi, krytyki. Rzecz przedstawia się w formie dyskusyj, wywołanych wypadkami życiowymi, przyczem wchodzące w grę przeciwne zapatrywania poparte są bardzo silną i bezstronną argumentacją. Z tego względu „Un Divorce“ nie jest jedynie sztuką tendencyjną, mającą za zadanie przeprowadzenie pewnej tezy przy pomocy mniej lub więcej dowolnie skombinowanych w tym celu sytuacji, lecz należy do t. zw. sztuk ideowych.

Treść jej rozwija się na tle następującego położenia: niejaka pani Gabryela, kobieta z wychowania i skłonności naturalnych religijna, zmuszona najgorszem prowadzeniem męża do szukania ucieczki w rozwodzie, wyszła następnie za człowieka dużej wartości, ale zaciętego przeciwnika religii, pana Darras, który wpływem swoim odciągnął ją od wiary i praktyk religijnych.

Pani Gabryela zachowała przy sobie syna z pierwszego małżeństwa, Lucyana. Wychowany w zasadach swego przybranego ojca, z łatwością dał się on przekonać pewnej studentce medycyny, Bercie Planat, że wolny związek mężczyzny z kobietą niczem nie różni się od małżeństwa, zawartego kontraktem cywilnym i po żywych dyskusjach z p. Darras, którego zbija własnymi jego argumentami, pomimo oporu tegoż i zaklęć matki, opuściwszy dom rodzicielski i dotychczasowe studia prawne, udaje się wraz z Bertą do Lausanny na kursa medyczne, aby żyć w wolnym związku z tą dziewczyną, o której wie, iż do niedawna żyła w podobnych warunkach z innym i miała z nim dziecko.

Państwo Darras mają też dwunastoletnią córeczkę, która przygotowuje się do pierwszej komunii. Z tej okoliczności pragnie skorzystać jej matka, aby powrócić do zarzuconych praktyk religijnych przez przystąpienie wraz z córką do św. sakramentów, lecz dowiaduje się ku swemu umartwieniu od spowiednika teściowej, księdza Euvrard, że niema do tego prawa, ponieważ żyje w związku, przez Kościół nie uświęconym. Gdy wkrótce nadeszła wiadomość o śmierci pierwszego jej męża, pani Gabryela, zostawszy wdową i mogąc zadość uczynić wymaganiom Kościoła, życzy sobie dopełnić ceremonii ślubu religijnego i pogodzić w ten sposób sumienie chrześcijanki z obowiązkami matki i żony. Ale

p. Darras odmawia stanowczo, motywując ten opór konsekwencyą swych zasad — gdyby teraz ustąpił temu, jak nazywa, kaprysowi żony, uznałby tem samem ich dotychczasowe pożycie za nieślubne, córkę ich — jako dziecko, zrodzone z nieprawego związku. Na to nigdy on nie przystanie.

Nieporozumienie między małżonkami zaostrza się do tego stopnia, że wzburzona do ostateczności, dotknięta tyloma utrapieniami nieszczęśliwa kobieta, nie czując się w możności znoszenia dłużej takiego moralnego przymusu, zadającego gwałt najgłębszym pragnieniom, jest już zupełnie zdecydowaną opuścić męża, gdy powstrzymuje ją od tego kroku przypomnieniem obowiązków względem córki, którym poświęcić winna, jako pokutę i umartwienie, nawet własny spokój sumienia, ksiądz Euvrard, podejrzewany przez p. Durras o knowanie czarnych intryg przeciw jego domowemu szczęściu. Usłyszawszy przypadkiem tę ostatnią rozmowę żony z ks. Euvrard, zacięty sekciarz udobruchał się trochę i na znak pojednawczych uczuć obiecał być obecnym przy uroczystości pierwszej komunii swej córki, dając przytem do zrozumienia, że może później zrobić więcej ustępstw. Oto i cały dramat. Nie będziemy kładli nacisku na jego pewne wadliwości w znaczeniu scenicznem, jako to brak jedności spowodowany przez dwa wątki różne, które zawiera; stosunkowo słaby rozwój akcji, brak zakończenia. Błędy te są zresztą raczej pozorne, służą bowiem do osiągnięcia celu, do którego dążył autor. W rzeczywistości oba te niezależne od siebie wątki, t. j. romans Lucyana z Bertą z jednej strony i dramat, którego osią są skrupuły religijne pani Gabrieli z drugiej, przy świetnym wykładzie idei w dyskusjach, wywołanych przez te zajścia, wspomagając się wzajemnie, prowadzą do wyciągnięcia logicznych wniosków, które zastępują brakujące zakończenie akcji. Wnioski te są zupełnie jasne: małżeństwo, o ile jest pozbawione charakteru sakramentalnego, który, czyniąc je nierozzerwalnem, podnosi je do godności uświęconego prawem boskiem posłannictwa, traci nie tylko swoje znaczenie podniosłe i uszlachetniające, poniża rolę żony i matki do poziomu samicy, ale będąc uzależnionem od zmiennych praw ludzkich, w gruncie nie daje też rodzinie więcej gwarancji społecznej, niż wolny związek, który jest jego ścisłą i logiczną konsekwencyą. Rozwód, który rozbija rodzinę, jest czynnikiem rozkładowym, antyspołecznym.

Taką jest prawdziwa konkluzya tej sztuki.

Konflikty ideowe na tle religijnem, lecz poza obrębem kwestyi rozvodu, poruszyli już przedtem inni autorowie w utworach

różnej wartości, z których żaden nie posiada tej pociągającej siły sztuki Bourgeta. Pominąwszy „Le Duel,” znane dzieło *Henryka Lavedan*, gdzie, pomimo bardzo interesującego pojedynku ideowego dwóch braci, księdza i doktora, około kobiety egzaltowanej, wahającej się w wyborze pomiędzy miłością zmysłową a aspiracyami duchowymi, motywem rzeczywistym jest nie idea, lecz uczucie, do sztuk typowo ideowych zaliczają się „L’Otage” *Gabryela Trarieux* i „Les Ames Ennemies” *Pawła-Hycynta Loyson*. Pierwszy z tych utworów „L’Otage” jest słabszy, lecz równiejszy w przeprowadzeniu swego założenia i wyrażeniu myśli przewodniej. Drugi—„Les Ames Ennemies,” ma więcej siły dramatycznej w starciu przeciwnych dążeń duchowych i intelektualnych, ale odznacza się w niektórych scenach przesadną i nieusprawiedliwioną gwałtownością, a przytem wywody swe opiera autor na danych hipotetycznych, które arbitralnie i nieco naiwnie czyni pozytywnymi, z góry odbierając przez to samo wszelką powagę swej quasi-naukowej argumentacji. P. Trarieux stara się być bezstronnym, chociaż niemniej osobiste jego przekonania wolnomyślne, wyrażone bardzo oględnie, dają się odczuć. P. Loyson zato występuje jawnie i namiętnie, jako bojownik materyalistycznej wolnej myśli przeciw wierzeniom religijnym. Zresztą założenie obu tych sztuk jest jednakowe: walka rodziców, z których oboje, chcąc pozyskać wyłącznie młodzieńczą duszę i umysł córki dla swoich przekonań, doprowadzają tem swe dziecko do nerwowego wycieńczenia i śmierci. Pomimo tej identyczności założenia, sztuki te różnią się zasadniczo ze względu na warunki, w których rozwija się akcja, jak i na charakter występujących osób.

W „L’Otage,” ojciec, zajmujący wysokie w hierarchii administracyjnej stanowisko prefekta i ubiegający się o wyższą jeszcze pozycję gubernatora Algeryi, sprzeciwia się przystąpieniu córki do pierwszej komunii nie z powodu swych przekonań, ale dla względów natury ubocznej i osobistej. Wzięcie udziału w publicznej ceremonii religijnej córki i żony wysokiego urzędnika rzeczypospolitej byłoby manifestacją, która wywarłaby złe wrażenie w sferach decydujących i mogłaby go przyprowadzić o utratę spodziewanego awansu. Ów prefekt jest przeciętnym typem urzędnika, karyerowicza, oportunisty, który wraz ze zmianą formy i kierunku następujących po sobie rządów, zmieniał i zastosowywał do nich własne zapatrywania. W rezultacie, po zaciętym sporze z żoną, na którą te zmiany wpłynęły w kierunku przeciwnym, t. j. uczyniły jej przekonania religijne odporniejszemi, następuje rozstanie. Pani prefektowa opuszcza męża i zabiera z sobą córkę.

Dopiero po interwencji spowiednika jej, kardynała, który chcąc zachować dla Kościoła wpływy żony przyszedłego prokonsula, pozwala na odroczenie na lat parę pierwszej komunii dziewczynki, następuje zgoda, więcej pozorna, niż rzeczywista, bo powody nieporozumienia między małżeństwem bynajmniej nie ustały. Tymczasem pan prefekt został gubernatorem Algeryi, ale wraz z tryumfem ambicyi, nawiedza dom jego smutek i żałoba—całkiem przejęta mistycznymi uniesieniami córka jego popada w ciężką, nieuleczalną chorobę. Jedna tylko pozostaje rada wedle zdania znakomitości lekarskich—oderwać ją od modlitw, zwrócić jej myśl ku rzeczom ziemskim, by odzyskała ochotę do życia. Tylko jej matka jest w stanie tego dokonać, ale mimo błagań męża, który gotów jest teraz poświęcić karierę na jej żądanie, ona odmawia.

„L'Otage“ daje dość wierny obraz rozdwojenia i rozstroju, który prześladowanie religii wprowadziło w społeczeństwie francuskim aż do łona rodziny; wpływ ujemny, który wywarło na charaktery przez poniżenie jednych, aż do zaprzaństwa, przez wywołanie zaciętości u drugich, aż do fanatyzmu i zakamieniałości. Takim przynajmniej jest zdanie autora.

Pozatem rzecz jest niewyraźna. Autor z obawy, aby nie być stronnym przedstawia oba przeciwne prądy ideowe zbyt błado, zbyt neutralnie, jednym słowem, obojętnie, co sprawia w rezultacie, że sztuka jest też dla widza obojętną. Zadziwiającym również jest jej wynik, z którego sądzić wypada, że wiara zabija, gdy dotąd myślano przeciwnie, że wiara uzdrowia. To ostatnie przekonanie było (a może i jest jeszcze?) udziałem nie tylko wiernych, ale i niewierzących, jak tego dowodzi tłómaczenie cudownych uzdrowień przez przedstawicieli nauki pozytywnej sugestywnem działaniem wiary.

W „Les Ames Ennemies“ przedstawiciel kierunku wolnomyślnego niczem nie przypomina prefekta z poprzedniej sztuki. Jest to przeciwnie człowiek silnych przekonań i choć nieświadomie, ale głęboko wierzący—na opak. Wierzy on w naukę pozytywną i jest fanatykiem niewiary. Na poparcie swych przekonań ma, co więcej, dowody niezbite—przy poszukiwaniach paleontologicznych, któremi się kierował, jako uczony, udało mu się odnaleźć szkielet hypotetycznego pitekantropa, gatunku przejściowego pomiędzy małpą i człowiekiem. Po powrocie do kraju z dalekiej ekspedycji dumny ze swej cennej zdobyczy uczony znajduje w domu niespodzianki. Oto, podczas jego nieobecności pod wpływem fanatycznej katolickiej teściowej i przy pomocy jej spowiednika, wychowano mu córkę w zasadach religii! Uczony nie posiada się

z oburzenia, a zobaczywszy córkę w welonie bractwa „Córek Maryi,“ wpada w wściekłość, miota się jak szalony, popełnia cały szereg czynów gwałtownych. Żona jego staje w obronie córki, której umysł i nerwy są do głębi tem wszystkim wstrząśnięte. Wreszcie przybywa sam ksiądz katecheta i wtedy następuje dyskusya namiętna, ale nie przekonywająca, pomimo pitekantropa, na którego uczony co chwila się powołuje.

Ostatecznie żona go opuszcza za namową księdza. Tymczasem jednak córka, olśniona urokiem uczoneści ojca, czyta nocami jego dzieła i przejmuje się powoli jego ideą, ale słaby jej organizm nie może znieść tylu gwałtownych wzruszeń, którym w końcu ulega. Do ostatniej chwili wre wokoło chorej zacięta walka. Umiera ona wreszcie w rodzaju zachwycenia, wyjawivszy wprzód rodzicom, że straciła wiarę, i połączywszy ich ostatnim gestem.

Już to o zbytnią bezstronność tę sztukę oskarżać trudno. Widzimy tu z jednej strony owego uczonego, śmiesznego wprawdzie trochę ze swym pitekantropem, którego widać atawizm działa nań, popychając go do mowy i czynów brutalnych, ale bądź co bądź przedstawia się, jako szalenciec szlachetny i szczery, gdy stroną przeciwną stanowi grupa, złożona z nielitościwej fanatyczki teściowej, księdza intryganta i żony, kobiety słabego umysłu, ulegającej wpływowi tamtych. Osią, około której obraca się akcja dramatyczna, jest córka, ofiara tych starć ideowych, do których nie jest przygotowana. Autor nadał jej charakter jakiejś jakoby męczennicy za prawdę pozytywną, uczynił z niej „une sainte laïque.“ Jakże znać w tem, pomimo dążności przeciwnych, umysłowość autora nawskroś przejętą ideałami chrześcijańskimi!

*

*

*

Utworki, których motywem głównym jest wiarołomstwo małżeńskie i inne tego rodzaju wykroczenia, z rozwodem lub bez rozwodu, stanowią wielką większość współczesnej francuskiej produkcji dramatycznej. Począwszy od autorów, którzy troszczą się o tendencje moralne, aż do zwolenników nietzscheizmu i teatru amoralnego, nie wyłączając naturalnie wodewilistów i pokrewnych im autorów komedyi lekkich obyczajów—wszyscy opierają budowę swych dramatycznych kompozycyj na tym przeważnie czynni-

ku. Jako jeden z nielicznych wyjątków od tej reguły zaznaczyć wypada wszakże w ostatnich czasach sztukę *Pawła Adam* „*Les Mouettes*.“ Wprawdzie czynnik ten nie jest i tu zupełnie wyłączonym, ale pozostaje w sferze projektów nieureczywistnionych. W sztuce tej rzecz idzie o to, czy dla celów wyjątkowej doniosłości człowiek może i powinien poświęcić zależne od niego szczęście oddanych mu osób? Autor pytanie to rozstrzyga negatywnie, t. j. zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami moralności, ale zdaje się to czynić raczej pod wpływem swej uczuciowości, aniżeli z przekonania o obowiązku, przynajmniej aż do sceny rozstrzygającej można to przypuszczać. Treść sztuki „*Les Mouettes*“ wyjął Paweł Adam ze swej powieści p. t. „*Le Serpent noir*.“ Tym wężem kusicielem, złym duchem jest niejaki Chambalot, typ nowożytnego arriwisty, podszytego nietzscheizmem, który w widokach osobistej korzyści, zresztą niedostatecznie przez autora uzasadnionych, nanawia swego przyjaciela doktora Kervil, aby opuścił kochającą go żonę i pojął inną, kobietę bogatą, której majątek pozwoli mu ureczywistnić w praktyce dokonany przez niego w teorii wielki wynalazek, mający sprowadzić przewrót w nauce lekarskiej i uszczęśliwić ludzkość. Dr. Kervil, który dotąd żył w najlepszej zgodzie z żoną, pobożną i trochę zanadto skromną, opiera się z początku insynuacyom kusiciela, ale potrochu daje się przekonać względami na wielkie cele humanitarne, co przychodzi mu tem łatwiej, że kobieta, która miałaby zastąpić jego żonę, światowa kokietka, bardzo mu się podoba.

Z drugiej strony tenże kusiciel podszeptną tę samą myśl tej pani, która ma już dla Kervila żywsze uczucia, a na żonę jego potrafił podziałać w ten sposób, iż ta własnowolnie postanawia poświęcić się dla szczęścia męża i pierwsza oświadcza mu swe postanowienie, ale tu właśnie upada cała szatańska machinacya Chambalota—Kervil, który już był do tego kroku zupełnie zdecydowany, zrozumiałwszy całą wielkość poświęcenia biednej kobiety i ogrom jej ukrytego bólu, wzruszony, wyrzeka się i fałszywego humanitaryzmu i widoków sławy, oraz szczęścia osobistego, okupionego złamaniem życia niewinnej i kochającej go istoty.

Moralności stało się zadość, obowiązek tryumfuje nad egoistycznym „prawem jednostki,“ uczucie szlachetne nad instynktowną namiętnością, ale odnosi się wrażenie, że stało się to niemal przypadkiem i tylko dzięki duchowi nadludzkiej abnegacyi żony Kervila. Czy obrót rzeczy nie byłby inny, gdyby pani Kervil się opierała, gdyby broniła swych praw?

Rozumie się, nie bierzemy pod uwagę sztuczności kombinacji, na których oparł autor swe założenie i która z brzegu stawia tę sztukę na właściwym gruncie. Wszystkie występujące tu postacie są niewyraźne i nie rzeczywiste, jeden tylko Chambolot jest typem prawdziwym, dobrze zaobserwowanym i wystudytowanym dokładniej.

Podobne w założeniu, choć w charakterze bardzo różne, są sztuki: *H. Kistemuckersa* i *E. Delard* „La Rivale,” oraz ostatni utwór *Henryka Bataille* „La femme nue.”

Bohaterowie tych dwu dramatów, obaj artyści, nie cofają się, jak Kervil, na widok bólu ofiar, których dopełniają egzekucyi, nie wzruszają się ich cierpieniem; przeciwnie, czynią im jeszcze wyrzuty za to, że stoją one w poprzek ich szczęściu.

Są to nie tyle nietzscheiści w rodzaju Chambolota, postępujący z całą świadomością i wyrachowaniem, ile raczej natury impulsywne, ulegające instynktownym namiętnościom prawie bezwiednie, ślepo i mechanicznie, jak nieożywiona materya ulega prawom przyrody.

Andrzej Brizeux z „La Rivale” i Piotr Bernier z „La femme nue” są z tego względu bardzo do siebie podobni, z tą tylko różnicą na niekorzyść charakteru ostatniego, że pierwszy daje się porwać li tylko szałowi erotycznemu, gdy u drugiego zadowolenie namiętności tego rodzaju łączy się z widokami zadowolenia ambicyi i interesu materyalnego.

Pod względem wartości, te dwie sztuki są zresztą dość od siebie oddalone. „La Rivale,” pomimo swych zalet prawdziwych, jest utworem trochę bladym i rozerwanym. Przeciwnie, dzieło p. Bataille, obok ścisłej konsekwencyi swej budowy, odznacza się siłą niezwykłą i posuwa się aż do tragizmu w roli modelki i kochanki, a później odtraconej żony artysty, w której koncentruje się interes dramatu i której autor potrafił dać głębię zupełnie wyjątkową w tętniącym prawdą życiową realizmie.

Henryk Bataille należy do stojących obecnie najbardziej na widowni autorów komedyi obyczajowej, a raczej komedyo-dramatu w najnowszym stylu.

Dzieła jego, począwszy zwłaszcza od słynnej „Maman Colibri,” „La Marche Nuptiale,” „Poliche,” który wprowadził go po raz pierwszy na scenę Komedyi Francuskiej, oraz ostatnie — „La femme nue” stawiają go w rzędzie najpierwszych dramaturgów chwili bieżącej. Pod względem powodzenia nie ustępuje mu *Henryk Bernstein*.

Nazwiska obu tych młodych autorów nie schodzą od lat paru z programu teatrów, gdzie prawie wszystkie ich utwory sięgają stale stu i więcej przedstawień z rządu. Obaj oni nie zajmują się specjalnie kwestyami społecznymi, lub moralnymi, jeżeli zaś ich dotyczą, to tylko dla rozwinięcia na ich podstawie pewnej sytuacji dramatycznej. Teatr ich jest amoralny. Natomiast starają się oni o zgłębienie psychiczne swych bohaterów, o ukazanie wewnętrznego procesu, który wpływa na ich postępowanie i stopniowe zmiany ich istoty. W malowaniu uczuć, charakterów i obyczajów są oni bezwzględnyimi realistami.

Szczególniej Bernstein celuje w niemiłosiernem odsłanianiu części wstydliwych nagiej duszy. Jego realizm wewnętrzny jest przerażający, zwłaszcza, iż oddaje się on wyłącznie malowaniu najohydniejszych brudów, najnędzniejszych upadków natury ludzkiej, a czyni to z niezwykle brutalną siłą i, nie bacząc na nerwy widza, któremi potrafi wstrząsnąć do głębi, stawia go w jednej chwili, prawie bez przygotowania, wobec niespodziewanego, a zawsze okrutnego dramatycznego problemu. Akcja rozwija się u niego nader szybko i bez ogródki, przykuwa lub porywa widza, nie dając mu odetchnąć.

Całe wrażenie, które sprawiają dzieła Bernsteina, pochodzi stąd, że w odkrytych przez niego z jakąś okrutną przyjemnością, głęboko zwykle utajonych nędzach wewnętrznych człowieka, jest prawda.

Ale jeżeli umie on wstrząsnąć i szarpnąć nerwami widza, to za to go nie wzrusza, bo postacie jego, całkowicie pozbawione szlachetności, nie mogą wzbudzić współczucia. Straszny cynizm, czy też dziwnie pesymistyczna szczerść tych utworów przejinuje dreszczem zgrozy, działa przygnębiająco, jak zmora, ale jednocześnie i dlatego właśnie, wzbudza pewną, trochę chorobliwą ciekawość i pociąg bardzo silny.

Wszystkie dzieła tego autora — „Le Bercail“, „Le Voleur“, „La Griffé“, „La Rafale“, „Samson“ — mają taki charakter, a wśród nich, zwłaszcza trzy ostatnie, odznaczają się największą siłą dramatyczności. W „La Rafale“ kobieta, ogarnięta miłosnym szałem oddaje się innemu, aby zdobyć potrzebną sumę dla uratowania kochanka, przeniwiercy cudzych pieniędzy. „La Griffé“ daje obraz straszego upodlenia, do którego zdolny jest dojść człowiek w pewnych warunkach, pod wpływem namiętności dla kobiety-łotrzy. „Samson“ wreszcie — ostatnia sztuka Bernsteina, przedstawia zemstę zubożonego nieuczciwym sposobem finansisty, który

z rozmysłem rujnuje siebie samego, aby jednocześnie zrujnować kochanka swej żony.

Oto świat, który ze szczególną predylekcyą maluje ten autor.

Do tego typu zbliżają się mniej lub więcej, ale w skali o wiele niższej pod względem siły i talentu—*Piotr Wolff* („*Le Ruisseau*“), *Roman Coolus* („*L'Enfant chérie*“, „*Coeur à Coeur*“), *Sacha Guitry*, *Piotr Veber* i inni, których twórczość łączy w sobie często cechy poważniejszej komedyi obyczajowej z charakterem komedyi lekkiej i nawet wodewilu.

Zawikłania miłosne i sentymentalne, pojęte rozmaicie, stosownie do temperamentu autora, przy staraniu o odwzorowanie pewnych rysów lub typów współczesnych, traktowali również w ostatnich latach: *Lucyan Besnard* w patetycznym dramacie „*La plus Amoureuse*.“ Ten sam temat — mężczyzna kochany jednocześnie przez kilka kobiet, przybrał w „*Les Passagères*“ *Alfreda Capus* charakter komiczny. Tegoż autora ostatnie dzieło „*Les Deux Hommes*“ przeciwstawia dwa różne typy mężczyzny—nowoczesnego arriwistę, któremu brak skrupułów i przesądów dopomaga w życiu do zwycięstwa, oraz człowieka o sumieniu mniej elastycznym, który nie może przystosować się do otaczających warunków. Jeżeli typy męskie, o które głównie autorowi chodziło, wyszły w tej sztuce dość blado, to za to, może niechcący, bez porównania lepiej zostały tu scharakteryzowane analogiczne typy kobiece.

Podobnie dwa różne charaktery mężczyzny i dobrze udany typ kokietki, ukazują w „*Chacun sa vie*“, na tle komplikacyj sentymentalnych—*Gustaw Guiches* i *P. B. Gheusi*.

Utwory, polegające na zręcznem powikłaniu intrygi, ukazujące miłość w oświetleniu lekkiej satyry, dali jeszcze: *Franciszek de Croisset*, *Abel Hermant*, *Tristan Bernard*, *Jerzy Feydeau* („*Le Bourgeois*“) *Paweł Gavault* („*Mademoiselle Josette, ma femme*“, „*Le Bonheur de Jacqueline*“), *Andrzej Picard* („*Le faux pas*“), *Courteline* („*La Paix chez soi*“, „*Les Gaités de l'escadron*“, *Victorien Sardou* („*La Piste*“).

Ale w rodzaju lekkiej komedyi, przedstawiającej życie w przyjemnej i zabawnej karykaturze, prym trzymają obecnie *G. A. de Caillavet* i *R. de Flers*, nierozdzielna spółka dramatyczna, jak niegdyś *Meilhac* i *Halevy*. Ostatnie ich utwory — „*Miquette et sa mère*“, „*L'Eventail*“, „*Le Roi*“, (ze współudziałem *Emanauela Arène*), a zwłaszcza „*L'Amour veille*“, który wystawiła Komedya Francuska, sztuka, odznaczająca się, pomimo swej blahości, prawdziwymi zaletami iście francuskiej finezyi, dowcipu, pełna spry-

nych „bons mots,” i delikatnie złośliwych alluzyj—dają najwyższy wyraz „parisianizmu” chwili obecnej.

Kwestye życiowe i uczuciowe poruszyli ze stanowiska poważniejszego: Eugeniusz *Brieux* w „Les Hannetons” i w „Simone,” sztukach, w których znać pewien zwrot u tego autora do życia i charakteru w przeciwstawieniu do manieri dawniejszej, zbyt teoretycznie tendencyjnej („Les Remplacantes,” „Les Avariés” i t. p.); Maurycy *Donnay* (autor „L’Affranchie,” „Le Torrent,” „L’Autre Danger,” „Le Retour de Jérusalem” i t. p. sztuk pierwszorzędnej wartości) dał ostatnio w swej komedyi obyczajowej p. t. „Paraitre” ciekawą charakterystykę pychy parweniuszowskiej, która w kołach zbogaconej burżuazji francuskiej objawia się żądzą błyszczenia, pokazania się na zewnątrz, imponowania gawieździ, przez wyróżnienie się za pomocą środków, które dają pieniądze.

„Paraitre” przedstawia obraz świata milionowego przemysłu, gdzie sami milionerzy są jakoby słońca, około których krążą satelity, pragnące korzystać z bijącego od nich blasku i używające w tym celu zarówno płaskiego pochlebstwa, jak i wszelkiego rodzaju intryg i podstępu.

Takimi są tu wszystkie występujące osoby, a szczególnieżona deputowanego (Krystyna Margès) i bratowa żony pewnego milionera, którego usidliwszy swemi wdziękami, potrafi mu podszepnąć myśl pozbycia się tych, którzy stają na zawadzie ich szczęściu, t. j. jej męża i jego żony, by samej zająć miejsce tej ostatniej. Projekt ten jednak nie dochodzi do skutku, gdyż mąż dowiedziawszy się o tem zawczasu, w nagłym wybuchu zabija kochanka swej żony.

Ale nawet prawdziwego powodu tego czynu zdradzonego męża szukać trzeba raczej we względach na opinię publiczną, gdyż skandal stał się już głośnym i wywołał żarty w przeciwnym obozie politycznym. Widać w tem absolutny brak dążności idealniejszych w tych kołach równie u jednych, pragnących używać za wszelką cenę, jak i drugich, nadmiernie przez fortunę obdarzonych, którzy, nie mając już żadnych pragnień tego rodzaju do zaspokojenia, a nie odczuwając potrzeb natury idealnej i bezinteresownej, ulegają kaprysom, zamieniającym się pod wpływem zręcznej sugestyi w namiętności.

W „Paraitre” Maurycy *Donnay* potrąca o politykę, ale tylko potrąca. Natomiast niektórzy autorowie dają w swych utworach polityce rolę bardzo obszerną. „La Griffe” *Bernsteina* jest krytyką bardzo surową i bardzo gwałtowną obyczajów świata parla-

mentarnego, również miejsce pierwszorzędne zajmuje ten czynnik w komedyi *Alfreda Capus* i *Lucyana Descaves* p. t. „L'Attentat,“ ale w tych sztukach, a zwłaszcza w pierwszej, przedmiotem głównym nie jest sama polityka, lecz zajścia natury uczuciowej. Jeden tylko *Emil Fabre* (nie mówiąc o „Le député Leveau“ Juliusza Lemaitre'a) w swej „La Vie publique“ traktuje politykę dla polityki. „La Vie publique“ jest w swoim rodzaju arcydziełem równie, jako utwór sceniczny, polegający całkowicie na żywej akcji przeprowadzonej ściśle i konsekwentnie, bez uciekania się do sztucznej retoryki, jak i ze względu na wybornie zaobserwowany charakter tej sfery życia współczesnego, którą autor obrał za przedmiot swej sztuki. Jest to zarazem ładząco żywy obraz rzeczywistości i głęboka satyra obyczajów, które fatalnie musiały się wyrobić pod wpływem nowożytnych instytucyj politycznych.

Autor wykazuje tu zgubne działanie tych wpływów na ogólny poziom moralny ludności i nieuniknioną deprawację tych jednostek, które polityce oddają się specjalnie lub jej służą. Za tło i atmosferę służą tu wybory mera w jednym ze znacznych miast Francyi. Figurą główną, której przemiana moralna odbywa się stopniowo pod okiem widza, w ciągu walki wyborczej, jest sam mer, p. Ferrier, od dłuższego już czasu darzony na tem stanowisku zaufaniem obywateli. Ferrier, człowiek prawy, republikanin umiarkowany, wywiązywał się dotąd jak najlepiej ze swych obowiązków, ale rządy swe sprawował już dość długo, aby wywołać zawiść tych, którzy radziby zająć jego miejsce. Przytem stosunki w mieście uległy pewnym zmianom, nowe elementy społeczno-polityczne wzmogły się liczebnie, tak, iż kontrkandydat pana Ferrier, anarchista Maréchal, ma widoki zwycięstwa, o ile pierwszy nie zdoła pozyskać sobie poparcia pewnych grup, od których wynik wyborów zależeć będzie. Grupy te to przedewszystkiem monarchiści pod wodzą margrabiego de Riols i klerykałowie, na których cele partyjne łoży pewna bogata i wpływowa dewotka. Prócz tych grup, ściśle politycznych, kandydat zdobyć sobie musi życzliwość finansistów z bankierem, p. Lévy, na czele. Każda z tych grup wzamian za swe poparcie żąda pewnych korzyści dla siebie, lecz wymagane ustępstwa nie zgadzają się zupełnie z przekonaniem p. Ferrier. Ten też z nikim traktować nie chce, co trochę zadziwia ze strony człowieka, który przecież z polityką musiał być dobrze obeznany. Powoli jednak niezłomność jego mięknie pod naciskiem stronników, wykazujących mu nierozsądek jego postępowania; monarchiści i klerykałowie oddadzą swe głosy

na anarchistę, co też nie omieszkają uczynić finansisci, a wtedy on przepadł.

P. Ferrier ustępuje. Z powyższemi grupami przychodzi do zgody w świetnej scenie konferencyi, odbytej pod prezydencją monsignora i bogatej dewotki, przy uczestnictwie bankiera Lévy i margrabiego, ludzi najsprzeczniejszych przekonań, które umieją odłożyć na bok i potrafią się porozumieć na gruncie neutralnym, gdy idzie o interes bezpośredni. Ale te ustępstwa p. Ferrier są niczem w porównaniu do targów, jakie następnie prowadzić musi prawie ze wszystkimi, bo każdy czegoś żąda, począwszy od prasy, wielkich przedsiębiorstw i grup zawodowych, a skończywszy na pojedynczych jednostkach. Wśród tych ostatnich zwłaszcza znajdują się indywidua, które, nie mogąc wiele pomódz, mogą być bardzo szkodliwe, jak dyrektor pewnego brudnego świstka, znany szantażysta, obrzucający błotem każdego, kto mu się nie okupi; jak pewien senator, który maczał ręce w nieczystych sprawach, na co dowód, w postaci listu jego, posiada p. Ferrier. Ze wszystkimi tymi ludźmi traktuje on, opiera się, szamoce, ale ustępuje ciągle kosztem własnej godności i sumienia. Dom jego w ciągu wyborów zamienia się w prawdziwe piekło. Pomimo tych targów i ustępstw, jego wybór jest zagrożony; Ferrier, którego majątek tymczasem przepadł wraz z posagiem córki wskutek nieuczciwych operacyj bankiera, jest w ostatniej rozpacz, gdy wtem nadchodzi wiadomość, że wybór jego przeszedł dzięki poparciu owego senatora, otrzymanemu za cenę zwrotu kompromitującego listu. Oto, do jakich kompromisów z sumieniem doprowadziła polityka tego człowieka z natury uczciwego, której demoralizującym wpływom, nie bez oporu i ze wstrętem, ale nie mniej nieodzownie uleść musiał. Obraz, przedstawiający „La Vie publique,” jest bardzo ciemny, ale bezstronny i prawdziwy. Autor nie podsuwa tu żadnych programów lub wskazówek, niema on pretensyj reformatorskich, lecz wzniosłszy się ponad pojęcia stronnice, sądzi fakta i położenie ze stanowiska wyłącznie ludzkiego.

W „Ventres dorés” Emil Fabre daje satyryczną charakterystykę sfer finansowych, przedmiot ten traktuje również *Oktawiusz Mirbeau* w swej słynnej sztuce „Les Affaires sont les Affaires.” Sfery sądowe znalazły odbicie w „La Robe rouge” *Eugeniusza Brieux*.

„Sous l'épaulette” przez *A. Bernède'a* i „L'Alibi” przez *Gabryela Trarieux* dają obraz życia wojskowego na tle antagonizmu natury polityczno-socyalnej wśród oficerów. Sztuka *Jerzego Darien* i *Ludwika Lauras* p. t. „Biribi,” na tle stosunków, panują-

cych w wojskowych oddziałach karnych, ma tendencje wyraźnie antymilitarne i socjalistyczne.

Kwestye socyalne w szerszem znaczeniu i w różnych objawach obrali za przedmiot swych utworów dramatycznych: *M. Donnay* i *L. Descaves* („La Clairière,“ „Les Oiseaux de passage“), *Lucyan Besnard* („Le Domaine,“ „L’Affaire Grisel“), *Gabryel Trarieux* („La Guerre au village“), *Jan Jullien* („La Poigne,“ „L’Oasis,“ „Les Plumes du Geai“).

W zakresie dramatu socyalnego miejsce odrębne zajmuje *Franciszek de Curel* przez szczególnie intelektualny charakter swego dzieła; z tego względu zalicza się ono zarówno do teatru ideowego. Rzeczywiście pierwiastek dramatyczny w sztukach tego autora, z których wszelka uczuciowość i romansowa intryga są wyłączone, wynika jedynie ze starcia ideowego; akcja ich jest wewnętrzna, na zewnątrz ograniczona do minimum i objawia się przeważnie w nader subtelnej dyalektyce. Utwory te wysoce literackie w swym charakterze abstrakcyjnie filozoficznym są dlatego samego pozbawione pewnych bardzo potrzebnych dla powodzenia sztuki zalet scenicznych. Bezpośredni wyraz życia jest w nich rzeczą drugorzędną, podporządkowaną wyrazowi myśli, nadto brak im najpoważniejszego czynnika, który w teatrze zdobywa sympatyę widzów, mianowicie uczucia. Sztuki Fr. de Curel działają na umysł, ale nie wzruszają, stąd też pochodzi mała popularność tego autora. Pomimo niezaprzeczonej wartości swej, dzieła jego: „L’Envers d’une sainte,“ „Les Fossiles,“ „Le Repas du Lion,“ „La Fille sauvage,“ „La Nouvelle Idole,“ „L’Invitée“ i „Le Coup d’aile“ przeszły prawie niepostrzeżenie przez scenę teatru Antoine’a (dawnego „Théâtre Libre“), jedyne, który zdobył się na ich wystawienie. Wyjątek stanowi tu tylko „La Nouvelle Idole,“ gdyż miała 48 przedstawień z rzędu.

Dramat satyryczno-filozoficzny, mało nadający się do sceny i wogóle nie grany uprawiają: *Pawel Claudel* („Tête d’or,“ „La Ville,“ „L’Echange,“ „La jeune fille Violaine,“ „Le Repos du septième jour“); *Saint Pol-Roux* („La Dame à la faux“); *Mari-netti* („Le Roi Bombance“); *Riccioto Canudo*, *Dujardin*, *Gide*, *Ducoté*, *Ghèon*, *H. Mazel* i inni. W zbliżonej do poprzedniego komedyi fantazyjnej i bajce dramatycznej zaznaczyli się: *Franc-Nohain*, *Alfred Jarry* („Ubu-Roi“), *Andrzej Rivoire* („Il était un Bergère“), *Roger Le Brun*, *Edmund Guiraud*, *Piotr Soulaire*, *Arnyvelde* („La Courtisane“), *Van Lerberge* („Pan“), *Emil Bergerat* („La Fontaine de Jouvence“).

Dramat romantyczny, klasyczny i historyczny, od czasu niesłychanego powodzenia utworów Rostanda: „Cyrano de Bergerac“

i „L'Aiglon“—przedstawia się nielicznie. Wyróżniają się tu najbardziej: „La Vierge d'Avila“ *Catulle Mendès*a—dramat osnuty na tle życia św. Teresy, napisany dla Sary Bernhardt; treść jego nie przedstawia zresztą nic historycznego, lecz jest wymysłem autora. Słynny tragik z Komedyi Francuskiej, *Monnet-Sully*, zapragnąwszy sławy autorskiej, napisał wspólnie z poetą, *Piotrem Barbier*, dramat w stylu klasycznym „La Vieillesse de Don Juan,“ którego dość słabe zalety podniosła własna jego mistrzowska gra w roli odmienionego pod starość, jak chcą autorzy, przez czystą miłość do młodziutkiej kuzynki—Don Juana.

Niez mordowany *Victorien Sardou* w dramacie historycznym p. t. „L’Affaire des Poisons“ zaczerpnął pomysł w tajemniczej i dotąd nie wyjaśnionej dokładnie sprawie projektowanego zamachu na Ludwika XIV, do której wmieszana była pani de Montepan. *Max Mauray* obrał zawartą w powieści G. A. Thierry anegdotę z epoki drugiego cesarstwa, jako osnowę dramatu p. t. „La Savelli“—sukces aktorki Réjane w jej własnym teatrze.

Do rodzaju dramatu romantycznego zaliczyć jeszcze trzeba heroi-komiczne utwory: *Jana Richepin* — „Don Quichotte,“ dość słaba przeróbka z Cervantesa, oraz *Miguela Zamacaïs* — „Les Bouffons“ (Sarah Bernhardt) — oba obliczone w dużej części na teatralną paradę. Są też mało znane dzieła poetów: Magre’a, Valmy-Baysse’a, Fauchais, Arnyvelde’a, Fréjaville’a.

Jednocześnie, wznowienie teatrów antycznych, na otwartem powietrzu, w pozostałych z czasów panowania Rzymian arenach w Nîmes, w Orange, w umyślnie na ten cel urządzonej teatrze w Champigny pod Paryżem i w innych okolicach Francyi, dało pochop i skłoniło umysły wielu poetów do tragedyi.

Prócz dzieł autorów starożytnych, na scenach tych ukazały się tragedye nowożytne, mające prawdziwe zalety literackie i sceniczne.

„Le Dieu Nouveau“ *Pawła Sauchon*, utwór, zestawiający poezję greko-łacińskiego poganizmu z ascetyczno-mistycznym duchem chrześcijańskim miał szczególne i zasłużone powodzenie. Na uwagę zasługują również: „Phyllis“ tegoż autora; „La Victoire“ i „Le sans couronne“ przez Saint-Georges de Bonhélier, „Dionysos“ przez J. Gasquet, „Iphigénie“ przez J. Moréas’a, „Semiramis“ J. Péladana, „L’Hydre“ przez Karola Méré i inne, wreszcie piękny utwór zmarłego poety *Alberta Samain* „Polyphème,“ grany po raz pierwszy w Orange, a ostatnio wystawiony na scenie Komedyi Francuskiej.

WSPOMNIENIA ULANA

pułku pierwszego legii nadwiślańskiej

o kampaniach lat 1807 — 1814.

Do literatury pamiętniczej, poświęconej wspomnieniom kampanij napoleońskich i udziału w nich wojowników polskich, przybywa nowy przyczynek, zaczerpnięty z rękopisu, pochodzącego ze zbiorów b. Towarzystwa Przyj. Nauk, skreślonego przez nieznanego z imienia i nazwiska żołnierza, który, w latach 1807 — 1814 z bronią w ręku przemaszerował przez Europę i, okryty ranami, odtworzył, gwoli uczczeniu bohaterstwa swych kolegów, obraz walk i przygód, doznanych na hiszpańskiej ziemi. Niewprawna do pióra i literackich zwrotów ręką zapisane są pozostałe karty rękopisu, oznaczonego sygnaturą IV. 4. 24 (№ 767), w zbiorach miejscowej biblioteki uniwersyteckiej. Nie zależało widocznie autorowi na uwiecznieniu własnego nazwiska i własnych zasług, położonych dla sprawy ogólnej, której ucieleśnienie widziano w bezgranicznem poświęceniu się geniuszowi i ambicji Napoleona. Ani jednym słówkiem nie ułatwia pamiętnikarz zadania odgadnięcia autorstwa wspomnień, poświęconych wyłącznie wykazaniu bohaterstwa rodaków.

„Dzieje wieku XIX — pisze we wstępie autor — będą źródłem niewyczerpanej nauki dla potomności, tak dla rozlicznych odmian, które państwa całej Europy doświadczały, jako też dla geniuszu wojskowego, który się jej ludom objawił... Wypadki każdego pułku, w krwawych bojach uczestnictwo mającego, mogą być interesującą dla czytelnika rozrywką. Że pisarze historii powszechnej podadzą do potomności czyny każdego narodu, niemasz wątpliwości. Niektórzy, opisując kampanię, zamieszczają

ciekawe wypadki krwawej wojny. Czyny nieśmiertelnych wódzów przejdą do potomności i ta dopiero odważyć będzie każdego zasługi. Atoli ku pomocy tak zbawiennym zamiarom historyków, niniejsze dziełko, opisujące przygody pułku pierwszego ułanów legionu nadwiślańskiego, interesujące być może. Czas, miejsce i zamiary uformowania legii naddunajskiej, następnie *nadwiślańską* nazwanej, już wiadome są zapewne każdemu. Wiadome są wypadki kampanii we Włoszech, aż do roku 1806, kiedy ten pułk zbliżył się do granicy ojczyzny swojej. Opisanie towarzyszących przygód od roku 1807 do 1814, wiernie, chociaż zbyt słabym piórem, tu potomności podane zostaje.“

„Pokój Wam, ceniom zmarłych i poległych w boju towarzyszących — tak kończy pamiętnikarz wstępne słowa swych notatek — a Wam, jeszcze żyjącym weteranom, pozdrowienie przesyła autor.“

I.

Pułk pierwszy ułanów legii nadwiślańskiej, następnie siódmym szwoleżerów nazwany, dlatego całej armii francuskiej był znany, że oddziały jego do rozmaitych armij były odkomenderowane. I tak, pod dowództwem pułkownika Klickiego był znaczny oddział przy zdobyciu prowincyj hiszpańskich: Aragonii, Katalonii i Walencji. Czyny tego walecznego i światłego dowódcy tem więcej godne są podania potomności, że na czele tego hufca częstokroć generał Chłopicki, straszny Hiszpanom w boju wódz, sprawiedliwy i łagodny spokojnych tych prowincyj mieszkańców opiekun, z szablą w ręku gromił nieprzyjaciół. Drugi znakomity oddział był pod dowództwem pułkownika Stokowskiego, który po Konopce dostał ten pułk w dowództwo. Te szwadrony długi czas oczekiwały w Segowii na pułk, który wprawdzie już wyciągnął z Andaluzji, pod dowództwem majora Ruttego, na kampanię rosyjską, lecz oblężenie fortecy Badachos przez Anglików, a następnie zapóźno temu garnizonowi dana odsiecz, były przyczyną, że pułk pozostał w armii południowej, a szwadrony pułkownika Stokowskiego, pomaszzerowały na kampanię rosyjską. Trzeci oddział był w Hamburgu, pod dowództwem szefa szwadronu Trzebuchowskiego. Czwarty — w fortecy Magdeburgu. Pomniejszych oddziałów trudno zrachować, a wszakże, kaźden, użyty przeciw nieprzyjacielowi, tak odznaczał się, iż generałowie francuscy ubiegali się o ułanów polskich i dla tego, kto złapał jaki oddział, już

go nie popuścił, aby mógł się złączyć z pułkiem, którego było również przeznaczeniem, że tak powiem, aby armia armii tam dostawiała, gdzie zanosilo się na stanowczą batalię.

Pułk ten, jakkolwiek kompletny wkroczył do Hiszpanii, kilkakrotnie odebrał liczne posiłki z Francyi. Tyle miał odkomenderowanych oddziałów, iż oficerowie z jednego pułku nie znali się. Nadto, każdym oddziałem oddzielnie opiekujący się generalowie francuscy przedstawiali oficerów do wszystkich stopni i różnych nagród, chociaż dowódca pułku nie o tem nie wiedział. Niepodobna przeto w niniejszem pisemku wszystkich przygód tego pułku zamieścić.

Pułk 1 ułanów legionu Nadwiślańskiego, w okolicy Wrocławia konsystując, odebrał posiłki w ludziach i koniach z Polski, mianowicie szlachetnych ochotników, którzy stanęli pod sztandarami dawnych legionistów.

Stamtąd udał się pułk do Westfalii, na zimowe leże do miasta Osnabrück, gdzie nowe znakomite odebrał posiłki z pułku huzarów, naprzód Ks. Sułkowskiego, dalej Pruszkaka, nakoniec Kalinowskiego. Ten regiment, z samych ochotników złożony, przyszedłszy do Minden, w ten sposób podzielony został: najprzód, wybrano sto koni na gwardyę króla Westfalskiego, pod dowództwo szefa szwadronu Czaplickiego i Dąbrowskiego, który z innymi oficerami tego szwadronu stopniem niżej przyjął miejsce, a cały niemal szwadron z podoficerów na żołnierzy uformowany około miasta Kassel. W pobliskości konsystowała czas niejaki gwardya.

Do pułku ułanów, o którym mowa, wybrano 300 ludzi, a resztę wcielono do piechoty legii Nadwiślańskiej, która również w Kassel konsystowała podówczas.

Oficerowie niektórzy pułku huzarów, idąc za przykładem pułkownika Kalinowskiego, który został generałem-adjutantem króla Westfalskiego, powrócili do Polski. Drudzy, jak powiedziano, dobrowolnie odstąpiwszy wyższych stopni, pozostali w gwardyi. Inni — do pułku ułanów, a nakoniec reszta do piechoty wcieleni zostali.

Skoro ta organizacya ukończoną została, trudno pojąć, dla jakich przyczyn król Westfalski szwadron ten gwardyi rozkazał wcielić do pułku ułanów w Osnabrück stojącego. W tem miejscu niepodobna zamilczeć, jaka z tej zmiany temu szwadronowi wyrządzoną została krzywda. Oficerowie w pułku huzarów, posiadane stopnie dobrowolnie poświęciwszy, dla tego, że byli wybrani do gwardyi, ujrzeni się, po wcieleniu szwadronu do liniowego pułku, w stopniach niższych. Cóż dopiero powiedzieć o podoficerach,

którzy również szlachetnym zapałem powodowani, nie popełniwszy żadnego występku, zdegradowani zostali!

Dowódca, dostawszy do swego pułku taki wybór oficerów i żołnierzy, a jeszcze bardziej major Klicki, tym więcej starali się osładzać swoją uprzejmością los przykry współbraci swoich, że byli przekonani, iż tym Rodakom, zapędzonym burzą patriotyzmu w kraje tak odległe, wybranym na straż honorową przez królów, których nie znali i nie widzieli, niesłychana wyrządzona została krzywda.

Na początku roku 1808 pułk odebrał rozkaz wyruszenia do Hiszpanii, a przechodząc przez Francję niedoświadczył innych nadzwyczajnych przygód nad te, że dla upałów i nagłego pochodu, ciągle nocami maszerując, przykrego doznawał utrudzenia.

W Paryżu, kiedy pułk gotował się na rewję inspekcyjną, Naczelnik Kościuszko przechadzał się pomiędzy żołnierzami i końmi. Poznany przez dawnych żołnierzy, skoro szmer usłyszał, niezwłocznie oddalił się.

W Bajonnie dopiero pułk zastał Cesarza Napoleona, przez którego obejrzany, miał zrzeczność popisać się w obrotach wojennych, a mianowicie, kilkakrotnie powtarzał przy rozsypanych flankierach, frontem atak, z wielkiem zadowoleniem obojga Cesarstwa. Nazajutrz, pułk, za dawne zasługi, odebrał 38 krzyżów legii honorowej, a po wyprawionej uczcie przez gwardyę Krasińskiego, wyruszył pułk do Hiszpanii przez Pireneje najkrótszą drogą do fortecy Pampeluny, już w ręku Francuzów będącej.

W dniach pierwszych czerwca 1808 r. zebrany korpus pod dowództwem generała Lefebra otworzył kampanię, maszerując ku miastu — Saragossie, nad rzeką Ebro. W małej wiosce wypadło pułkowi na noc rozłożyć się. Pierwszy ten kwaterunek wojenny stał się na przyszłość niezatartą nauką.

Żołnierze rozprowadzeni na kwatery jak się dało, nie mając furazu dla koni, wynaleźli skład wielki pszenicy, której każdy nabrawszy tyle, ile mu się spodobało, zasypał koniom; te zgłodniałe stworzenia dorwawszy się tak smacznego pokarmu, jadły bez końca, a żołnierz zachmielony winem, ani spostrzegł, co nastąpi. Dopiero nazajutrz, kiedy pikiety nasze zaatakowane przez stado bydła, strzelać poczęły, niemogąc bronić się skutecznie pikami, zrobiono alarm, aż tu więcej niż połowa koni schwacona z trudnością ze stajen wyprowadzona bydź mogła. Każdy sobie wystawić potrafi, co za smutek był powszechny w pułku! Tu nieprzyjaciel obozował po drugiej stronie rzeki Ebro, tu kampania dopiero otworzyła się, a tu prawie każdy oficer i większa część

żołnierzy bez wystrzału zdemontowaną została. Na drugi dzień pułk zebrawszy się jak było można, wyruszył naprzód, a przeprawiwszy się przez rzekę, przewozem dążył ku miastu Tudela, gdzie Hiszpanie pobici, utraciwszy kilka armat polowych, wraz z mieszkańcami odbiegłszy miasto, wystawili je na liczne ekscesy, które były dla żołnierza pierwszymi, lecz, niestety, nie ostatnimi.

II.

Dnia 11 tegoż miesiąca pod Moncayo była pierwsza już z uszykowanym do boju nieprzyjacielem potyczka; lecz złamani przez piechotę francuską, ścigani przez ułanów, znaczną poniósłszy stratę, Hiszpanie zrejterowali do Alagon.

W tej aferze flankierzy i 4 szwadron ułanów po pod arkady kanału przeprawiwszy się z boku na nieprzyjaciela uderzyli, zmusili do ucieczki i ścigali aż przez rzekę Ebro, którą z łatwością przebrnąć można było, lecz na powrót tak ciągnęło i gwałtownie woda wezbrała, iż w przeprawie utraciliśmy oficera Topolczaniego i jednego — francuskiego szassera, którzy w odmet pieniących się bałwanów zanurzeni zostali. Pod Alagon również nie więcej okazali męstwa i odwagi Hiszpanie. Umknęli do Saragossy, gdzie rozsiewszy postrach, że takie wojsko ściga, które z długich kijów strzela i kole, tak miasto przerazili, iż wybite bramy prawie do wieczora stały otworem. Dopiero, kiedy pułk przystąpił pod bramę jeszcze otwartą, przed czasem takowa zamkniętą została, a rzęsisty ogień z ręcznej broni do nieładu naszych przyprowadził.

Tam to w samym kwiecie młodości swojej waleczny oficer Snarski, przy zdobyciu bramy zabity został. Ten bowiem, z plutonem swoim, zapędziwszy się za nieprzyjacielem, który i armat i bramy odbiegł, przestrelony z murów, zaledwo uniesiony do swoich, w nocy życie zakończył.

Przytem, Piotr Rogoyski, przebiegając ulice aż do rynku, niewidział żadnej przeszkody do zdobycia tego miasta, które wszakże później stało się, że tak powiem, cmentarzem, zagrzebującym w gruzach swoich tysiące walecznych wojowników.

Dnia tego, po odparciu od miasta Saragossy, do którego już mieliśmy wchód otwarty, uchwalono przedsięwziąć formalne oblężenie. Zanim nadeszły ciężkie działa i więcej wojska, nieprzyjaciel nie ważył się wychylić z murów. Następnie, opasawszy miasto wokół, i aż w końcu września przypuściwszy szturm generalny,

zdobyto mury podwójne, któremi miasto opasane było i pryncypalne bramy. Zdawało się, iż jesteśmy zwycięzcami mężnych Aragonezów, atoli od domu do domu szturmowaliśmy przez dni dziewięć i tyleż nocy. Gdyby nie powzięta wiadomość, że generał Kastanios w znakomitej sile nadciąga Hiszpanom na odsiecz, chyba całe nasze i ich wojsko wraz z mieszkańcami miasta w gruzach jego byłoby się zagrzebało.

Dowódca, generał Palafox, acz niebezpiecznie ranny, z ulicy na ulicę kazał się przenosić. Jego rozkazy i obecność dodawały męstwa mężczyznom i kobietom, które obok swych walecznych wojowników miały odwagę stawić czoło nieprzyjacielowi. Słowem, jeżeli jednego dnia zdobyto ulicę na prawem skrzydle, to drugiego utracono inną, na lewym. Tak mordując się na przemian, za zbliżeniem się korpusu Kastaniosa, wysadziwszy w powietrze kilka klasztorów i bram pryncypalnych, zatopiwszy armaty i amunicję, opuściliśmy to miasto, przy którego powtórnem zdobyciu i przy pierwszym oblężeniu tyle usłano trupa, iż można by zapewne z kości poległych wojowników i mieszkańców miasto wałem obłżyć.

W tej okropnej wyprawie samo wspomnienie losu nieszczęśliwych kobiet, osadzonych w konwencie z powodu pomieszczenia zniszczonych, któremu przez tak długie bombardowanie miasta, uległy, każdego, kto tam wtedy był, wskroś zgrozą przejmie zapewne, skoro sobie wspomni, jak się obchodzono z temi nieszczęśliwymi ofiarami przywiązania do ojczyzny i jaki wreszcie był ich koniec.

Pokój waszym ceniom, bohaterki Saragossy, a nam, bracia, nader smutne wspomnienie!

III.

Zrejterowawszy, korpus bez uszkodzenia stanął na prawym brzegu Ebro, a pułk ułanów zajął miejsce obozem pod Gallur i Pedrola. Tam z gwardyi Krasieńskiego przysłano sześciu zanominowanych oficerów, jakgdyby podoficerowie z tego pułku, już połączeni z podwójnie nieszczęśliwymi luzarami, niemieli zdatnych, zasłużonych i już dobrze ostrzelanych wojowników.

W końcu roku 1808 Napoleon przybył osobiście do Hiszpanii, wzięwszy dyrekcję ku Madrytowi. Wtedy gwardya Krasieńskiego pod Somosierra okryła się pierwszym wawrzynem chwały, a nasz korpus, wzmocniony znakomicie, znów wyruszywszy ku Sa-

ragossie pod Tudelą stoczył formalną batalię, gdzie armia zwycięższy, podzieliła się na dwoje. Marszałek Montey pociągnął pod Saragosę, wzięwszy z sobą Maryana Klickiego ze znacznym oddziałem, a pułk udał się z korpusem ku Madrytowi.

Już stolica poddała się zwycięzcy, kiedy pułk, stawiony cesarzowi, odebrał zasłużone pochwały i nagrody, a przyłączony do dywizyi kawaleryi, ku Portugalii pomaszzerował.

W dzień Św. Szczepana 1808 r. była sławna batalia pod Ponta Almoras, gdzie dywizya polska, złożona z 4, 7 i 9-go pułków, przyłączona do korpusu 4-go generała Sebastiani, wraz z nami walczyć zaczęła.

Zwyciężony nieprzyjaciel, przerwawszy most, przez Rzymian na rzece Tagos zbudowany, poszedł w rozsypkę, a dywizya Lapalla, za pomocą rozebranej austeryi most zreperowawszy, poszła w pogoń za Hiszpanami, aż do miasta Truchillio del Moro.

Z tej wyprawy powróciwszy, sądziliśmy że w Toledo, gdzie stanęliśmy głównym garnizonem, odpoczynek nas czeka. Tymczasem wojna z narodem, nie jest wojną z wojskiem. Dopiero zniesiony nieprzyjaciel, już ci zebrał się na nowo, gotów zmierzyć się z nami. Hiszpanie zaczęli wojnę partyzancką prowadzić, napadać niespodziewanie, wyrzynać małe garnizony, pastwić się po barbarzyńsku, chociażby nad bezbronnym, żebrzącym miłosierdzia. — Było to ich rzemiosłem i przyjemną rozrywką.

W Toledo przez cudownej urody dumną półwyspiarkę, poróźniwszy się dzielni oficerowie: Zawadzki i Moszyński, uniesieni zbyt dużą porywcznością, wieczorem na kwaterze, przy świecy — smutną dla wszystkich towarzyszków, a jeszcze smutniejszą dla rodziny i kraju, odbyli na pałasze walkę. Równa zręczność i siła długo przewlekała ich nieszczęsną potyczkę. Zawadzki, cięty w głowę, już się chwiać zaczął, kiedy gniew, dodawszy ostatniej siły, już pojedynek na ślepy bój zamienił. Moszyński miał nieszczęście, że mu czapka spadła wtenczas, kiedy Zawadzki z całą mocą natarł na niego. Dwa cięcia w głowę, jedno po drugim, razem prawie z czapką obaliły na ziemię Moszyńskiego. Konający prosi o przebaczenie zwycięzcy. Zwycięzca, jeszcze nieszczęśliwszy od zwyciężonego, przytomność i zmysły utracił. O! gdyby ten obraz mógł każdemu wojownikowi stanąć przed oczyma, czyliż znalazłby się taki, coby za jedno spojrzenie kobiety w obcym kraju, wśród licznych nieprzyjaciół podobny błąd popełnił?

Nielepszy los czekał Zawadzkiego. Znienawidzony od oficerów i żołnierzy, dręczony wyrzutem sumienia, szukał śmierci w każdym boju, lecz znalazł ją właśnie po powrocie do Polski,

w paradzie, na rewii, kiedy może już o swym występku nie pamiętał, kiedy najbliższym będąc zapewne szczęścia pośród rodaków, padł wznak z koniem i ducha wyzionął.

IV.

Generał Valence objął dowództwo dywizji polskiej, do której i my przyłączeni zostaliśmy. W marcu 1808 r. zbrali się Hiszpanie w znaczny korpus nad rzeką Gwadiana. Wyruszył więc korpus Sebastianiego na tę nową wyprawę. Piechota traktem ku Sierra Morena ciągnąc, zanocowała w Mora, a nasz pułk, zamiast w Orgaz, pozwolił sobie przejść góry, na wygodniejszy nocleg do wsi Jewenes.

Na kompanię 5-ą wypadła służba. Pod kościołem założyła ona główną wartę. Inne kompanie rozłożono po karczmach, które tam w każdej wsi na trakcie się spotyka. Noc była nader ciemna, a nadedniem wielka mgła powstała. Służbę polową miał kapitan Szulc, który, objeżdżając placówki, odebrał raport, że psy szczekają po folwarkach, że jakiś hałas słyszeć się daje. Takowy raport zdał on pułkownikowi, lecz pułkownik, będąc przekonany, że nieprzyjaciel mógł raczej oczekiwać, aniżeli do ataku się przygotować, mniej uważając na raport do dnia uczyniony, odegrać kazał pobudkę, a następnie, do przekulbaczenia i chędożenia koni apel.

Wtem naraz, kiedy już konie rozkulbaczone były, przy licznych wystrzałach wszystkie placówki zaatakowane i spędzone zostały wielką siłą nieprzyjaciela, w porządnym szyku z armatami postępującego. Wskoczyła wprawdzie za wieś na spotkanie nieprzyjaciela kompania 5-ta, lecz nieprzyjaciel liczny, przez 4-ty pułk kawaleryi z armatami zaledwie był zatrzymany, aż się pułk zdołał uszykować, a bagaże oficerskie, jak które mogły, napowrót przez górę unyknąć poczęły.

Skoro pułkownik zobaczył nader przewyższającą siłę nieprzyjaciela, tem spieszniej rozkazał szóstkami od lewego ruszyć do rejterady, że, wbrew rozkazowi, wlażł na nieprzyjaciela. Droga dość szeroka, wężykowato prawie wykuta w skale, prowadzi na przykrą górę, z jednej strony po pod ogromne skały, z drugiej strony, aby podróżujący nie wpadł w bezdenną przepaść, pomurowano ścianę, aż do wierzchołka góry. A tak, pomiędzy dwoma murami droga przez tę górę przechodzi.

Skoro pułk wyruszył pod górę, dziwne pokazało się nowe zjawisko, bo bagaże, które umykały pod górę, z góry napowrót ku pułkowi pędziły. Szczęściem, że na zakręcie pod górę było takie koło, w które baby, furgon pułkownika i bagaże oficerskie wpakowały się. Nie pytając się, co to znaczy, pominęliśmy tę bandę. Nieprzyjaciel z tyłu, prawie zniósłszy 5-tą kompanię, na ariergardę zostawioną, nacisnął się w górę za nami, a wtem lewe skrzydło również na zakręcie schodzi się na wystrzał z pistoletu na drogę z nieprzyjacielem, który, o ile tylko można było dojrzeć, również szóstkami, czyli ósemkami, z góry na dół maszerując, całą wszerz i wzdłuż drogę zajął.

Czy, że to nagłe spotkanie odurzyło Hiszpanów, czy też, że sądzili, iż tak zaśluzowani z tyłu i przodu wszyscy bez wystrzału poddamy się, dosyć, że oni i my razem stanęliśmy.

Pułkownik pierwszy maszerując natychmiast zwraca do pułku konia, a wyrwawszy szablę, rzecze:

— Polacy! dotąd walczyliście z honorem, dziś umrzeć, albo się przedrzeć musimy. Naprzód! hura!

To hasło, powtórzone przez wszystkich, było znakiem do boju. Tam tylko kilku torować mogło drogę dla wszystkich. Spięte przedmurze nieprzyjaciela, pikami i szablą sarmacką, trupem pod nogi nasze powaliło się. Sztab cały nieprzyjaciela, na czele znajdując się, pierwszy padł ofiarą swej zuchwałości. Niedługo byłby się uformował z trupów mur nieprzebyty i musielibyśmy wyginać, gdyby widok oczywistej śmierci nam niedodawał męstwa i odwagi, a przeciwnikowi niedoradził unosić życia.

Ci Hiszpanie, co byli z tyłu, widząc rzeź otwartą, a pomagać do boju swoim nie mogąc, odwróciwszy konie, umykać poczęli ku Orgaz, tam, gdzie nam być należało. Ci, co stali od skały—na skałę, a ci, co od przepaści—w przepaść rzucić się musieli. Tym sposobem, coraz dalej wolniejszy mieliśmy przejazd; lecz ci, co na skałę wyskoczyli, wzięwszy się do karabinków, przepuszczali każdego przez kule, jak przez różgi i najwięcej naszych uszkodzili. Atoli i ci, co z tyłu poganiali, nieociągali się z zemstą, widząc, że jak ryba z sieci wymknęliśmy się z oczywistej zguby i jeszcze zwycięstwo już oplakane umieściliśmy.

Gdyśmy przedarli się przez górę na dół, nowe niebezpieczeństwo nas czekało, bo ogrody i winnice, które musieliśmy przebywać, ani pozwalały się formować, ani miejsca, gdzieby dać odpór nieprzyjacielowi, nie dawały.

Szwadrony pomieszane, konie zmęczone, brak miejsca i czasu do sformowania się, a nieprzyjaciel w porządnym szyku prze-

bywszy górę, siedział zawsze na karku. Tu dopiero nowy jeszcze przypadek oddał im zwycięstwo.

Furgon pułkownika, o którym wspomniałem, aż dotąd przeszedł szczęśliwie i bez wątpienia byłby był uprowadzony, gdyby dla pułku nie było tajemnicą, że sztandary spakowane w mantelzak, które włóczyły się wszędzie za nami, tam się znajdują. Tymczasem, niestety, nie wiedziano o tem. Pułk utracił znaki swej długoletniej służby i położonych dla ojczyzny zasług. Utracił jeszcze 3-ch oficerów, i kapitanów: Szulca, Stokowskiego, Szaniawskiego, i sztabs lekarza Gzyła, niektóre bagaże, i do 200 ludzi w zabitych i do niewoli wziętych.

Waleczny szef szwadronu, Kostanecki, w każdym niebezpieczeństwie pierwszy i przytomny, zwołał do porządku szwadrony.

.....

Dnia drugiego stanęliśmy nad Gwadiano przed oczyma nieprzyjaciela, a zobaczywszy nas Hiszpanie sądzili, żeśmy zmartwychwstali, gdyż ich kawalerya, dumna z swego zwycięstwa, ogłosiła, iż do nogi zmiotła tych wrogów, którzy i kawaleryi i piechocie zawsze umieli się dać we znaki.

V.

Most na rzece Gwadiano słabo był przez Hiszpanów broniony. Przebiegłszy przez takowy, na płaszczyźnie znaleźliśmy piechotę, w czworoboki uformowaną i gotową nas przyjąć. Skoro tylko plutonami, kłusem maszerując, stanęliśmy na linii, wraz z regimentem huzarów gwardyi holenderskiej, generał Sebastiani, wyjąwszy szablę krzyknął: naprzód!

Z szybkością błyskawicy wpadłszy na stojące czworoboki, całą pierwszą linię przewróciliśmy. Pułkownika gwardyi holenderskiej, a od nas, podoficera Krobickiego i kilkunastu ludzi i koni zabitych i rannych w tym pierwszym ataku mieliśmy.

Druga linia nieprzyjacielska stała uszykowana na pasmie gór skrzydłem lewem do miasta Ciudad Real. Przypierających więc, piechota z artyleryą, miały honor spędzić z pozycyi, a myśmy ciągle postępując drogą przez miasto ścigali i zabierali to wszystko, co tylko opierać się chciało, bądź uchodzić nie mogło. Ze z boku na lewo najwięcej snuł się nieprzyjaciel, więc wysłano

z plutonem Wojciechowskiego, wachmistrza, a ten niespodzianie napadłszy na batalion cały w komplecie z oficerami i znakami przeszło 300 ludzi liczący, zabrał do niewoli.

Smutny to był widok patrzeć się na ojca, komendanta batalionu, z kilkoletnim chłopczyzną płaczących nad swoim losem i nad dolą ojczyzny.

Po odniesionem kompletnem zwycięstwie, nazajutrz pod Santa Cruz zebrana owa zwycięska kawalerya, w porządnym szyku zastąpiła w nieładzie umykającą w góry Sierra Morena piechotę i miała śmiałość na równinie stawić czoło. Nadstawiono dzidy, zawołano: „klusem!“ aż pękły owe szwadrony, a w nieładzie ucieczki każdy uważał tylko, jakby na rośłym andaluzie, umknąć przed mierzynem polskim.

Kasa wojskowa, bagaże, wozy i to wszystko co zdążyć w góry nie zdołało dostało się w ręce nasze. Wieś Alwizilena pod samemi górami Siera Morena, stała się teraz i była później po razy kilka punktem odpoczynków.

W tej aferze sierżant Ignacy Osieński był rannym od rapierów hiszpańskich.

Po odpoczynku cofnęliśmy się do wsi Waldenpenias, sławnej z ogromnych zapasów najwyborniejszego wina czerwonego, stołowego. Oprócz tego, tę wieś możnaby u nas uważać za miasto porządne, wielce bogate, gdyż to był punkt handlu krajowego z południową Hiszpanią.

Za naszym zbliżeniem się mieszkańcy opuścili wszystko. Dla nas i huzarów było to miejsce konsystencyi, a piechota polska w Mansanarez stanęła.

Armia cała do Waldenpenias, jak do magazynu, posyłała po wino, a to, co wzięto na rachunek, przechodziło jedenaście milionów butelek. Oprócz tego, każdego żołnierza i kto tylko przyjechał, nabierał tyle, ile mu się podobało. Słowem, niedość że żadnej gospodarki nie zachowano w szafowaniu żywnością, że brygada przeszła dwa miesiące konsystowała, ale jeszcze po razy trzy cała armia francuska, zapędzając się do zdobycia przejścia tych gór, znalazła pod dostatkiem żywności i wina.

Wtem zebrał się nieprzyjaciel na nowo, a nietylko, że już z gór wyruszył na nasze spotkanie, ale zamierzył, działając zaczepnie, wykurzyć nawet króla Józefa Bonapartego z Madrytu.

Pokazały się zewsząd znaczne siły. My, ustępując nad rzekę Gwadiano, sześć pułków lekkiej kawaleryi zebraliśmy.

Generał Sebastiani, chcąc przeprzeć siły nieprzyjaciela, wyruszył z tą kawaleryą, a podszedłszy pod Mansanarez, na małych

utarczkach dzień cały strawił. Wieczorem tedy samym powróciliśmy do naszych stanowisk, dostatecznie utrudzeni.

Skoro tylko kaźden zabierać się począł do odpoczynku, nadszedł korpus marszałka Wiktora i rozkazano nam wyruszyć na awangardę na huzarów holenderskich, zbliżonych ubiorem do lekkiej kawaleryi hiszpańskiej. Nasz pułk postępował za awangardą, a cztery pułki szaserów francuskich za nami — dalej piechota polska z armatami, a następnie rezerwa, bagaże korpusu i t. d.

Szanowny starsuszek, generał Paris, komenderował kawaleryą i maszerował na czele naszego, jako ulubionego, pułku. Już głęboko w noc było, a w największej cichości maszerując wszyscy znużeni trudami spali. Starsuszek generał, któremu tylko był wiadomy cel ekspedycyi, usnął jak inni, a kiedy już generał Sebastiani, znający okolicę, zmiarkował, żeśmy zbyt daleko wleźli, a nie stajemy, wysłał adjutanta, ażeby nas zatrzymać dla sfornowania się. Adjutant, nie mogąc się przepchać tak prędko do awangardy, krzyknął: „halt!“ Kto się obudził, krzychał: „halt!“ Szpica huzarów, równie rozspana, na ten krzyk wykręciwszy się do swoich, dała ognia. Huzarzy, myśląc, że to nieprzyjaciel napada—w nogi. Obóz—na naszych. My, sądząc, że to Hiszpanie, dalej nadziewać pikami nieszczęsnych huzarów. Tak zmieszanych widząc, szaserzy poczęli uciekać. Piechota polska, sądząc, że to kawalerya nieprzyjacielska, leci ich rozbijać. Dali rżęsiło ognia. Artylerya, sądząc, że już piechota złamana, oberżnęła konie od armat, rezerwy, bagaży. Strzelanie, krzyk uniwersalny, a szczególnie noc ciemna były przyczyną, że cały korpus poszedł w rozsypkę.

Nami dowodził kapitan Sztuppit, ostry w służbie, kamrat w zabawie, mężny w boju, przezorny w przygodzie. W oka mgnieniu spostrzegł błąd wszystkich, a poskoczywszy na prawo, zawołał: „ułany do frontu!“ Było to hasło, które nas wkrótce zgromadziło do kupy i dlatego mieliśmy szczęście nie należeć do dalszej awantury.

Wypadek był sam przez się okropny, lecz skoro się dzień zrobił, ujrzano pobojowisko trupem usłane. Rozpacz wszystkich ogarnęła. Tu armaty i furgony i bagaże pomieszane i poprzewracane, tu jęczą ranni, żebrzą miłosierdzia, tam ludzie poprzywalali koni, tu konie leżą na ludziach, pomieszana piechota z kawaleryą. Ułan w bermycy szasera, huzar w czapce ułańskiej, słowem—plakać i śmiać się trzeba było razem.

Sformowawszy się przecież, wyruszyliśmy z tego przekłętogo teatru. O ćwierć mili od Manzanares odprawiliśmy batalię, gdzie nieprzyjaciel w śnie smaczynym odpoczywał. Bylibyśmy za-

pewnie umknęli, lecz Hiszpanie, usłyszawszy naszą batalię i podobnie, jak my, popadłszy w zamieszanie, tak przestraszeni umykali, że rozstawionych placówek nie ściągnęli i te nam dostały się do niewoli, w nagrodę za całą naszą stratę.

Ztamtąd rozłożono armię od Aranchuez aż do Toledo, gdzie niedaleko tego miasta wypadło stanowisko dla nas.

Nieprzyjaciel liczny w 70 tysięcy miał zamiar spróbować szczęścia w stanowczej batalii, więc zebrawszy się pod Okania, prawe swoje skrzydło oparł o brzeg Tagos, a lewe o wieś Okanda. Piękna równina jest tej okolicy ozdobą. Odebraliśmy rozkaz przejść na prawy brzeg Tagos i na całą noc wyruszywszy do Aranchuez, mil przeszło 10 zrobiliśmy. Już było po południu, kiedy w ozdobnych ulicach około tego miasta obstała nas piechota polska, częstując, czem kto miał. Prosilili, aby się pomścić na kawaleryi hiszpańskiej, bo ta na patrolach dużo dokuczyła.

Odpocząwszy z godziny, wyruszyliśmy wplaw przez rzekę, trzymając brygadę z pułkiem szaserów francuskich zawsze pod dowództwem generała Paris.

Dywizya dragonów z marszałkiem Mortier i generałem Sebastiani ruszyła za nami, trzymając się wprost traktu ku Okania, a my ruszyliśmy się w lewo, po pod góry ścieżkami, aby również pokazać się na płaszczyźnie w punkcie środkowym, dla lepszego rozpoznania i siły i stanowiska nieprzyjaciela.

W tem generał Paris rozesał adjutantów, aby ogłosili, że dziś nieprzyjaciel niema pardonu. Więc było to hasłem dla każdego wziąć się do posiłku. Lecz konie po tak forsownym marszu ledwo drapały się po skale na górę. Gdy pokazała się płaszczyzna i skoro do frontu stanęliśmy, ujrzeliśmy całą płaszczyznę zawałoną kawaleryą.

Gwardya, karabinierzy, trzymali prawe skrzydło nieprzyjaciela. Dziarski kapitan Hupett, rozkazał oficerom z przed plutonów wstąpić do szeregu i oblecić front, zalecając przytomność komendy. Kiedy owej olbrzymiej gwardyi front wyruszył do ataku, nieprzyjaciel, przybiegłszy przed front, dał ognia rześisto do nas. Lecz to bynajmniej niewzruszyło naszego frontu, a kiedy ani krzyk komendy, ani zachęcenia i zakłęcia nie poruszyły Hiszpanów, dzielny dowódca rzucił przed front z rozpaczą oręż i odwrócił w tył konia. Było to hasłem dla nas do ataku. Pękł front złamany dzidami, a ścieląc trupem pobojowisko wkrótce stanęliśmy pod Okania, mniej bacząc, że jeszcze cała siła nieprzyjaciela pozostała nam w tyle.

Szczęściem pierwszym naszym było, że szaserzy wstrzymywali się od atakowania nieprzyjaciela, drugim, że oficer z naszego pułku, Janiszewski, wysłany do marszałka, aby brygada rejterowała, przybiegł, raportując, że ułany złamali prawe skrzydło, biją się pod Okania, więc dywizya dragonów, odwrócona z marszu w tył, dostała rozkaz zaatakować nieprzyjaciela. To spostrzegłszy, szaserzy z boku lecieli nam na pomoc, a tak z trzech stron nieprzyjacielska kawalerya złamana, trzy tysiące licząc prawie, w pień wyciętą została. Noc zaskoczyła to sławne zwycięstwo, a my, cofnąwszy się w tył, już z piechotą polską spędziliśmy w pobliskiej wiosce wesóły nocleg, ciesząc się, że nam się udało pomścić.

VI.

Nazajutrz, wyruszywszy ze stanowisk, nasz pułk miał zaszczyt wstąpić pierwszy na plac boju wczorajszy i formować prawe skrzydło, od którego poczynając, liczna kawalerya 4-go i 5-go korpusów formować się zaczęła.

Tu dopiero pokazał się smutny obraz zwycięstwa naszego. Cała przestrzeń usłana trupem i rannymi; ten, wnętrzości wyjęte dzidą trzymał przed sobą na rękach, ów, czołgając się jak robak po ziemi, prosił o skrócenie cierpień. Było więc zwycięstwo, lecz skutków zwycięstwa nie widziano.

Skoro cała kawalerya w dwie linie uszykowała się, odezwały się trąby, a to był znak, że dowódca naczelny, marszałek Mortier, zbliża się. Jakoż, rzuciwszy oczyma na plac pobojowiska zwrócił konia ku nam, a stanąwszy przed frontem zdjął kapelusz i w te odezwał się słowa:

— Polacy! Wasze wczorajsze dzieło okryło was nową chwałą. Ciebie waleczny kapitanie w imię cesarza i króla podnoszę na stopień szefa szwadronu i proszę, abyś mi podał nazwiska tych, co się szczególnie odznaczyli.

Hupett odpowiedział: wszyscy! a więc—żadnej nie odebraliśmy nagrody.

Poczem dywizya piechoty polskiej po za kawaleryą przeszła bokiem na prawe skrzydło nieprzyjaciela oszańcowanego i zamaskowanego z armatami w wąwozie idącym od Okania ku rzece Tagos. Hiszpanie małemi utarczkami sprowadzili dywizyę na tę zasadzkę, a sypnąwszy rzęsiwym ogniem, kartaczami i z ręcznej bro-

ni, całą dywizję rozbili i do odwrotu w nieładzie zmusili. Tu widząc generał książę Sułkowski wieczną niesławę, którą miała się okryć dywizya, wyrwał uciekającemu sztandar, a krzyknąwszy: „zaniosę im go wraz z waszą sławą“ tak skutecznie zwrócił wszystkich, że obróciwszy już bez komendy i porządku skoczyli oślep na bagnety, wykłuli Hiszpanów, zabrali armaty i opanowali wąż, jako główne stanowisko.

Po tym manewrze, kawalerya, w ściśle kolumny uformowana, po za piechotę przeszła na same prawe skrzydło nieprzyjaciela, gdzie niedobitki kawalerji stały. Za zbliżeniem się naszym poszły w rozsypkę, a tym sposobem całą armię oskrzydliliśmy, ale następnie w tyle nieprzyjaciół u głównego punktu wsi Okania stanęliśmy. Wnet piechota broń rzuciła, a tak w ciągu godzin najwięcej sześciu—cała prawie armia hiszpańska dostała się do niewoli.

Król Józef był obecny tej konkluzji, a okrzyki: „Vive Roy Pepe!“—„niech żyje król Józef!“ zapewne były mu przyjemne.

Tymczasem pułk nasz małą poniósłszy stratę w tej pamiętnej bitwie, dotąd niewiedział, gdzie się podział generał Paris i co się z nami dzieje? Aż dopiero zabrani do niewoli Hiszpanie odkryli, że on, kiedy my złamaliśmy prawe skrzydło kawalerji nieoparł się, aż o piechotę, pod wsią Okania stojącą.

Że już zmrok padał, że staruszek nie sądził może, iż siła mniej niż męstwo i odwaga, połączone z zapalem, zwyciężają, wziął szereg stojący nieopodal od prawego skrzydła szaserów ułanów hiszpańskich za nasz pułk i sam nieprzyjacielowi wjechał w ręce.

Przyprowadzony do naczelnika Hiszpanów i zapytany: „Okrutny, kto cię upoważnił walczyć bez pardonu?“ gdy odpowiedział: „Moja w tem była wola“—wówczas w najwyższym gniewie dumny dowódca rzuca kilka ludwików złotych ułanowi i rozkazuje przesyć piersi tego czcigodnego wodza, już nad grobem i tak stojącego.

Znaleziono później ciało jego w piwnicy w Okania, lecz jak pogrzebane? zapewne jak inne, bo co do poległych w tej batalii, chociaż ciała były w ziemi pogrzebane, wszakże w parę tygodni tamtędy przejeżdżając, pułkowi wachmistrze starsi do zdania rachunków trimestralnych niezliczoną liczbę psów, sępów, włóczących zwłoki poległych bohaterów, widzieli. Okania, smutny świądek przegranej tak stanowczej batalii, bezładna posępna kaplica, wśród cmentarza stojąca, żaloszny widok oczom przedstawiała.

Już tedy zdawało się, wojna skończona, król ubezpieczony na tronie, mieszkańcy zniszczeni przechodami wojska rozmiłują

się w pokoju i prawach konstytucyjnych. Tymczasem ten nasz na tem mniemaniu oparty spoczynek, niebył nawet zawieszeniem broni. Wkrótce napadnięty 20-ty pułk dragonów przy chędożeniu koni prawie w pień wycięty został, a wojna partyzancka w całym kraju stała się powszechną.

Małe oddziały napadnięte i wymęczone, komunikacja wojsk stawała się coraz trudniejsza, kuryery do przejazdu bezpiecznego potrzebowały znacznej eskorty, słowem, nasza wygrana mniej nam pomogła, niż nieprzyjacielowi przegrana zaszkodziła.

Strata naszych pułków codzień stawała się widoczniejszą. Oficera zastąpił podoficer, podoficera — żołnierz, lecz żołnierza nikt. Zwrócono na to uwagę i wybrano z pułków kadry, aby z Francji nowe przyprowadzili posiłki.

Wtem wojska angielskie zaczęły się pokazywać od Portugalii, ze strony Talawera de la Reina. Znów zagrożona stolica państwa, znów nowa otworzyła się kampania.

Zebrano korpusy. Król z gwardyą, korpus marszałków Wiktora, Mortiera, Junot i generała Sebastianiego ruszyły ku temu miastu, położonemu na lewym brzegu Tagos, zaś na prawo pasmo gór skalistych wciąż ciągnie się; na płaszczyźnie o pół mili od miasta mała rzeczka, na prawo las gęsty dębowy, na lewo ogrody i winnice.

Zebrana kawaleria w jeden korpus dosyć jeszcze była znakomita, a postępując z artyleryą konno, trop w trop za nieprzyjacielem, ujrzała porządne szyki wojska angielskiego, dzielnych flankierów z luzarów hanowerskich, patrzała na szybkie i zręczne wojska obroty.

Do powyższej małej rzeczki doszedłszy—halt! a piechota na prawo do lasu i na lewo do ogrodów kroki swe zwróciła.

Od południa zaczęły się te liczne utarczki, a postępując zółwim krokiem, zaledwo nad zachodem słońca korpus kawalerii mógł postąpić za rzeczkę ku miastu.

Wyparowana piechota angielska z lasu, zajęła pozycję na górach. Noc całą, chociaż dosyć ciemną, musieliśmy sprawować pracę dzienną, a gdy ze skały na skałę trzeba było na bagnety postępować, oporem szło zwycięstwo.

VII.

Nie korzystniej powodziło się i lewemu skrzydłu, z kawalerią we środku. Stojąc o głodzie pod bronią noc całą, przypatrywać się tylko mogło temu rzadkiemu widokowi. Dzień zajaśniał. Słońce weszło, a kawaleria dostała rozkaz posunięcia się na prawo pod góry na płaszczyznę. Już piechota z artylerią pozycyjną zajęła swe miejsca na wzgórzu owalnym naprzeciw góry szpiczastej, podobnej do kopca, od natury i zręcznej ręki silnie ufortyfikowanej.

Pomiędzy wzgórkami a skalistą górą była płaszczyzna, gdzie dwa pułki konnych szaserów na strój postawiono. Kawalerię z artylerią konną postawiono we środku, a nasz pułk przy baterii działającej w asekuracyi stanął. Lewe skrzydło miało przeznaczenie dobywać miasta i w takim porządku rozpoczęła się batalia. Ruszyła piechota na zdobycie kopca, już się zdawała bliską armat, kiedy ukryta piechota angielska rżęsimym ogniem zmieszała szyki i do ucieczki zagnała.

Powtórzono atak na bagnety w tem samym miejscu i ten nie udał się. Wysłano świeżą dywizję piechoty, ażeby z dwóch punktów atakowała ten kopiec; i ten manewr nie udał się. Wtem wypadł regiment 23-ci lekkich dragonów, a rozbiwszy obydwie pułki szaserów, czyli że koni, z natury twardestnych, utrzymać nie mogli, czyli że zagrzani rumem, całą armię przewrócić zamierzili, dosyć, że wpadłszy już w tył armii, krzyku i nieładu narobili. Wtedy marszałek Wiktor, przyszedłszy do szefa Huppet, zawołał: „Biegnijcie, Polacy, pohamować nieprzyjaciela!“ Więc nastąpiła komenda w rozsypce: „marsz! marsz!“ zaczęli napadłszy już rozspanych Anglików, wytlukliśmy prawie do nogi.

Przeciwnie powiodło się pułkowi kawalerii angielskiej na lewym skrzydle. Ten bowiem, wypatrzywszy, że pułk piechoty liniowej 28-my w nieładzie po bezskutecznym ataku odpoczywał w Oliwach, wypadł na nieprzygotowanych i tak prawie w pień wyciął pułk cały.

Kiedy się już wieczór zbliżał, a wygrana na żadną stronę nachylać się nie mogła, pokazał się korpus angielskiej kawalerii w ścisłych kolumnach i kiedy co raz zbliżał się, a my sądząc: oto pokażemy co umiemy, Anglicy stanęli jak i owi karabinierzy pod Okania, lecz ostrożniejsi, bo na dobry wystrzał z armaty.

Nasza więc artylerya konna dotąd nie czynna, gdy jej zapewne ciężyla amunicya, wyrzutowawszy wszystkie działa ku miastu, ogniem rzęsimym, ale bezskutecznym, zakończyła batalię. Sądziłiśmy, że noc ciemna posłuży nam za odpoczynek. Tymczasem, skoro się wszystko uciszyło, najprzód artylerya, dalej piechota, a w końcu kawalerya, już nadedniem ruszyła do rejterady. Lecz Anglicy również, ale w nocy, rejterować poczęli, zostawiwszy w mieście kilka tysięcy rannych. A taka była tego przyczyna:

Korpus marszałka Soulta, który obserwował Anglików w Portugalii, zmuszony był spalić armaty, amunicyę i bagaże, a zboczywszy, ukrył się w góry Placencyi. Anglicy sądzą, że on ciągnął dla złączenia się ku swoim, lecz on, dawszy nam wiedzieć przez szpiega, że czekać będzie z tyłu na odwrót Anglików, stanął im na mocnej pozycyi przy Ponte Almarac.

Więc Francuzi, po tej nowinie, chcąc Anglików za sobą dalej wciągnąć, ustąpili z pozycyi, udając rejteradę, ale że i Anglicy dnia tego odebrali wiadomość, że Soult pokazał się z tyłu, więc nie czekając końca batalii, ruszyli prawie na przełaj.

Pułk nasz nie miał honoru służyć w tej ekspedycyi, ale jak powiadano, Soult postarał się wziąć Anglikom więcej i lepszych armat, amunicyi i bagaży niż spalił. Korpus bowiem nasz i Wiktora, nie tracąc momentu czasu, powracać musiał do Toledo, gdzie zostawiona dywizya polska do obrony miasta, tak zewsząd była ściśnięta przez Hiszpanów, iż zaledwie dyszała.

Za zbliżeniem się naszym Hiszpanie odstąpili od oblężenia miasta i rejterując pod Almonacid na pozycyi prawdziwie wybornej, dla spotkania się z nami, zatrzymali się.

Generał Sebastiani niesmakując w uległości marszałkom, ile że Polacy z jego korpusu pod Okania zdeterminowali zwycięstwo, ale zwykły rachować się à conto komenderującego, zamierzył z wydaniem piechoty nie ociągać się na przybycie korpusu marszałka Wiktora, który ciągnął za nami.

Wieś Almonacid leży pod pasmem góry, na której stary zamek jest położony. Pasma tej góry w płaszczyźnie położone długości około 10 staj. Skoro się kończy, poczyna się równy przedział obszerny może o staj kilkoro, oraz góra najeżona skałami szpiczasto, a po tej już w około obydwu gór przyjemna płaszczyzna.

Pierwsza i druga góra obsadzona była piechotą, a za górą okrągłą była ukryta kawalerya, która nie pokazywała się. Armaty w szańcach gdyby przez zdatnych inżynierów były osadzone, to pozycya byłaby nie do atakowania. Tymczasem generałowie spostrzegliśmy błędy mylnie uplanowanej artyleryi, zmiarkowaw-

szy mianowicie, że tu szło o to, ażeby korpus Wiktora nie miał udziału w zwycięstwie, rozkazał dywizyi polskiej wziąć górę okrągłą, w której pomiędzy kamieniami ukryty był nieprzyjaciel. Zdawało się, że tam prawie nie masz nikogo. Tymczasem skoro Polacy wdrapali się dalej niż na połowę góry, kule gdyby grad obsypały ich zewsząd. Poznał błąd swój Sebastiani, bo z korpussem Wiktora bez straty można było obejść w około Hiszpanów, kiedy powaby laski marszałkowskiej najwaleczniejszych życia pozabawiły i na niepewną walkę wojsko naraziły. Po razy trzy wysyłał adjutantów, ażeby Polacy opuścili tę pozycję. Żaden adjutant żywo z rozkazem dostać się nie mógł. Tak w oczach całej armii garstka Polaków, powtarzając kilkakrotnie atak na bagnety, wyparła Hiszpanów i zwyciężyła; lecz tu zginął dzielny pułkownik Sobolewski, wszyscy prawie sztabs-oficerowie i większa część oficerów i żołnierzy poległa.

VIII.

Z pierwszej wziętej pozycji zeszedli Polacy na równinę, chcąc przejść na drugą górę. Tu kawalerya pokusiła się zmierzyć swoją odwagę z męstwem piechoty polskiej, lecz ogień, z czworoboków wysypany, zniszczył zamachy Hiszpanów i zatrzymał w dalszym pochodzie.

Już kiedy cała linia, po zdobyciu przez Polaków pierwszej pozycji, zbliżyła się do stanowczego punktu, kawalerya hiszpańska po za górą, za którą była ukryta, wybiegłszy, zamierzyła z tyłu uderzyć na armię, lecz Sebastiani, przezorny i ślepo ufny w nasz pułk, zostawił w rezerwie ułanów. My, to widząc, nadziałśmy na dzidy zuchwalszych, reszta umykać poczęła, a w takim składzie rzeczy, kiedy piechota generalny atak przypuściła, my, nie czekając dalszych rozkazów, poszliśmy w pogoń za nieprzyjacielem, a ten odbiegłszy całej swojej rezerwy w Mor będącej, zostawił nam ją na zdobycz.

Złamana piechota na górze, ani wiedziała, dokąd uciekać, skoro z góry spostrzegła, że już o milę przeszło w tyle chorągiewki polskie uwijają się. Tymczasem świadomemu w swym kraju mieszkańcowi łatwiej uciekać, niż obcemu gonić. Atoli wygraliśmy kompletnie batalię. Cały korpus ruszył za nami, a mało kto zatrudnił się zabranieniem z pobojowiska rannych i ich strzeżeniem, dlatego, skoro zboże, zapalone na pniu przez pękające gru-

naty, ogniem całe ogarnęło pobojowisko, bardzo dużo rannych spaliło się, resztę zniesiono do kaplicy, w tyle pobojowiska stojącej, skąd odesłano do szpitala do Toledo. Atoli około sześciuset rannych pozostało przez noc w tej nieszczęsnej kaplicy. W nocy napadli powstańcy i w pień wszystkich wyrznęli.

Po batalii Almonacid, kiedy nieprzyjaciel znów zapędzony został aż do gór, Sierra Morena zwanych, rozpołożono wojsko dla odpoczynku i przedsięwzięto środki, jak i którebydy można się przedrzeć przez te niebotyczne góry do południowej Hiszpanii, najzamowniejszej i najpowabniejszej krainy w tej miejscowości.

W grudniu r. 1810 przedsięwzięto tę wyprawę, w kilku punktach naraz atakując. Zdawało się, że kawalerya wcale czynną być nie może, gdyż od samego początku góry, gdy zsiadliśmy z koni, zdawało się nam, iż w przepaść bezdenną, to znowu, że do obłoków zbliżamy się. Tak postępowaliśmy, aż nareszcie równiejsze nieco pokazało się położenie, lecz już tuż pod Boleriana zoczyliśmy nieprzyjaciela. Zawołano: „na koń!“ a pod ogniem kartaczowym i ręcznej broni uformowawszy się, poszliśmy do ataku. Jeżeli gwardya Krasińskiego przez zdobycie baterji na górze Somosierra trudny miała atak, gdy gramolenie się pod skały na baterje zdawało się niepodobnem dla kawaleryi, tedy zdobycie baterji na górach Siera Morena może nie przewyższającą trudność, ale napewno równe przynosiły niebezpieczeństwo. Atoli trzeba było zwyciężyć, albo zginąć, bo już cofać się nie można było. Prerażony nieprzyjaciel zuchwałością naszą, słabo broniąc, w końcu odbiegłszy armat, rozproszył się po lesie.

IX.

Trudno pojąć, jak taką pozycję mogli opuścić Hiszpanie, gdzie jeden śmiało stu ludziom stawić mógł pole, dlatego niepodobna, ażeby zdrada nie miała nam ułatwić tych nieprzystępnych przejść. Już bowiem Hiszpanie światli zaczęli przekonywać się, że orężowi francuskiemu trudno się oprzeć, a ojcowska dobroć króla Józefa i wolność konstytucyjna wyzwaliała z pod jarzma srogiej inkwizycyi. Przeto sprzyjano w niektórych miejscach. Coby to za tryumf był dla tych rozumnych obywateli, gdyby za ich przykładem poszedł był cały naród, bez srogich klęsk, bez przelewu krwi i prawie zupełnego wyniszczenia!

Gdy mieli nadaną konstytucję, tej dlatego, że im dawano, niechcieli przyjąć. Dziś, że im nie dają, ciągle o to strunieniami

krw się przelewa i kto zdoła wyrachować, kiedy zakończy się ta nieszczęsna domowa wojna!

Zdobywszy szaniec i spuściwszy się z gór, jakież widok zachwycający mieliśmy przed oczami! W okolicy, którą opuściliśmy, śnieg i dosyć przykre panowało zimno, a tu łagodne ciepło, rozkwitłe drzewa i kwiaty, zachwycający sprawiały widok.

Pierwsze miasto, Karolina, zabudowane i nazwane po niemiecku, odurzyło nas wyraźnie, iż musieliśmy się chyba zbliżyć do Niemiec. Chłopi przebrani po niemiecku, pług ciągną krowy, folwarczne budynki słomą pokryte, na kwaterze tak dawno nieznanne: „knydle, ryndflajsz und salat“ były szczegółnem naszym podziwieniem; aż tajemnica odkryta została przez opowiadanie mieszkańców Karoliny, że oni są istotnie potomkami Niemców, że kiedy żółta febra wytepiła ród Hiszpanów w tej okolicy, kilkakset familij z Niemiec, Holendrów, przybyło na osadę, że ich przodkowie założyli to miasto i że aż ku miastu Kordowie ich kolonie ciągną się.

Ruszyły korpusy pod główną komendą marszałka Soulta, a armia otrzymała nazwisko południowej. 5-ty korpus udał się ku fortecy Badajoz i tę po rocznem oblężeniu opanował. Inne udały się ku fortecy Kadyx. Korpus Sebastianiego zajął prowincye Grenada, Chaien, a główna kwatery w stołecznem mieście Andaluzyi, w Sewilli, ustanowiła się.

Mieszkańcy tych krain różnią się wielce łagodnością i uprzejmością, tudzież kształtną postawą od innych swych współbraci. Kobiety szczególniejszą są zachwycającej urody, a obfitość tej ziemi wszelkich płodów tak jest wielka, iż śmiało rzec można, że natura tych ludzi wszystkimi swojemi darami obsypała.

Pułk nasz, zapędziwszy hiszpańskie wojska na morze, odpocząwszy w Maladze, obrał stanowisko swoje w mieście Baza, na pograniczu prowincyi Murcyi leżącym. Taki to, dłużej, niż wszędzie, przeszło rok, był główny punkt naszego stanowiska; tam to poznajomieni z mieszkańcami, często zapominaliśmy, iż są sprzyśżonymi naszymi nieprzyjaciółmi; a jeżeli godzi się sądzić z pierwszostkowego obejścia się z nami mieszkańców tej krainy, tedy, gdyby nie poduszczania księży i duchownych angielskich; gdyby wreszcie wojsko francuskie, mówiąc w ogólności, tych niepodniecało, co nas z otwartemi rękami przyjmowali; gdyby ich zarówno nie traktowało z tymi, co z okien strzelali, można by było uważać kampanię za ukończoną. Lecz wszystko na wskazywało się działało. Księżę prześladowano bez końca. Mieszkaniec, obciążony co raz świeżą kontrybucją i rekwizycjami, pozbawiony wolności i opieki pra-

wa, choć na polowaniu ujęty z bronią w rękę, zarówno z powstańcem był obwieszany. Żołnierz niepłatny, na kwaterze wymagał więcej, niż należało. Ustawiczne kolumny lotne niszczyły przechodami krainy, a byle najnniejsza dana okazyja, już gwałtowne obyczaje i w perzynę obracano miasta i wsie; słowem, obok praw najostrzejszych wojskowych, obok przykładów, że rozstrzelano niejednego za nadużycia, nigdy rozpuście zapobiedz nie można było, bo wojsko niepłatne i bez magazynów, zawsze na furazowanie wysyłane być musiało. Cóż oficer, wysłany z kilkudziesięciu ludźmi, rozsypanymi po ulicach, mógł uczynić? Oto, zatykać uszy i uciekać przed płaczem i narzekaniem uciśnionych.

Ta rozpacz podała Andaluzyi oręż do ręki. Nic już jej mieszkancy nie mieli do stracenia, oprócz życia, więc powstałi partyzanci luźni, nastąpiło złe za złe, poczęli rozbijać konwoje, wyrzynać małe oddziały, łączyć się wreszcie w znaczne korpusy, słowem, dla utrzymania komunikacyi, pozakładano stacye z oddziałów, a dla bezpieczeństwa, każda komenda musiała się opali-sadować. Lecz w niejednym miejscu i ta przezorność była nadaremna. Partyzanci wyrzynali w pień gdzie się tylko dostać mogli, a gdy zaniedbano uprawę gruntu, przybył nam jeszcze jeden, ale już niezwyciężony nieprzyjaciel—niedostatek żywności, wkrótce zaś głód w kraju, gdzie miliony wojska przy miernej administracyi z wygodą utrzymać można było.

Bo jakaż była nasza administracya? Magazynier przyszedł piechotą, wkrótce ekwipażem jeździł; wszędzie frymarczono racya żołnierza, a ten, wystawiony na pół racyi, a często na głód, szukał pożywienia, a przytem wszelkiego rodzaju wyprawiał nadużycia.

X.

Skoro generał Sebastiani w Grenadzie ustalił swoją główną kwaterę, skoro wszędzie zaprowadzono garnizony i zapewniono spokojność, wyruszyliśmy na podbicie prowincyi Murecy, a mianowicie na wzięcie miasta Kartaginy, owej sławnej stolicy w historii rzymskiej.

Oddziały niedobitków hiszpańskich stawily wprawdzie czoło, lecz rozbite, uciekły w góry, a tak w dni kilka zajmąwszy całą prowincyę opanowaliśmy i miasto Kartaginę, sławne z bogactw, które tam w magazynie w sztabach złota i srebra znaleźliśmy.

Lecz nie mogąc tak odległą prowincję obsadzić wojskiem, wprowadziwszy władzę i porządek, powróciliśmy do stanowisk.

Nie wyszło trzech miesięcy od naszego powrotu, kiedy dowiedzieliśmy się, że miasto zamierzono fortyfikować, że korpus wojska powstańców zaopatruje się w broń i mundury od Anglików otrzymywane.

Wyruszyliśmy więc na powtórny wyprawę, a już w bliskości, bo w mieście Lorca, zastaliśmy nieprzyjacielską jazdę. Wysłano z pułku awangardę, która równo ze dniem zdybała się z oddziałem hiszpańskiej jazdy. Rozpoczęto utarczkę. Hiszpanie, w znacznej równinie silnie opierać się poczęli. Pułkownik Konopka, niecierpiący aby mu nieprzyjaciel hardo stawiał pole, przyskoczył do szwadronu pierwszego, a krzyknąwszy: „kto tam komenderuje, nie wart jeść chleba!“ dał hasło Wojciechowskiemu, starszemu wachmistrzowi kompanii grenadyerów, który wyrwawszy szablę, krzyknął: „za mną!“ a uderzywszy w środek frontu Hiszpanów złamał i rozproszył i ścigając bez końca tyle wziął w niewolę, iż cała prawie komenda rozsypana tu i owdzie prowadzeniem niewolników i koni zajęła się. W kilka więc koni przeszło o milę zapędziwszy się za nieprzyjacielem, aż do wsi drzewem oliwy osadzonej, spojrzawszy za siebie, poznał niebezpieczeństwo w jakie popadł, bo właśnie w tem miejscu skąd atak rozpoczął, pułk odebrał rozkaz stanąć.

Wysłano wprawdzie w asekurację pluton grenadyerów, lecz oficer nazbyt przezorny nie chciał zaawanturować się i przybyć na czas, aż grenadyerzy, słysząc ciągle i rzęsiste wystrzały, podskoczyli naprzód, a tak, z owej frontowej asekuracji, przybyła garstka tu i owdzie rozsypanych flankierów.

Już po razy kilka z największą odwagą wypadli Hiszpanie, ale znajdując nieroztropnych flankierów i sądząc, że za wzgórkami stoi front pułku, cofać się musieli; lecz wysłany od nich oficer na pobliską górę, skoro dał znak, że za nami nikogo nie ma, wyskoczyli Hiszpanie z największym zapalem, a ubiwszy konia pod Wojciechowskim już go prawie w rękach mieli, gdy szczęśliwym wypadkiem nadbiegł kapitan Wincenty Walewski, a dodawszy męstwa naszym, odparł atak nieprzyjaciela i Wojciechowskiego uwolnił od zguby.

XI.

Już do trzech tysięcy kawaleryi było na froncie za tą wsią, gdy ta nagle nie chcąc narazić się na niebezpieczeństwo, cofnęła się. Zbliżywszy się do miasta Kartaginy, znaleźliśmy, że okolica inną postać rzeczy przybrała. Mieszkańcy opuścili domy. Miasto na milę oblane wodą przez rowy ogrodzone, mosty pozrzucone, baterye i szańce rozsypane, słowem Kartagina przedstawiała oczom widok Saragossy. Nic nie zrobiwszy, powróciliśmy tem śpieszniej, że komendant Grenady zawiadomił, iż pierwszy kanonik katedralny na niesporze miał do ludu mowę, zachęcając, ażeby w imię Boga i króla w nocy wyrznięto cały garnizon miasta Grenady.

Jak poprzednio powiedziałem, już mieliśmy swoich stronników. Więc ci uwiadomili komendanta placu o bliskiem nieszczęściu, a ten, ująwszy kanonika, załogę z miasta do Alhambry ufortyfikowanej wyprowadził. Złożono sąd wojenny, a kanonik na szubienicę osądzony został. Nastąpiła egzekucya, na którą całe miasto wyruszyło. Wyprowadzony na rusztowanie kanonik ze wszelką przytomnością prosił o głos i zawoławszy: „Nieszczęście, że nie mam więcej życia jak jedno. Gdybym ich miał jaknajwięcej, wszystkobyem poświęcił dla religii, ojczyzny i króla Ferdynanda VII, który niech żyje!“ i skończył na szubienicy.

Przy tym wypadku przekonali się Francuzi, że duch powstańców bynajmniej nie ostygł w narodzie. Wszyscy mieszkańcy, zalani łzami, mruczając, rozeszli się do domów, a zewsząd nadchodzące niepomyślne wieści, coraz bardziej utwierdzały, iż się nie utrzymamy w Andaluzyi. Topniały szeregi nasze wtenczas, kiedy przeciwników codziennie pomnażały się.

W tem, niektóre wsie, podburzone przez księży, podniosły oręż. Z tych, Oryzas(?) była pierwsza zniszczona i spalona. Zamiast ten przykład uśmierzyć inne, naszą ostrością przyśpieszył ich powstanie. Już korpus Kartaginy wstępny bojem postępując coraz zbliżał się ku Baza. Upatrzono noc ciemną i wielki wichur. Odprowadzono kawaleryę do miasta. Gdyby była miała przyzwoite dla żołnierza męstwo, byłaby mogła zabrać park artyleryi, a przynajmniej armaty zagwoździć, wyskakujących z kwater żołnierzy wycinać i mogła nam ciężki raz zadać. Tymczasem skończyło się na tem, że naszą placówkę rozbiła, zabrała i nas nauczyła na przyszłość lepiej się pilnować.

Wkrótce w porządnym szyku i w znacznej sile przyszli nas deportować z Baza. Generał Perymont miał w swej komendzie pułk piechoty liniowej 32, 5 pułk dragonów, nasz i kompanię konnej artylerji. Siła była nierówna, więc na utarczках schodziło, aż nadbiegł generał dywizji Millaud. Skoro rozpoznał stanowisko nieprzyjaciela, skoro pułkownik Konopka oświadczył, iż pragnie atakować nieprzyjaciela, wydano rozkazy, ażeby lewe skrzydło, ciągle ucierające się z naszymi szwadronami utrzymywało nieprzyjaciela, a pułk zmieniawszy pozycję, stanął naprzeciwko armat i piechoty w samym środku frontu. Wyskoczył szwadron flankierów pod ogień ręcznej broni i kartaczowy ogień rozsypać się musiał. Zdawało się, iż bezskuteczne będą zamiary, lecz nagłe uderzenie na piechotę zachwiało Hiszpanów, a już z niebezpieczeństwem oswojonego żołnierza zawsze należy naprzód prowadzić. Dzielność dowódcy i oficerów dozwoliła złamać linię piechoty, a przerwawszy szeregi, w różne strony rozsypał się nieprzyjaciel. Nasza piechota i dragoni, widząc co się dzieje, rzucili się przez rzeczkę na lewo, a tak, gdyby nie noc była przerwała nasze zamiary, mało kto z Hiszpanów byłby umknął.

Ta wygrana walki z wojskiem, a nie z narodem, przyniosłaby nam jakieś osobiste nagrody i ogólne pożytki, lecz w takim stanie rzeczy trudy nasze i poświęcenie się były za nic poczytywane, bo nieprzyjaciel za parę tygodni, jeżeli nie silniejszy, to w tej samej stawał sile, a nam już co raz ubywało, a nadewszystko niechęć wzrastała, iż ani końca tym mozolnym trudom, ani jakiej takiej nagrody nie było.

Wkrótce dostał pułk rozkaz przejść do Sewilli przeszło o mil 60 i to dniem i nocą. Chlubnie wszakże wspomnieć, że tam, gdzie starano się zdrożności i okrutne obejścia się z mieszkańcami zwalić na rachunek Polaków, opuszczając to miasto Polacy miłą dla serca uczuli radość, że mieszkańcy żegnali swych nieprzyjaciół, i ze łzami przyciskali ich do serca.

Pułkownik Konopka znalazł sposobność zemścić się za tę kalumnię. W jednym miasteczku, gdzieśmy mieli mieć rasttag, nadbiegł adjutant marszałka Soult'a z rozkazem, ażeby bez odpoczynku pośpieszać do Sewilli. Pułkownik, a jeszcze bardziej jego żona spostrzegła, że gospodarz domu, wysokiego urodzenia, mieć musi dzieci, prosiła więc, ażeby powiedział, co za przyczyna, że przed niemi potomstwo swoje ukrył? Mocno nalegany wyznał, iż im Francuzi powiadali, że Polacy tak nieludzko zwykli postępować, a nadto tak barbarzyńskich mają żołnierzy, że dzieci żywcem pożerają.

Ta opowieść, przez zwykłą wesołość, a najwięcej dla szyderstwa zapewne, iż Hiszpanie, mało, albo żadnej nie mają wiadomości o narodach, znalazła kredyt i dla tego, dwie nadobne córki i inne drobne dzieci zostały na strych domu wyniesione. Pułkownikowa powiedziała to mężowi, a ten wyniół na gospodarzu, że jego cała familia i wielu oficerów i ten adjutant zasiedli do stołu. Wśród obiadu maleńka córeczka gospodarza przybiegła do pułkownika, ten ucałowawszy, podniósł ją i rzekł:

„Chociaż Francuzi rozgłaszają, że my dzieci pożeramy z okrucieństwa, przecież serce Polaka ma szlachetne uczucia.“

Francuz zapomniał języka w gębie, jak to mówią, a gościnne gospodarstwo odżałować nie mogło, żeśiny ich opuścić musieli.

XII.

Poszliśmy do Sewilli w sam południowy skwar słoneczny. Niematem to było naszym podziwieniem, że wszędzie było pozamykane, nawet wody nie sprzedawano.

Postawiono nas na przedmieściu Trojana, za rzeką Gwadalquivir, tak jak Praga za Wisłą położonem. Pierwszego dnia sądziliśmy, że to miasto jest bezludne, tak wszystko kryło się przed okiem naszym, lecz skoro mieszkańcy przekonali się ze szlachetnego obejścia się z nimi, że ta opinia, jakoby Polacy byli okrutnymi, wyraźnie jest fałszywa, otworzono domy zabaw, starano się poznać z nami, a miłe i uprzejme obchodzenie się zjednało nam powszechny szacunek tak, że obywatele miasta Sewilli prosili marszałka Soulta, ażeby ten pułk zakwaterował do miasta. Lecz mieszkańcy Trojana wyjednali sobie, aby nie tylko teraz, ale ile razy Polacy przyjdą w te strony, byli kwaterowani u nich.

Skorośmy się rozgościli i odbyli ucztę u marszałka, i gdy następnie korpus oficerów celniejszym generałom i urzędnikom oddał wizytę, wyszło rozporządzenie, aby wszelka żywność i furaż, ulanom polskim, nawet przódy, niż sztabowi głównemu, wydawane były, a tak, po odpoczynku na rozległych błoniach około tego miasta codziennie prawie pułk silny przeszło 700 koni wyjeżdżał na mustrę, gdzie mnóstwo zawsze bywało widzów. Kiedy tak przepędzając przeszło cztery tygodnie, zapomnieliśmy, że jesteśmy w nieprzyjacielskim kraju, zagrzmiwały trąby, zwołujące

„na koń!“ i na całą noc wyruszyliśmy w pochód do prowincyi Estremadury, ku fortecy Badajos.

Ośm dni i prawie tyleż nocy po kraju opuszczonym przez mieszkanców, bez żywności i furaju, wśród najnieznośniejszych upałów i kurzawy odbywaliśmy podróż. Dziewiątego dnia pokazała się liczna kawalerya angielska, hiszpańska i portugalska, my zaś w porządnym szyku ustępując, przeszliśmy las dębowy gęsty dość, rozległy i długi, z którego gdyśmy wyszli, pokazała się za rzeczką na prawo wieś Albufera, a od wsi aż do gór niezmiernie wysokich rozległa płaszczyna, około pół mili szerokości zastawiona wojskiem angielskiem, hiszpańskiem i portugalskiem, przeszło 70 tysięcy licznem.

Nasz korpus liczył 18 tysięcy bagnatów i 60 szwadronów kawaleryi pod dowództwem generała Latour Maubourg, nie licząc naszego pułku, który ciągle przy głównej kwaterze pod rozkazami był jedynie marszałka.

Most, który prowadził przez rzekę do wsi, jako też i wieś cała, mocno były obwarowane i obsadzone nieprzyjacielem, a gdy czas zszedł na rozpoznaniu stanowisk nieprzyjaciela, noc posłużyła do odpoczynku, gdzie przy rozłożonych rzęsistych ogniach, czem kto miał, posilał się.

Przed świtem wydano nam rozkaz wystąpić w paradzie. plutony flankierów jeszcze w Baza z każdego szwadronu z najdzielniejszych oficerów i żołnierzy uformowane, pod dowództwem walecznego szefa Kostaneckiego i kapitana Leszczyńskiego będące, każdy pluton ze swoim szwadronem miał postępować. Zawołano: „na koń!“ a wkrótce dorodny dowódca, pułkownik Kopopka, poprowadził pułk po przed marszałka i pułki lekkiej kawaleryi francuskiej, które pominąwszy, dał znak, ażeby flankiery wyskoczyli naprzód, wpływ przebyli rzekę około mostu na lewo i rozpoczęli batalię.

Pierwsze dwa plutony: Kajetana Wojciechowskiego i Piotra Rogójskiego poszły wpływ, a drugie dwa, przeprawiwszy się później, stanęły w asekuracyi. Nasz pułk uszykował się frontem nad rzeką i cała armia, jakby przez most na wieś miała zamiar uderzyć, tak szykować się poszła. Tymczasem był to atak fałszywy. Lecz do okazania onego nieprzyjacielowi, nierozumiem dłaczego, na oczywistą zgubę narażono kawaleryę, którą marszałek miał za najlepszą.

Druga okoliczność jest godna jeszcze większego podziwienia, że strzelcy angielscy przy moście stojący dali ognia na tych, co

poszli wplaw i prawie o ich bagnety otarłszy się, wypadli i najkorzystniejsze wzgórze zajęli.

Regiment londyńskich dragonów widocznie miał rozkaz mieć nasz pułk na oku, a lubo nie tu nas spodziewano się i nie przypuszczano zapewne, że się tak nagle jak błyskawica nie pokazemy, więc flankierzy zastali linię piechoty bez kawaleryi; atoli przyleciawszy zdyszane dragony, byliby niewytrzymali pierwszego ataku flankierów, gdyby był przynajmniej cały szwadron, lecz trudno głową mur przebić; a skłówszy kilkunastu Anglików, cofać się trzeba było w porządku. Zbliżywszy się nasi na wzgórze, z którego spostrzegli pułk za rzeką, a dwa swoje plutony w asekuracyi stojące, uderzyli powtórnie na Anglików i tych, ściągając trupem, przyparli aż do frontu całego, lecz znów przed potrójną siłą cofać się należało, a kiedy armaty nasze z za rzeki dały ognia, my, postępując, tak byliśmy pomieszani z Anglikami, iż kule armatnie pomiędzy dowódców Rogójskiego i Wojciechowskiego przeleciały niżej ramion, gdy sobie podawali buteleczkę, posiłek prawdziwie zapracowany. Po trzeci raz zebrani flankierzy złamali i flankierów i szyki angielskie, aż z boku od lewego zaszła piechota angielska i ta dopiero zniewoliła naszych do cofnięcia się.

Lecz co za podziwienie ich było, skoro zbliżywszy się do rzeki, ani pułków, ani plutonów postawionych w asekuracyi nie ujrzeli. Rogójski przeprawiwszy się przez rzekę, miał przytomność uszykować pluton w jeden szereg i dać ognia z pistoletów do Anglików, siedzących na karku Wojciechowskiego. Przeprawa byłaby się udała bez straty, gdyby, jak na nieszczęście, na samej przeprawie kapral od Rogójskiego nie był się zwałił z koniem. Dopiero Anglicy przyparli pluton do rzeki 14 ludzi wycięli, a Wojciechowski z pośród Anglików śmierć siejących, przetorował szablą drogę i powyżej przeprawy, acz z nader wysokich brzegów wskoczył w rzekę i szczęśliwie stanął na przeciwnym brzegu.

Dotychczas strata flankierów była nieodżałowana, bo kapitan Leszczyński, stojący w asekuracyi z dwoma plutonami dla rozpoznania pozycyi, wyjechawszy na wzgórze, za którem pierwsze dwa plutony były się, od piechoty przestrzelony dokonał życia. Zginął mąż wielkiej cnoty, wzorowych obyczajów, szlachetnej duszy i czulego serca, żołnierz pełen dzielnego męstwa i odwagi.

Po przeprawie flankierów, podczas marszu po nad rzeką ku prawemu skrzydłu nieprzyjacielskiemu, mieliśmy szczególny, go-

dny podziwienia widok. Podoficer Jagielski, szlachetnej rodziny i pełen nadziei młodzieniec, ciągle należał do szwadronu flankierów. Na tę batalię maszerując, przed dziewięciu dniami przepowiedział sobie śmierć. Tak uprzedzonego wyłączono z flankierów i odesłano do kampanii. Ale kula znalazła go stojącego pośród całego regimentu, opodal od nieprzyjaciela, i jego tylko samego ubiła.

XIII.

Już kawalerję Latour Moburg uszykował w dwie linie, pierwszą z lekkiej kawalerji na prawym, gdzie postawiono nasz pułk, drugą lewą, z ciężkiej—i na przyjęcie ustawiona artylerya rzęsiście strzelać poczęła, kiedy artylerya angielska przy asekuracyi strzelców pieszych poprzednio kawalerji szkodziła.

Prawe skrzydło nieprzyjacielskie zajmowała kawalerja, która, mniej liczna od naszej, a jeszcze bardziej bez ducha odwagi, stała jak wryta. Pierwszą i drugą linię trzymała piechota angielska, a trzecią dopiero hiszpańska i portugalska. Artylerya na wybornej, górzystej płaszczyźnie ustawiona, wszędzie śmierć rozsiewać poczęła.

Około godziny pierwszej z południa mały deszczyk przerosił i piechota nasza przepawiwszy się przez rzekę w tyle nas, w ściśniętych kolumnach od naszego kawalerji prawego skrzydła, aż ku lewemu nieprzyjacielskiemu uszykowała się.

Wtenczas nasz pułk oddzielił się od kawalerji Latour Moburga, którą manewrując posunął aż do skrzydła prawego nieprzyjaciela, na rozległej równinie stojącego. Dano znak na bagnety, a piechota, przy odgłosie bębna z pierwszej pozycyi, bagnetem zepchnęła całą linię piechoty angielskiej. Nasz pułk, stosując się do poruszeń piechoty, poskoczył naprzód, a za wzgórkiem ujrzawszy czworobok piechoty angielskiej, z całą mocą dzielności uderzył, złamał, tysiąc przeszło zajął do niewoli, 6 sztuk armat i 6 sztandarów zabrał, resztę tak wykuł, że z trzech pułków piechoty jedna noga nie uszła.

Pierwsze chorągwie angielskie już powiewały obok proporca polskiego przy marszałku Soulcie, już pewnym się było wygranej, już rozesłano rozkazy do generalów piechoty, ażeby rozwijali kolumny, i na drugą linię nieprzyjacielską uderzyli, kiedy zdyszani dragoni londyńscy na rozsypanych naszych ulanów ude-

rzyli. Zmieszały się dzidy z rapierami obosiecznymi. To zaślepionych Anglików od zguby uratowało, gdyż piechota nasza tak pomieszanych z Polakami nie mogła wystrzelać, a poznawszy, że Polak chociaż nie w szyku umie stawić czoło w boju i nie snadno da sobie wydrzeć zwycięstwo, z szybkością błyskawicy z oczów nam zniknęli.

Marszałek, pewien dalszego zwycięstwa, rozkazał postąpić piechocie naprzód, kiedy jak na największe nieszczęście nie miał kto tych rozkazów wykonać, w pierwszym bowiem ataku na bagnety, piechota straciła niemal wszystkich generałów i oficerów, dowódców w rannych i zabitych. To odrętwienie po tak znacznym zwycięstwie spostrzegłszy przezorny anglik, dał znak swej drugiej linii piechoty, ażeby z całą natarczywością uderzyła na naszą piechotę. Kartacze i dany ogień z ręcznej broni tysiące Francuzów położyły trupem na placu, a pozostali, rzuciwszy broń, poszli w rozsypkę, jak owce, w tył umykając. Wtenczas przyskoczył marszałek Soult do szykującego się naszego pułku, a zawoławszy: „Colonel! au nom de Dieu sauvez l'honneur français!“ krzyknął do ataku na mocny czworobok piechoty, maszerującej ku nam.

Nie postarano się zebrać rozsypanych żołnierzy i zagonionych aż w tył nieprzyjaciela, nie uszykowano porządnie jak należało, nie ustawiono szwadronami w podwójnym odstępie, słowem, bez żadnej przezorności i asekuracyi uderzono na czworobok piechoty, przeszło z 14 tysięcy złożony i już przygotowany nas przyjąć, lecz przy samych bagnetach, po wystrzale czworoboku, pomostem legł pułk cały prawie. Pięciu oficerów ubito, jedenastu raniono, żołnierzy przeszło 200 padło trupem, a reszta, tak oficerowie, jak i żołnierze, jeżeli nie ranni, to konie potracili, lub zbrali się w liczbie przeszło 100 koni przy grobie swych współbraci.

Zatrzymana piechota angielska w swym ataku przez tę nieszczęsną pułku katastrofę dała czas zatrzymać naszą rozsypaną piechotę i tej na nowo uzbroić się i przed swym nosem uszykować się.

Ach! kawalerya Latour Moburga, czemuż manewrowała i manewrowała, a nie przysłała nam w pomoc, kiedy po trzeci raz zawołał marszałek do pułkownika: „Atakuj piechotę!“

Poskoczył wprawdzie powstały oddział po trzeci raz na piechotę, a zuów straciwszy kilkunastu ludzi, nową okrył się żałobą. Byli oficerowie, co razy dwa i trzy byli ranni, po dwa i trzy konie potracili; i tak: pułkownik Konopka od kontuzyi, szef szwa-

dronu Huppet ranny od granata w bok—część ciała utracił. Kapitan Leszczyński, Michałowski, Teofil Marchocki, Łempicki, Majewski, Remiszewski i Radłowski zabici, ostatni ranni i do niewoli wzięci: Wincenty Konopka, kapitan Trzebuchowski, porucznik Zawadzki, oficerowie: Rogoyski, Wojciechowski ranny dwa razy i trzy konie utracił, Faraon, Krobecki, Błoński, Sienicki, Bohdanowicz — ranni.

Co do Francuzów, 5-iu generałów rannych, ośmiu zabitych, ośmiestu oficerów zwieziono do szpitala do Sewilli i ośm tysięcy żołnierzy rannych. Wszakże Anglicy nierównie większą ponieśli stratę, a zdobyte sztandary, armaty i 1000 niewolnika były powodem, że nam przyznano wygraną batalię tem śmielej, że tegoż dnia dobywając Anglicy fortecę Badachos, o mil ośm odległą od miejsca tej batalii, utracili przeszło 8000 ludzi i podnieść oblężenie byli zmuszeni. Wszakże do tego utrzymawszy plac boju, wprowadziwszy, co można było zabrać rannych, dopiero dnia drugiego rejterować poczęli i my i oni. Zostawiwszy pobojowisko zaślane trupami i rannymi, w mieście Lorca korpus zatrzymał się, a za przybyciem korpusu z Portugalii marszałka Marmonta, wyruszyła kawaleria naprzód.

XIV.

Trudno pojąć, dla czego korpus Marmonta nie przyszedł nam w pomoc na czas, kiedy w dni kilka po batalii mógł się z nami połączyć? To też kiedy Anglicy pobili Marmonta w Portugalii, wzięli mu 100 sztuk armat, znów nasz korpus nie przyszedł mu w pomoc nawzajem. Lecz jakaż konsekwencya, pojedynczo, raz tego, drugi raz tamtego, czubić? Przezorny generał Wellington, który po tej batalii objął w Hiszpanii dowództwo, zmusił nas opuścić Andaluzję.

*

*

*

W przewozie rannych oficerów i żołnierzy z tej batalii, gdzie zawsze krążyły oddziały partyzanckie Hiszpanów, przy przewozie przez rzekę Gwadalkiwir zrobił się nadzwyczajny nieporządek, bo każdy chciał być pierwszy do przewozu, ile że nadbrzeżne miasteczko było zamieszkane, osadzone garnizonom francuskim, gdzie porządek, magazyny i bezpieczeństwo pierwszy raz każdy znalazł.

Żołnierze francuscy, jak mają wrodzone męstwo i szlachetną uległość dla starszych, kiedy są w porządku, tak znów w przygodzie rozprzegają się, niepoznają swych wodzów i podobniejsi są do hordy, niż do wojska tak wysoko ucywilizowanego narodu.

Przy promie przewozowym chciano generałów rannych, których nieśli chłopci hiszpańscy, a którym skwar słoneczny był nieznośnym, nasamprzód przenieść. Żołnierze ranni nie dopuścili tego, a kiedy z kolei wniesiono generałów na prom, oddaliwszy się od brzegu, jeden z generałów rozkazał przewoźnikom zatrzymać się i w te odezwał się słowa:

— Francuzi! Dopóki żołnierz w każdym miejscu zna swego przełożonego, dopóki wasi generałowie, walcząc z nieprzyjacielem o zwycięstwo, na waszym czele ranni, byli szanowani, dopóty kraj miał z nas obrońców, nieprzyjaciel groźnych przeciwników i każdemu z nas, Wam przewodząc, miło było umierać. Lecz skoro niepoznajecie generałów, waszych dowódców, skoro rozprzężeni nikogo nie słuchacie i nikomu nie ulegacie, bogdajby się nie sprawdziły moje słowa: upadnie Francuz, z najwyższego szczebla sławy strącony, a Wasze zwycięstwa tej kampanii za łupy rozbójnicze poczytane będą!

Cały ten korpus sprowadzono do szpitala w Sewilli, w którym, chociaż jest gmachem nadzwyczajnej wielkości, trudno było pomieścić w izbach oficerów, a żołnierzy na korytarzach. Z jednej i drugiej strony pomieszczono łóżka we dwa rzędy.

Tu dopiero trudno jest opowiadać zdarzenia w tem miejscu, może czyścem, może piekłem nazwać się mogącym. Urzynano ręce i nogi od rana do nocy; jęk nieustanny, którym napełniono okopcałe murzyska, ręką królowej Izabelli wzniesione, rozlegał się po wszystkich miejscach. Nie było schronienia, gdzieby wyrzekania i rozpacz nie przerażały również cierpiącego, równie nieszczęśliwego kolegę. Tu dopiero poznaje ranny, jaką uczynił ofiarę dla ojczyzny, skoro zamiast śmierci, której szukał, znajdu-

je męczarnię, która po kolei każdego prawie tłoczy do grobu. Jakoż, mimo wszystkich starań, w czem administracyi francuskiej słuszną należy się pochwała, śmierć rozpoczęła swoje rzemiosło. W początkach wyrządzano honory zmarłym oficerom, lecz skoro po kilku na dzień zaczęło umierać, przepaść, wapnem niegaszonym zaopatrzona, pochłoneła ciała tak najwaleczniejszych oficerów, jako i żołnierzy.

Razu jednego, kiedy rozgłoszono, że nasz pułk, a raczej, prawdę mówiąc, szczątki jego, przyjść ma do Sewilli, piszący, dla boleści, które z ran odniesionych cierpiał, oraz z niecierpliwości widzenia się z kolegami, trawił noce bezsennie. Usłyszwawszy maszerującą kawaleryę po przed okna szpitala, jako tako się zwlókł do okna, aby zobaczyć, kto maszeruje; aliści owa kawalerya była partyą powstańców hiszpańskich, którzy napadli w bramie na wartę stojącą, zabrali oficerów i kilku żołnierzy, a nie kusząc się o większe zdobycze, powrócili tąż samą drogą na powrót. Dostyć to uczyniło wrażenia na osłabionych umysłach rannych żołnierzy, którzy sobie zaraz utworzyli imaginacyę, że Hiszpanie mają napadć na szpital i w pień wyciąć wszystkich. W istocie, do charakteru i gustu hiszpańskiego taka brawura naraz przystała. Może w istocie nigdy o tem nie myśleli, ażeby napadać na szpital, tak w bliskości miasta położony, gdzie porządek i garnizon oddawna zaprowadzono. Wszelakoż ciągle temi wieściami zatrudniano się.

Aż tedy raz w nocy, kiedy już śmierć niebezpiecznie rannych wybrała, a pozostali przy niezmordowanej pracy i staraniu doktorów, znacznej ulgi w cierpieniach doznając, mogli spoczywać, zrobił się niesłychany hałas na korytarzach, dalej krzyk i jęki nadzwyczajne utwierdzały każdego, że Hiszpanie w pień wyrzynają. Gdzie kto mógł, tam się krył, albo zabierał się do obrony. Szczęściem, że ten chaos zrobił się nadelniem, a wkrótce poznaliśmy, że to był błąd i próżna obawa. Wreszcie doszliśmy jej przyczyny: żołnierz wypatrzywszy u drugiego pieniądze i zegarek, zakradł się, by takowe zabrać. Przebudzony krzyknął: „złodziej!“ Łapie go. To obudziło naraz wszystkich. Każdemu się zdało: „uciekajcie! Hiszpanie!“ Każdy się zerwał jak mógł i uciekał, z piętra to na dół, to znów na strych do góry. Kule drewniane, na których się ranni spierali po podłodze, straszny czyniły hałas, a skoro się jeden przewrócił, kilkudziesięciu zwałało się na kupy, wydając krzyki i jęki przerażające. Słowem, był to wypadek, który tysiące wynędzniałych i schorzałych życia pozbawił i długi

czas był zdrowszym materyą do śmiechu, cierpiącym — do złorzeczenia.

*

*

*

Nie może jeszcze piszący przemilczeć o nagrodzie, jaką obsypiano nasz pułk. Pułkownik Konopka został generałem, a Stokowskiemu z gwardyi oddano dowództwo, jakgdyby waleczni sztabsoficierowie pułku: Rutti, Kostanecki i Huppet, nie mieli udziału w tych wszystkich przygodach! Nakoniec 11 krzyżów legii honorowej oficerom i żołnierzom rozdane, zakończyło całą nagrodę.

Skoro Anglicy odstąpili od oblężenia fortecy Badajos, po za fortem Oliwensa w Portugalii będącą, schronili się. Kawalerya nasza, rozpoznawszy te stanowiska, pozostała na obserwacyi, a nasz pułk powrócił z marszałkiem do Sewilli, nie tak dla odpoczynku, jak dla uformowania się na nowo, a skoro tylko był w stanie liczyć do 300 koni, zaraz odebrał rozkaz, ażeby wyruszył do Grenady, na nową ekspedycyę, gdyż korpus hiszpański od Murcyi wypędził z Baza Francuzów i groził zajęciem miasta Grenady.

Skoncentrowane siły w te strony, wyparły Hiszpanów ze stanowiska, gdzie pułk nową i ostatnią okrył sławą swego dowódcę Konopkę. Za zbliżeniem się bowiem do Hiszpanów, którzy podług relacyi wziętego w niewolę sztabsoficera, mieli szczerą chęć spotkać się z kawaleryą francuską — zwołał generał Millaud dowódców pułku, czyli chcą uderzyć na nieprzyjaciela, już porządnie uszykowanego, lub też poczekać na piechotę. Konopka oświadczył, że podejmuje się środkiem rozerwać kawaleryę, która przejścia broniła. Jakoż skoro pokazały się chorągiewki, tak dawno niewidziane i gdy tylko pułk podzielony na dwa oddziały (z pierwszym pułkownik wyruszył w galop, a Rutti z drugim) wsparł atak, pękły szeregi nieprzyjaciela i wszystko tak złamane zostało, iż piechota odbiegnięta poddać się musiała.

Po tej ekspedycyi, pułk powrócił na stałe stanowisko do miasta Utrera pod Sewillą, pod dowództwem szefa szwadronu Rutti, a Konopka, zostawszy generałem, udał się do Polski.

XV.

Już lord Wellington obrał dowództwo armii w Hiszpanii, już nas doszła wiadomość, że korpus marszałka Marmonta w Portugalii, został zniszczony już i nasze korpusy żadnej nie miały komunikacyi ani z Madrytem, ani z Francją, już osłabione i tak były wszystkie pułki, kiedy przyszedł rozkaz, ażeby Polacy i niektóre pułki wyruszyły z Hiszpanii na kampanię do Rosyi.

Pułk nasz z niemałym ukontentowaniem odebrał tę wieść, a nawet miał za najmiłą pociechę, gdyż ożyła w nas nadzieja oglądania jeszcze ziemi ukochanej, ojczyzny, rodziny i współbraci. Jakoż już byliśmy na marszu w mieście Kordubie, kiedy marszałek przysłał nam kontrmarsz i rozkaz, ażeby do Estremadury, ku owej fortecy Badajos, ciągnąć na odsiecz.

Byliśmy tedy pewni spotkania się znów z Anglikami oko w oko, kiedy w nocy opuścili oni pozycję i podnieśli oblężenie fortecy, a więc rozeszliśmy się na dawne stanowiska, znów nie myśląc, ażebyśmy kiedyś wrócili do Polski.

Wtem dano powtórny rozkaz, ażeby zabrawszy się, ciągnąć ku fortecy Badajos znów na odsiecz. Jakoż zebrane wojsko, gdy było pewne batalii, Anglicy znów podnieśli oblężenia i opuścili pozycję. Wypadało więc po drugi raz rozejść się do stanowisk, lecz kiedy za każdą razą armia odprawiała kursa po mil kilkadziesiąt, w upały najnieznośniejsze, przy niedostatku co raz większym żywności, napełniły się szpitale piechotą, a kawalerya niła również bez boju.

Dano znać po raz trzeci marszałkowi, że Anglicy przyszliz oblegać fortecę Badajos. Wszyscyśmy tę wiadomość tak przyjęli, jak i marszałek, że Anglicy bez wydania batalii zniszczą nas samemi pochodami. Atoli za powtórnem doniesieniem, że Anglicy naprawdę dobywają fortecy, że drabiny i faszyny przynieśli z sobą, że już nawet otwór do fortecy wybili, dopieroż rozszlano rozkazy, ażeby noc i dzień maszerować ku Badajos, a jakkolwiek szybko się korpus zebrał i garnizon, złożony przeszło z 8,000 mocno się bronił, przecież poddać się musiał przódy, aniżemy zdążyli na odsiecz.

Już tedy trzeba było myśleć o opuszczeniu tej prowincyi, istnego rajy ziemskiego, nadewszystko opuścić oblężenie Kadyksu,

które kosztowało miliony i gdzie przez ciągle dwa lata pracy, ty-
siące ludzi życie utraciło.

Postawiono wszelakoż korpus w Estremadurze, dla zasłony
prowincyi Andaluzyi. Nasz regiment wyznaczono na awangardę
i wtenczas oddano pod dowództwo Dębińskiego, majora, gdyż
Rutti został pułkownikiem szaserów francuskich. Położenie na-
sze prawdziwie było godne politowania. Ani żywności, ani fura-
żu nigdy nie dawano. Żołnierz każdy musiał myśleć sam o so-
bie i o koniu. Prowincya bezludna, ogłodzona, smutnego znisz-
czenia była żywym obrazem. Aż wypocząwszy, Anglicy pokusili
się podejściem zniszczyć pułk cały. Upatrzone do tego sposo-
bność wtenczas, kiedy większa część oficerów była zaproszona na
uczczę do generała do odległej wioski.

Około 10 z rana, gdy zwykle rozchodziliśmy się do przekul-
baczenia koni, wyjechało tak jak powszechnie kilka szwadronów
do kup słomy, po polach tu i owdzie rozrzuconych, z których
i oni i my pobierali dla koni furaz.

To widząc, pikiety żadnego alarmu nie czyniły, aż ci naraz
owe szwadrony, niby furazujące, uderzyły na placówki, tę spędzi-
ły i obces do wsi wpadły. Lecz żołnierz, w ciągłym rzemiosła
boju, nie czeka ni rozkazu, ni trąby. Pierwszy wystrzał z pistole-
tu, był hasłem „na koń“ i zebrawszy się do szyku, prędzej ani-
żeli Anglicy zajawszy pozycę z armatami, w porządnym froncie
szwadronami poczęliśmy się cofać. Wystrzał z armat zabawę roz-
proszył i oficerów do frontu zwabił, a tak nie straciwszy ani je-
dnego żołnierza, pokazaliśmy Anglikom, że i podejścia Polak umie
ochronić się.

Odtąd ciągle Anglicy maszerując naprzód z prawego, starali
się nas oskrzydlić, a tak maszerując dzień i noc całą, wycofali
nas aż do Burguillos, gdzie piechota i artylerya zajęły korzystną
pozycę.

Już tu nie szło o wydanie batalii, ale o wstrzymywanie nie-
przyjaciela, aby jako tako z honorem można te kraje opuścić, po-
dniósłszy oblężenie fortecy Kadyks i zebrawszy rzedniejące, rozsy-
pane po kraju, szukające żywności dla armii, kolumny. Z tem wszyst-
kiem spotkanie się z nieprzyjacielem było mocne. Tam Piotr Ro-
goyski, już ostatni z pozostałych flankierów oficer, przestrelony
przez piersi, całą sławę tego szwadronu wybranych wojowników
zakończył, bo nawet pułk cały już nie miał sposobności zbierać no-
wych wawrzynów chwały, tylko co raz nowe spotykały go smut-
ki. W rejteradzie pogrzebał porucznika Pitro, oficera od wszyst-

kich kochanego, dalej utracił Szeffera od kuli armatniej, nad którym, gdy litował się generał, ów rzekł pełen żalu:

„Nie żałuj mnie panie generale, że umieram, ale tego, że nie na ziemi polskiej wiek mój młodociany kończę. Przyslij mi butelkę wina i bądź zdrow!”

Trudno sobie wyobrazić, co za zamieszanie powstało, szczególnie w Sewilli, za zbliżaniem się Anglików. Tu Francuzi zagospodarowani pokupowali majątności, domy, pałace, pożenili się. Myśleli tylko o tem, jakby się bawić i frymarząc racją i płacą żołnierza powiększać fortunę. Wtem anonsują, że natychmiast ustępować potrzeba. Otworzono magazyny dla wojska wtenczas, kiedy żołnierz zgłodniały, więcej do okopciałego dziada, jak do rycerza był podobny, a gdy ogromu zapasów różnych rzeczy nikt nabywać nie chciał, wpakowano w mieście Jerez do więzienia celniejszych obywateli za to, że magazynierom opłacić tych rzeczy nie chciano. Słowem, okropne wspomnienie, wieczną hańbę administracyi francuskiej przynoszące!

Opuściliśmy najpiękniejsze Hiszpanii kraje, a ciągnąc około Grenady, Baza, Lorca, połączyliśmy się z korpusem Duc de Albufera w Walencji. Dziwne to było dla nas zjawisko. Tu chłopiek nucił piosnki przy pracy, tu gospodyni przy dzieciach i ochędóstwie domowem, gościnna, jak rodaka przyjmuje na kwaterę żołnierza, tu obywatel błogosławi rządy marszałka, jak żeby nigdy nie bywało wojny i zamieszania. Żołnierz wesół, postawy szlachetnej, z cerą na twarzy, dobrze i przyzwoicie ubrany, nie przykrzy sobie trudów i znoju. Słowem, jak gdyby z innego narodu złożone wojsko i nie do jednego państwa należało. Czemuż, niestety, nas tylko los tak nieprzyjazny trapił i wyniszczył? Dobre chęci i zdrowie żołnierza, zła administracya żywności, a raczej frymarczenie oficyalistów cywilno-wojskowych, zrujnowały. Złe obchodzenie się z obywatelami, wykopało grób dla armii południowej. Niechęć ku sobie marszałków była widoczna, a ta zgubiła krocie najdorodniejszej młodzieży, wojnę zamieniła na zbójckie potyczki, żołnierz wyłamał się z posłuszeństwa i uległości, a straciwszy szlachetne uczucia, stać się musiał rabusiem i gwałcicielem. Obrócono w perzynę kraje najpiękniejsze, a armia, przed którą wszystko drżało, sama się w końcu zniszczyła.

Prawda, że korpus Walencji równie był czynnym i wyruszył nadmorskie odebrać fortece; lecz znów, prawdę mówiąc, szczupłe mając prowincye do zajęcia, nie był utrudzony ustawicznymi marszami, tak jak nasza armia, zajmując tak rozległe kraje. Dalej,

trzeba ten przesąd zostawić na boku, że Anglicy bitni tylko na morzu. Doświadczenie nauczyło, że kawalerya, szczególnie w obrotach, w zręcznem szykowaniu się i w posłuszeństwie komendy zawsze odznaczała się. Artylerya strzela celnie, a uprząg armat i cały rynsztunek żołnierza jest prawdziwej doskonałości. W końcu, klimat południowy Hiszpanii jest w lecie do niezniesienia; tymczasem w Aragonii, Katalonii i Walencji jest bardzo łagodny.

Nasi oficerowie flankierów, którzy pierwsi każdy bój rozpoczynali, a ostatni z pobojowiska schodzili, po lat 4 byli podporucznikami, a zaledwo dwom: Rogoyskiemu i Wojciechowskiemu, dostały się krzyże legii honorowej, lecz dla tego Polak nie umiał być mniej bitnym, bo służył nie dla siebie, lecz dla ojczyzny, dla szczęścia swoich braci.

Już tedy rok 1813 zbliżył się, w którym powołano pułk na nową kampanię i w czasie armistitium stanął regiment pod Dreznem, w mieście Freyberg, gdzie szwadron na kampanii rosyjskiej będący, z oficerami: Rybałtowskim, Bogusławskim i Wojciechowskim po odbytej kampanii pod Lützen, Bautzen, Reichen-dorff i t. d. przybył do pułku.

Stokowski, dowódca, jadący z Francji do pułku pocztą, był zabrany do niewoli, a na miejsce jego oddano dowództwo pułkownikowi Tańskiemu Kazimierzowi, który w roku 1808 w Bayonie opuściwszy regiment, jako kapitan, w roku 1813 powrócił jako porucznik z niemałym ukontentowaniem wszystkich dawnych oficerów, od których zawsze był kochany, jako najlepszego serca i przymiotów duszy oficer.

Ten dopiero dowódca wydziwić się nie mógł, jak wielu pozostało oficerów dawnych, posiwiałych w boju bez żadnej nagrody. Szef szwadronu Antoni Pruszek, Maksymilian Niezabitowski, Porycki, Rybałtowski, Piotr Doliński, Trzebuchowski, jak byli kapitanami, tak też takimi przyjął ich dowódca, chociaż każdy z tych mężów, obecny każdej przygodzie, pełnił obowiązki jako mężny i waleczny oficer. Co do niższych oficerów, jakże i ci mieli awansować, kiedy starsi niczego dosłużyć się nie mogli, a co do podoficerów i żołnierzy, ci już nie myśleli o awansie, widząc, jak z boku ciągle oficerów przysyłano.

Skończyło się armistitium, a pułk odkomenderowany do korpusu 14-go. St. Cyr zajął pozycję na granicy Czech, około Morgenberg.

Kawalerya austriacka, dragoni, rozpoczęli kampanię, a ustępując noga za nogą przyszliśmy pod Drezno.

Tu drugie widziałem przeczucia zdarzenie. Kapitan Doliński ujrzawszy wykopującą się mysz, krzyknął: „to śmierć moja, ja dziś zginę.“ Obecni tej imaginacyi wpędzili mysz do ziemi i wesołą rozrywką rzecz puścić w zapomnienie starali się, aż owa nieszczęsna mysz i po drugi i po trzeci raz wydobywała się z ziemi zawsze także czyniąc na Dolińskim wrażenie.

W parę godzin później zawołano „na koń!“ a pułk wyszedł z królem neapolitańskim na rozpoznanie stanowisk nieprzyjaciela. Skoro uformowaliśmy się do frontu, pierwszy wystrzał z armaty sprawdził przeczucie Dolińskiego i ten oficer, pełen światła i dobroci, od kuli armatniej zabity został.

W batalii pod Dreznem, pułk nasz, chociaż był czynnym, mało jednakże ucierpiał i mało miał sposobności odznaczyć się. Jakoż i w innych bataliach tej kampanii oprócz małych wypadków: że porucznik Wojciechowski z jednym plutonem dwa razy zламаł czworobok jeńców rosyjskich i do niewoli zabrał; że przy wycieczkach z Drezna były liczne utarczki, które mniej godne znajdują do podania—pułk ten całą swoją sławę wraz z dalszą egzystencją przy kapitulacyi całego garnizonu zakończył.

Oficerów oddzielono od żołnierzy i tych wysłano do Węgier w niewolę.

W maju 1814 wydano paszporta i każdemu dozwolono powrócić do własnej chaty, lub rodziny. Miasto Dukla było punktem, gdzieśmy się w różne strony porozjeżdżali, a tym sposobem i korpus oficerów rozproszywszy się, nie zebrał się aż w Kuttne, do wiadomych kadrów.

ZAKOŃCZENIE.

Powtarzam raz jeszcze to, co powiedziałem do czytelnika. Te przygody, których byłem naocznym świadkiem, albo o których, będąc ramnym, słyszałem od oficerów, te mówię, podałem wiernie z pamięci. Dla tego, jeżeli niektóre zdarzenia są pominięte, proszę o przebaczenie, gdyż tak dawne dzieje opowiadać z pamięci jest trudno.

Nadto, potomność osądzi, jak daleko wogóle ten pułk zasłużył się ojeźźnie. Każdy więc z tego pułku będzie uczestnikiem sławy, jeżeli przysądzona ogółowi będzie.

Bogdajby, za tym przykładem idąc, koledzy pozbiali wypadki, a mianowicie legii nadwiślańskiej, tej dzielnej dywizyi piechoty, o której z uniesieniem nieprzyjacielem nawet opowiadali. Zdarzenia podobne zawsze będą przyjemne dla rodaków.

Upadła i nadzieja, a Ten, co nas mógł nienawidzić, przyjął pod Swą opiekę i szacownem imieniem Polaka udarował.

Dziś, pod berłem potężnego monarchy, możemy sprawdzić słowa Napoleona: „Jeżeli Rosya waleczny naród polski przywiąże do siebie, Europa uklęknie.“

Z rękopisu wydał

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Wystawy Salonów paryskich.

Wystawy doroczne sztuk pięknych, czyli t. zw. salony, organizują stale w Paryżu dwa urzędownie upoważnione towarzystwa: „Société des Artistes Français“ i „Société Nationale des Beaux Arts.“

Pierwsze, t. j. „Towarzystwo Artystów Francuskich,“ będąc najstarszą tego rodzaju instytucją we Francyi, uważa się za rzeczywistego kontynuatora dawnych wystaw, urządzanych przez Królewską Akademię Sztuk Pięknych, począwszy od roku 1673, z początku w odstępach niejednostajnych, a później regularnie, w kwadratowym salonie Luwru. Stąd powstała dzisiaj nazwa „salonów,“ we Francyi tradycyjnie przyjęta. (Ale niczem nieusprawiedliwiona w innych krajach). Salon tedy tegoroczny Towarzystwa Artystów Francuskich oznaczony został poważną liczbą 126 z rzędu oficjalnej wystawy sztuki francuskiej. Natomiast „Towarzystwo Narodowe Sztuk Pięknych“ istnieje od niedawna. Założone w r. 1889 przez Puvisa de Chavannes i Meissonniere'a, jest ono secesją od pierwszego i stanowiło w swoim czasie protest przeciw zbytnej wyłączności i absolutyzmowi jego jury, które stale usuwało wszelkie produkcje sztuki, wychodzące poza ograniczony zakres jego pojęć akademickich i rutynicznych. Wiadomem jest, że wstęp do tego *sanctuarium* był długi czas wzbroniony jednostkom, uznanym dziś za największą chlubę XIX w. (Puviss de Chavannes, Rodin) i wielu artystom prawdziwego talentu Nowe Towarzystwo postanowiło ułatwić drogę tym właśnie nowym siłom i spełniwszy to zadanie z powodzeniem w pierwszym okresie swego istnienia, przybrało z czasem charakter tradycyjny nie wiele różniący się od tego, którym odznacza się zawsze, choć bądź co bądź w granicach stosunkowo rozszerzonych, sąsiednie Towarzystwo Artystów Francuskich. W rzeczywistości oba te

salony, które przyniują produkcje artystów kształconych i pracujących w warunkach jednakowych, przedstawiają różnice czysto formalne, ujawniające się na zewnątrz, prócz nazwy i oddzielnego pomieszczenia, tem przeważnie, że Salon Towarzystwa Artystów Francuskich liczy zwykle dzieł sztuki dwakroć więcej, niż Salon Towarzystwa Narodowego i udziela nagrody i odznaczenia, których w ostatnim niema. Prócz tych dwóch dorocznych wystaw wiosennych, jest jeszcze w Paryżu „Salon Niezawisłych“ (Salon des Indépendants), nie posiadający wcale jury, a więc dostępny dla wszystkiego, co ma pretensję do obrazu, rzeźby i t. p. i przez to samo sprowadzony do znaczenia parodi i sztuki lub anarchii. Przejściem od salonów oficjalnych do ostatniego jest z wielu względów „Salon Jesienny“ (Salon d'Automne), istniejący za ledwie od lat paru, który w swych salach łączy wystawy retrospektywne, zwyczajnie z okresów sztuki rewolucyjnych, z dziwacznie wybuchającymi wytworami ostatniego modernizmu.

Pierwsze dwa salony oficjalne, równie jak Salon Jesienny, znajdują pomieszczenie w wielkim Pałacu Sztuki (Grand Palais des Beaux Arts), pozostałym po wystawie powszechnej z r. 1900.

Salon Towarzystwa Narodowego, który najpierw otwiera swą wystawę, ma bądź co bądź tę jeszcze wyższość nad swym potężnym sąsiadem i rywalem, iż przy mniejszej o połowę ilości wystawionych produkcji, zawiera stosunkowo znacznie większy procent dzieł wartościowych, jest przeto i łatwiejszym i przyjemniejszym do zwiedzania.

Zacznijmy tedy nasz przegląd od tego młodszego salonu, chociaż być może, iż wypadnie nam zajrzeć czasem i do obocznego, zanim jeszcze przejdziemy doń zupełnie. Zaraz na wstępie wielkie płótno nazwane „La Famille“ (wypoczynek żniwiarzy) i podpisane bardzo znanem nazwiskiem niemłodego już mistrza p. *Lhermitte* odstręcza swym charakterem niewyraźnym, kolorytem nieprzyjemnym i mdłym, brakiem powietrza i siłą światła w scenie, odbywającej się w pełnym polu, w południe lipcowego dnia, na której harmonię składać się powinny silne kontrasty, nie zaś amalgamat tonów zneutralizowanych. Zdziwiałoby to u p. *Lhermitte*'a, twórcy tylu obrazów na temat wiejski (zwłaszcza w pastelach), oddanych z zupełnie innym pojęciem życia i natury. Spojrzawszy na płótna sąsiednie, zauważymy, że salony paryskie nie są bynajmniej wyłącznie francuskie — w tej pierwszej sali przynajmniej dzieła cudzoziemców stanowią wielką większość. Tak więc najpierw zwracają uwagę swym niezwykłym charakterem trzy obrazy Hiszpana, p. *Zuloaga*.

P. Zuloaga nie jest nowicyuszem w Paryżu, muzeum Luksemburskie posiada kapitalny jego obraz „Mes cousines“ (wyborne w swoim rodzaju, trochę karykaturalnym, typy młodych Hiszpanek i stojącego za nimi mężczyzny); pomimo to cechy oryginalne, w których dopatrzyć się można z łatwością połączonych i dość bezpośrednich wpływów, by nie powiedzieć naśladownictwa, wielkich mistrzów szkół hiszpańskich: Ribery, El Greco, Velasqueza i Goyi, i które składają się razem na bardzo silną indywidualność artysty, sprawiają zawsze pewną niespodziankę i pociągają zarazem przez to samo, iż wśród dzieł wogóle dość równych, jeśli nie przeciętnych, w salonach oficjalnych obrazy jego wyrywają się gwałtownie.

Uderzają one przedewszystkiem swym ogólnym tonem zielonym, prócz środkowego, w którym przeważa czerwono-brunatny; przedstawia on potworną postać karła „Gregorio el Botere,“ narysowaną brutalnie grubemi czarnymi liniami; czerwona twarz jego odbija gwałtownie od niebiesko-olowianego nieba. W drugim: „Les sorcières de San-Millan“ wszystko jest zielone, prócz ołowianego również nieba; bardzo subtelnie narysowane bez modelacyi karykaturalne głowy starych, wychudłych kobiet ze szczególnym wyrazem okrucieństwa, rysują się tu ostrym profilem.

W trzecim, który na przekór tańcom odznacza się prawdziwym wdziękiem w ruchu tańca i uśmiechu młodej kobiety (portret panny Bréval z Opery Komicznej w 2-im akcie „Carmen“), daje ciekawy efekt sceniczny, przy sztucznem zielonem świetle, w którym gra czerwono-wzorzysty szal tancerki. Pozatem obrazy te są płaskie, bez głębi, bez powietrza, ale zamaszyste, o silnych kontrastach barwnych, krzyczących, a mimo to harmonizujących się; razem wzięwszy — znać w tem junakeryę brutalną, trochę szarlataneryi, obliczonej na zadziwienie gapiów i chętnie poszukiwanie charakteru karykaturalnego.

Cechy te, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre, jak zamaszystość i skłonność do karykatury, znajdujemy też u innych młodych Hiszpanów, którzy od paru lat wyróżniają się na wystawach paryskich. W tymże salonie p. *Garrido* daje trzy płótna: przekupkę czy rybaczkę z dwojgiem dzieci, wypróżniającą ryby, doskonałe typy w swym grubijańsko-pospolitym charakterze; młodą Angielkę, typowej anglo-saskiej brzydoty, która śmieje się z takim „oczkiem,“ że mimowoli wywołuje śmiech patrzącego; i karykaturalną głowę o olbrzymiem czole i małej skurczonej twarzy, którą autor nazwał w swej dowcipnej złośliwości „Le critique d'art.“ W Salonie Artystów Francuskich znajdujemy dwóch

jeszcze Hiszpanów: p. *Vasqueza*, który w swej pełnej wyrazu dramatycznej scenie daje znowu charakterystyczne typy hiszpańskie, traktowane subtelniej w rysunku, ale zbyt suche i wycięte w sylwetkach z powodu absolutnego nieuwzględnienia atmosfery; oraz p. *Tito Salus*, którego obraz—scena jarmarczna—posiadający właściwości odwrotne poprzedniemu, zwraca uwagę szalonym rozmachem w ruchu dwojga tańczących. Wróciwszy do sali, którą na chwilę opuściliśmy, widzimy tam jeszcze jednego Hiszpana, innego pokroju, modnego portrecistę, p. *Antonio de la Gandara*. Ten wystawił trzy portrety kobiece, albo, by powiedzieć ściślej, trzy portrety wyszukanych strojów kobiecych, bo strój stanowi w nich rzecz główną, gdy twarz malowana tak samo, jak materya i pozbawiona żywego wyrazu, mogłaby nie istnieć. Wszystko polega tu na wielkiem wirtuozostwie, z jakim ten artysta potrafi traktować w sposób dokładny, a mimo to szeroki, materye różnych odcieni i natury, oraz ozdoby, biżuterję i t. p. Zresztą w tym roku widzimy u niego postęp znaczny w kompozycyi figur, które nie są tak sztywne, jak zwyczajnie i nawet pod względem wyrazu twarzy—mają go więcej, niż poprzednie lalki do żurnalu mód. Wprawdzie dawniej, nim jeszcze powodzenie zdołało go zepsuć, starał się on więcej o charakter, jak tego dowodzi portret Jana Lorrain, znajdujący się obecnie na wystawie retrospektywnej portretów w rozkosznych pawilonach Bagateli.

Wogóle dział portretu wyróżnia się dość w obu tegorocznych salonach. Zaraz w pobliżu poprzednich dzieł zwracają uwagę dwa bardzo dobre okazy tego rodzaju: p. *V. Glehn*, portret kobiecej o zaletach bardzo osobistych, malowany solidnie i z charakterem, oraz pełna wdzięku w kompozycyi, wybornym rysunku, tonie jasnym, malowaniu lekkim grupa zbiorowego familijnego portretu p. *C. W. Lambert* (Anglik). Stylem angielskim, jak i poprzedni, pomimo charakteru bardzo indywidualnego, odznaczają się dzieła jednego z więcej utalentowanych obecnie portrecistów francuskich p. *J. E. Blanche*. Styl ten tembardziej się tu uwidocznia, że modele jego należą do rasy anglo-saskiej. Doskonałym jest zwłaszcza portret Sir Coleridge Kennard-Bart, oraz portret dzieci tegoż, wybornie rysowany, ale z charakterem, jak się zdaje, zaakcentowanym trochę przesadnie i nadto identycznie jednakowym w każdej główce. Dalej spotykamy, w tym roku szczególnie, portrety komponowane jako obrazy i naodwrot—obrazy, które są właściwie portretami. Do pierwszych należy obraz p. *R. X. Prinet*, pełna życia, prawdy i charakteru scena familijna: matka zdaje się łagodnie i oględnie przedstawiać córce „korzyści“ projektowanego

związku, który, sądząc z wybornie oddanego wyrazu niezdecydowania i znudzenia, nie przypada jej do smaku. Trzecia, siedząca opodal postać starego mężczyzny, z miną może zbyt obojętną, oczekuje zapewne na decyzję młodej osoby. Jestto jednym słowem doskonale malowana scena, ilustrująca życie zamożnej burżuazji francuskiej.

Inaczej przedstawia się życie w portrecie własnym p. *Bernarda Boutet de Monvel*. Tu oddycha ono szerzej i pełniej wśród otwartej przestrzeni jesiennych pól, gdzie swobodnie hula wichry, pędząc ciężkie, skłębione chmury i zrywając prawie kapelusz z głowy młodemu człowiekowi, który, przechyliwszy się lekko w charakterystycznym ruchu, przytrzymuje go ręką. Ubrany w angielski strój sportowy, stoi on na wzgórk, z harapem w rękę, mając u nogi dwa wspaniałe charty. Obraz ten, utrzymany w jednolitym tonie ciemno-brunatnym, wbrew dotychczasowej jaskrawo-modernistycznej manierze artysty, traktowany z niepospolitem zacięciem, ma w sobie coś z wielkiego zakroju portretów Van Dycka lub Velasqueza—nie w technice, zupełnie nowożytniej i osobistej, ani nawet w wyrazie i ruchu, zbyt żywym i przypadkowym,—ale w pojęciu kompozycji.

P. *Gaston La Touche* porzucił na chwilę swe lekkie liryczno-ironiczne, erotycznego wdzięku kompozycje, których zresztą bardzo ładne okazy oglądaliśmy tej wiosny na wystawie u Georges Petit, by dać, w formie również sceny żywej, portret rytmownika Bracquemond i swój własny — duży obraz z figurami naturalnej wielkości, interesujący ze względu na swe zalety czysto malarzkie.

Za to obrazy p. *Raffaëlli* „Le Bûcheron“ i „L'Apprentie,“ w stylu od paru lat nieco odnowionym, tego artysty, którego sława datuje się od dość dawna, mają charakter osobisty portretów. Portret damy p. *Boldiniego*, jak zwykle, mocno przesadzony, choć o wiele prawdziwszy, niż ostatnie jego produkuje tego rodzaju, odznacza się jakąś wściekłością w ruchu i kokieteryą w wyrazie, które bądź co bądź dobrze odpowiadają sztuczności życia pięknych Paryżanek. P. *Aman Jean* daje bardzo ciekawe w swym oryginalnym charakterze portrety mężczyzny, oraz dzieci z psem, odnawiając trochę swą interesującą, ale zbyt jednolitą maniérę. Dalej na uwagę szczególną zasługują tu jeszcze portrety pp.: *Brissaud*, *Shannan*, *Lavery*, *Stewart*, *Guiraud de Scevola*, *Giron* (portret rzeźbiarza Bartholomé), *Waog* (portret Anatola Franco), *Walton* i panny *Olgi Boznańskiej*, która, uwolniwszy się, przynaj-

mniej w dużej części, od zbytnej ekscentryczności swej manieri, pozwala lepiej ocenić przedziwne zalety swego talentu.

Portrety wielkich mistrzów patentowanych, pp. *Carolusa Durand* (szambelan papieski) i *Dagnan-Bouveret'a* (portret damy), bardzo różne co do wartości i wykonania, wskazują u tych dwu dalekich od siebie artystów pojęcie sztuki jednakowo nie odpowiadające dzisiejszym wymaganiam.

U pierwszego, który był zawsze powierzchownym i sławę swą zawdzięcza minionej już oddawna modzie, może to nie zadziwiać, ale p. Dagnan-Bouveret dawał dzieła prawdziwe i dążył, jak się zdawało, do innych ideałów.

Do tak zwanych „*cloux*“ należą w tym salonie obrazy dwóch artystów, p.p. *Cottet* i *Simon*, których nazwiska, jako malarzy Bretanii, zawsze idą w parze. Pasują oni zresztą do siebie przez kontrast, jak koń kary z białym—porównanie, które w tym roku tembardziej znajduje usprawiedliwienie, że o ile pierwszy ściemnił ton swego obrazu, o tyle drugi go rozjaśnił. Pozatem chody ich są równe, t. j. odpowiadają sobie i talentem i pojęciem szerokiem sztuki malarskiej. Obraz p. Cottet nazywa się, jak zwykle, „*Au pays de la mer*,“ z dodatkiem „*Douleur*.“ Artysta chciał dać w swej kompozycji głębszy efekt tragiczny i udało mu się do pewnego stopnia go wydobyć w pięknej pierwszoplanowej grupie, pogrążonej w cieniach zapewne wieczoru (nie tłómaczy się to dostatecznie), przypominającej mocno swym charakterem t. zw. „*Piety*“ obrazów mistrzów początkowego Odrodzenia lub ich bezpośrednich poprzedników—matka rozpaczająca nad wydobytym z morza półnagim trupem syna, w otoczeniu współczujących jej osób. Bretońskie stroje i zakwefione głowy kobiet, jednakowe dzisiaj, jak przed wiekami, nadają tej scenie uogólnione znaczenie tragedii ludzkiej. Spokojny nastrój bolesnej rezygnacji, którego żaden ruch gwałtowniejszy, żaden krzyk nie rozrywa, wywołuje rzeczywście silne wrażenie, do czego przyczynia się jeszcze swą żalobną monotonią tło, złożone z nieruchomego, ciemnego i jak gdyby stężalego morza, z otwianego nieba i traktowanych z rozmyślną naiwnością, piętrzących się prawie bez perspektywy domków rybackich i łodzi ze sztywnymi, prostymi jak deski żaglami. Ale wszystkie te szczegóły dalszych planów są za ciężkie i za brutalne w stosunku do zupełnie subtelnie traktowanej sceny głównej, pogrążonej w cieniu, którą przygniatają, występując naprzód. To jednak nie przeszkadza, że obraz ten, ze względu na zasadnicze swoje zalety, jest dziełem mocno się wyróżniającem. Jakże inne wrażenie sprawia wyborny obraz p. *Simon* „*Cérémonie*

religieuse à Assise.“ Tu scena, przedstawiająca oficjantów przy ołtarzu, rozciąga się w pełni nateżonego światła, płynącego z górnych okien renesansowego kościoła i sama w sobie niema żadnego znaczenia wewnętrznego. Jest ona ściśle realistyczną i stanowi właściwie pretekst do uzyskania harmonii różnych odcieni tonów, wynikających ze stosunku białych i lśniących atłasowych ze złotymi haftami kap księży, na których grają tęczowe refleksy, do otaczającej jasnej architektury, szkarłatnych aksamitów, starych złoczonych bronzów i t. p. akcesoryj. Czarna grupa chłopców, służących do Mszy, robi plamę trochę za ciemną w tej jasnej całości. Cała ta scena, pojęta jako efekt li tylko zewnętrzny, przy traktowaniu bardzo szerokiem i syntetycznem, jest oddaną z wielkim charakterem.

P. *René Ménard* w stylizowanych klasycznych pejzażach, „Poestum,“ „Via Appia“ i t. p., pomimo jednakowego charakteru swych obrazów, potrafi zawsze wywołać poważny i głęboki nastrój minionej wielkości, przy pomocy środków zarazem bardzo prostych i bardzo subtelných. Jego studia różnych efektów, stosownie do pory dnia i pogody, przedstawiające szczyt Zermattu (Mont Cervin), widzieliśmy już poprzednio u *Georges Petit*. Są one bardzo ciekawe w pojęciu oryginalnem, ale w traktowaniu p. *Ménard*, a zwłaszcza w sposobie ujęcia w ramy, nie dają wrażenia olbrzymiwości.

P. *Le Sidaner* powtarza również swą charakterystyczną manierę (drobne płatki mniej lub więcej czystych kolorów), z której dobył już dziwnie subtelne harmonie, zwłaszcza w pełnych czucia, zupełnie oryginalnie widzianych i pojętych widokach Wenecyi, w cudnych, jak marzenie, nastrojach ogrodów kwiatowych lub parków, o różnych porach dnia, wieczoru, o księżycu. Przy tej manierze, doprowadzonej do wysokiej doskonałości, wszelka ostrość form i barw lokalnych ginie, zachowując jednakże w zupełności zasadniczy swój charakter. Wszystko przedstawia się, jakoby przysłonięte lekką, przezroczystą mgłą świetlaną, skapane w drgającej barwnej atmosferze. Tym razem natchnęły artystę widoki Londynu: „Saint-Paul,“ „Trafalgar Square,“ „Le Palais de Hampton-Court.“

Bardzo dobre w odczuciu charakteru i odpowiedniem traktowaniu są sceny bretońskie p. *Gumery* i *Boyer*. Kościoły, procesye, morze, oraz nastroje, jakie w uliczkach starych miasteczek, z ich kościołami, dzwonicami, staroświeckimi studniami, wywołują niezdecydowane pomiędzy mrokiem i jasnością chwile po zachodzie lub przed wschodem słońca w obrazkach p. *Le Gout-Gérard*,

wyrażają doskonale spokój i ciszę natury, o tych godzinach, w zapadłych kątkach prowincyi. Jedno tylko zarzucićby można p. Le Gout-Gérard, jak i większości jego kolegów, że od lat już stale powtarza ten sam rodzaj efektu i charakteru.

Od tych nastrojów spokojnych i poetycznych silnie odbijają malowane w gwałtownych kontrastach barwnych widoki prowansalskie, zwłaszcza scena rybacka na ultramarynowem morzu, p. *Montenard*, a także bardzo kolorowe, choć trochę spokojniejsze, sceny w plein-airze, oraz martwe natury—kwiaty i owoce, p. *Abel Truchet*.

Dalej na uwagę zasługują z powodu swych nader rozmaitych, doskonałych zalet pejzaże lub sceny pejzażowe pp.: *Iwill*, *Billotte*, *Cotteau*, *Clary*, *Meslé*, *Lebasque* (który daje nadto dwa bardzo oryginalnie traktowane studia dziewczynki), *Roger* (widoki Wenecyi), *Namay*, *Morisset*, *Moreau-Nélaton* i innych.

Specjalnie w malowaniu kwiatów celują: p. *Dumont*, pani *Delvolvé-Carrière*, stosująca mglistą manierę swego ojca, *Muenier*, *Raffaelli*, a szczególnie p. *Karbowski*, który i w kompozycyi swych obrazków i w lekkim sposobie malowania kwiatów, wazonów i drobnych akcesoryów daje bardzo wiele delikatnego artyzmu. P. *Lobre* doszedł do szczytu sztuki w swych wnętrzach kościołów, w mrocznych harmoniach o przeważającym tonie ciepłozielonawym, w którym grają wzorzyste, malowane okna gotyckich katedr (*La Verrière de Saint-Louis*, dite „*Rose de France*,” *Cathédrale de Chartres*, *Chapelles dans la Cathédrale de Chartres*, *Une Ogive*), lub w jasnych—pełnej światła, bogatej w złoto i purpurę kaplicy Wersalskiego pałacu. P. *Zakarian* w swych martwych naturach naśladuje z wielką wirtuozyą obrazy *Chardin'a*, nie bez dodatku zalet osobistych.

Dwóch słynnych humorystów, sentymentalny p. *Willette* i trywialny p. *Veber*, wystawiło tu swe produkcje (pomimo specjalnego Salonu Humorystów). Pierwszy dał „*Śmierć pierota*“ (czy coś w tym sensie), której towarzyszą, przy akompaniamencie fujarki małego satyra, szczególne harce piękności z *Moulin-Rouge*, mniej więcej nagich lub ubranych w części stroju, których się nie wymienia, w ruchach i pozach, stanowiących poszukiwany przez artystę zamiłowanego w skandalizowaniu publiki kontrast z powszechnem pojęciem powagi śmierci, choćby to nawet była śmierć pierota. Dziwna ta scena, traktowana dekoracyjnie, w tonie nadto kredowym, posiada wszakże właściwe panu *Willette* oryginalne zalety rysunku i koloru.

Utwór p. Vebera „La Guinguette,“ zamówiony do bufetu ratusza, przechodzi w trywialności rozpasania i karykaturze sceny Teniersa, bez zasługi oryginalności tegoż. Rzecz tę trudno nazwać kompozycją, przedstawia bowiem na wielkiem płótnie mnóstwo nagromadzonych drobnych figurek w grupach, nie mających ze sobą żadnego związku. Ale każda taka grupa lub figurka wzięta oddzielnie ma swój ciekawy karykaturalny charakter. Nie jest to ani obraz, ani dekoracya, ale tylko szereg humorystycznych ilustracyj, zestawionych na jednym płótnie.

Do orientalistów, prócz p.p. *Dinet*, *Aublet* i *Girardat*, którzy do swych produkcj nie wprowadzili najmniejszej odmiany, przybywa w tym roku p. *Cauvy*, przynosząc nutę oryginalną w obrazie, nazwanym „Le Lendemain du Ramadan,“ kompozycji traktowanej dekoracyjnie, pozbawionej prawie perspektywy, zwłaszcza powietrznej, trochę przeładowanej ornamentacyjnymi szczegółami, których bogactwo barwne dobrze wyraża fantastyczny przepych Wschodu, widziany po przez cudowne bajki z „Tysiąca i jednej nocy!“ Przy silnem natężeniu barw, całość układa się w harmonię wzorzystego dywanu. Obraz ten świadczy o doskonałem poczuciu koloru, należy do lepszych tegorocznych twórców sztuki malarskiej.

Również dekoracyjnie pojmuje kompozycję obrazu p. *Bunny* w charakterze, łączącym w sobie coś z przepychu Rubensa w układzie i akcesoryach (tylko pod tym względem) z nowożytnym stylem angielskim, tworząc całość, zarazem bardzo współczesną i posiadającą jakiś nieokreślony urok czegoś, co nas oddala od form życia obecnego. Są to zawsze piękne kobiety pół-oblężone, pół-strojne w suknie z bogatych materyj, w pozach niedbałych, oddające się wyrafinowanym szczegółom toaletowym przed lustrem o ramach stylowych, podtrzymywanem zwykle przez klęczącego Murzyna, lub bawiące się przegładaniem i przymierzaniem świętych klejnotów, drogich kamieni, sznurów pereł i koralu. Sceny te, roztaczające się na tle morza, które wnosi do nich nutę ożywczą zielonej przezroczystości, przy swym arystokratycznym egzotyzmie, są traktowane w sposób zupełnie nowoczesny, techniką bardzo sympatyczną, w tonach matowych, w rysunku szerokim, energicznym i jednocześnie subtelnie oddającym dystynkcyę ruchów, wdzięk kształtów i wytworną piękność rysów kobiecych. Taki też charakter przedstawiają tegoroczne obrazy p. *Bunny*, przynajmniej jeden, z różnicą tylko w ugrupowaniu figur i braku Murzyna, gdy drugi, traktowany zresztą tak samo, daje scenę w rodzaju więcej aktualnym.

Do powyższego artysty zbliża się nieco p. *Caro-Delville*, który swym kompozycyom dekoracyjnym („*Les paons blancs*“) na tle życia współczesnego umie nadać, pomimo nawet tak niemalowicznych strojów męskich, charakter niepowszedniej wytworności, przepychu i poezyi, przez umiejętne ustosunkowanie tonów barwnych, nadające całej scenie odpowiedni wyraz ogólny, przez rytm harmonijny w układzie, ruchach i pozach figur, przez wykwiut strojów kobiet i ich piękności, przez bogactwo akcesoryów i otoczenia, albo ich wyszukaną rzadkość, jak to widzimy w scenie, w której, obok tego wszystkiego, obecność królewskiej majestaty czności białych pawi daje akcent szczególnie niezwyčajny.

Jest to bardzo udatna próba nadania stylu dzisiejszym formom życia. P. *Caro Delville* wystawił prócz tego bardzo dobrą, doskonale odczuta w rysunku, w miękkiej modelacyi kształtów i równie wybornie malowaną nagość. Obraz ten nabyło muzeum w Filadelfii.

Wielkich płócien dekoracyjnych, których wartość jest rzadko proporcjonalną do rozmiarów, szczęściem znajdujemy w tym roku mniej, niż zwyczajnie, ale i tak jest ich jeszcze za wiele, zważywszy, że, prócz paru wyjątków, reszta bez straty dla sztuki mogłaby nie istnieć.

Pominąwszy takie słabe okazy, jak „*Le Paradis perdu*“ p. *Gustawa Courtois*, lub nie wiele więcej warte, ale zupełnie nie interesujące kompozycye p. *Wiktora Koos* („*La Forêt*“) i *Franciszka Auburtin* („*L'Aube des cignes*“), zatrzymamy się krótką, bardzo krótką chwilę przed obrazem p. *Alfreda Rolla*, zatytułowanym „*Vers la Nature, pour l'Humanité*“, kompozycya symbolistyczna, innemi słowy—rodzaj rebusu, którego, nie będąc wtajemniczonym w myśl autora, odcyfrować niepodobna. Jest tu więc pośrodku grupa ludzi, idących wśród chmur w stronę, gdzie w głębi wznosi się rodzaj roztaczającego żółte blaski geniusza; są urwiste szczyty gór; jest w rogu trup mężczyzny, przy którym siedzi kobieta, a nade wszystko, bo tego najwięcej, dymy, dobywające się z doliny i chmury. Jest to więc kompozycya, nie tylko nie zrozumiała, ale i rozproszona; napróżno szuka się w niej głównego motywu. W tym rozwianym obrazie o tendencyach symbolistycznych z trudnością poznać można doskonałego malarza realiste, jakim jest p. *Roll*.

Bardzo komentowaną jest i wogóle chwaloną kompozycya p. *Maurycyego Denis* p. t. „*L'Éternel Printemps*“, złożona z dwóch tryptyków i jednego dyptyku. Jest to szereg scen sielankowych, traktowanych z rozmyślną naiwnością i prostotą w rysunku i ko-

lorze, wzorowaną na prymitywach, kobiety i dzieci, pośród kwitnących drzew owocowych wiją wieńce, tańczą, kąpią się i t. d., wszystko to płaskie, bez perspektywy, malowane tonami, jakgdyby przyłożonemi, w ogólnym tonie kredowym, który, pomimo wdzięku i świeżości tej kompozycyi, dość sztucznej, sprawia w końcu wrażenie trochę monotonne.

Weale ładne też, a w wykonaniu szersze, są dwa niewielkie dekoracyjne obrazki p. *Lerolle'a* „Douce journée,“ pejzaż, odgrywający w nich rolę główną, ma dużo wyrazu.

W Salonie Artystów Francuskich, w dziale dekoracyi, zwracają uwagę przedewszystkiem prace p.p. *Henryka Martin*, *Jean-Paul Laurens'a* i *Edwarda Detaille*, oraz panny *Klementyny Dufan*. Obraz p. *Martin*, „L'Etude,“ przeznaczony do Sorbonny, traktowany właściwą temu artyście techniką impresyonistyczną, przecinkową, odznacza się, co do kompozycyi, tem najpierw, że dla wyrażenia swego tematu autor nie posługuje się alegoryą lub symboliką, nie wprowadza figur nagich lub odzianych w pompacyjne togi, lecz stara się zawartą w nim myśl wyrazić w sposób najprostszy, mianowicie przez ukazanie plastyczne i bezpośrednie samej sceny w formie, w jakiej ją widzieć możemy dzisiaj własnymi oczyma. „L'Etude“ więc, naukę, w znaczeniu uczyć się, studyować—przedstawił też p. *Martin*, w grupie głównej, jako wykład profesora, otoczonego uczniami, z tem tylko odstępstwem od rzeczywistości ścisłej, że scenę swą umieścił nie w murach uniwersytetu, lecz na otwartem powietrzu, w gaju oliwnym, w pobliżu morza, którego niebieską powierzchnię tu i owdzie dostrzedz można pomiędzy drzewami. Prócz trochę zużytego gestu profesora, pojęcie takiej nauki wyraża się tu przez głębokie i poważne zastanowienie słuchających wykładu uczniów i paru figur od tej grupy odłączonych. Jedynym emblematem, na który pozwolił sobie p. *Martin* i który wydaje się tu, jakby nie na swoim miejscu, jest statuetka Ateny ustawiona na cienkiej kolumence, tak cienkiej, iż bierze obawa, by jej nie wyrócił jeden ze słuchaczy, wsparty o nią całym ciężarem swego ciała. Chcąc wyrazić skupienie myśli, artysta przesadził trochę postawy swych figur, których spuszczone głowy dają nastrój nie tylko powagi, ale i jakiegoś smutku i zniechęcenia. Pozatem wartość tego obrazu polega przedewszystkiem na wielkiej i trudnej sztuce scharmonizowania bardzo dużej skali tonów barwnych, położonych na obszernej powierzchni grubą warstwą, lecz stosunkowo drobnemi pociągnięciami czystych kolorów. Całość musi być widziana z bardzo daleka, aby, utraciwszy wygląd pstrokacizny, dała właściwy i pożądany

efekt. I rzeczywiście, efekt tu jest bardzo silny, chociaż szerokość sali nie jest dostateczną, by go w zupełności ocenić: odczuwa się tu powietrze, które otacza i łączy bardzo syntetycznie traktowane sylwety postaci ludzkich w ich trochę znodyfikowanych i uproszczonych, współczesnych strojach. Gorące plamy słońca, przedzierającego się po przez gęstwę szaro-zielonawych liści, dają prawdziwe złudzenie światła, nie zaś wypukłej masy farby, jak to często bywa, prócz chyba na ubraniach, którym tęczowe refleksy odbierają trochę właściwy charakter materiału. Z tem wszystkim „L'Etude“ jest prawdziwym dziełem sztuki, jakich na tych wystawach znajdzie się nie wiele, ale nie stanowi najlepszej pracy p. Martin; dał on już w ostatnich latach obrazy, znacznie więcej przemawiające.

Jeżeli p. Martin ze swych kompozycji wyłącza prawie zupełnie wszelką alegoryę i symbolikę, to za to czynniki te są elementem najwyraźniejszym w obrazie p. *Jean-Paul Laurens'a* — „La Musique,“ taki bowiem tytuł nosi ta kompozycja, którą właściwiej nazwałoby należało apoteozą Beethovena. Z obliczem Beethovena spotykamy się już po raz drugi, gdyż w obocznym salonie inny malarz, p. *Lévy-Dhürmer*, wystawił też coś w rodzaju fantastycznego portretu mistrza — głowę, pojętą wprawdzie dość szlachetnie w wyrazie, ale malowaną w jakimś dziwnym tonie złotawo żółtym, z dobywającymi się z niej żółtymi także dymami, zamiast włosów. Kolor żółty odpowiada dźwiękowi fletu, instrumentu, równie niewystarczającego do oddania muzyki Beethovena, jak pomysł malarski p. *Lévy-Dhürmera* nie jest w stanie wyrazić, choćby w przybliżeniu, jego geniuszu. Niestety, nie udało się to lepiej, pomimo bardzo dużego nakładu pracy, umiejętności i talentu, p. J. P. Laurens'owi. Jego Beethoven przedstawia się, jako olbrzymi posąg z zielonego bronzu na wysokim piedestale, dominujący nad całością obrazu. Pominąwszy to, że taka interpretacja nie bezpośrednia, lecz wspomagająca się formami innej sztuki, traci na wyrazie, zauważyć trzeba przedewszystkiem, że postać genialnego muzyka, zwalona w fotelu, bo do takiego określenia zmusza niezmierną masywność i ciężar ruchu tej figury, jest wprawdzie olbrzymia, ale niema w sobie nic tytanicznego. Jestto poprostu ciężka, obezwałdniona masa o kształtach ludzkich, narysowana w wadliwej fotograficznej perspektywie, o nogach występujących naprzód, za wielkich od kolan do stóp w stosunku do całości, pomimo nawet punktu widzenia z dołu, który tę nieestetyczną i przesadną deformację do pewnego stopnia tłumaczy, ale autora nie usprawiedliwia, bo mając przecież wolność wyboru, mógł

takich konsekwencyj unikać. Figura Beethovena, pojęta w ten sposób, jest jedynie podobizną jego właściwości fizycznych, i to w dodatku z przesadą w kierunku monstrualnym, bez najmniejszego ukazania tego, co jedynie ma znaczenie — wyrazu jego ducha. Cyklopowy ten pomnik otaczają z jednej strony niezliczone widma, których związku z muzyką trudno się dopatrzeć, wznoszące się jakoby słupem, przybierając kształty i barwy coraz bardziej niktę, przechodząc stopniowo w przezroczysty ton, niebieskawym, aż do bezkolorowości w górze płótna, gdzie jakies olbrzymie ręce zdają się je przyjmować. U stóp pomnika, orkiestra, złożona z mnóstwa drobnych figurek, siedzących w równoległych szeregach, wykonywa pod batutą dyrektora symfonię, której interpretacja, sądząc po zmarszczonej i pół-uśpionej twarzy brązowego mistrza, nie musi go zadawałniać. Ten ostatni szczegół, dziwnie banalnie realistyczny, nie zupełnie zgadza się z romantyczno-dramatycznym charakterem tej kompozycji, w której artysta chciał widocznie, przy pomocy środków malarskich, wyrazić elementy dwóch innych sztuk — rzeźby i muzyki — ambicya, przechodząca siły nie tylko p. Laurens'a, ale i znacznie od niego większych. Co do koloru, to przeważa tu zielony brąz posągu na niebieskawym, nikańczym, jakby zmytem, tle, gdy w dole obrazu panuje ton czerwony.

Obraz p. *Détaille* — „Chant du Départ,“ ujęty bez żadnej potrzeby w formę tryptyku, przedstawia z pewnych względów niejaką analogię z powyższem dziełem p. J. P. Laurens'a. Jak tamto, przy podobnej nikości koloru, ma on charakter szczególnie ciężki, który nadają mu najpierw toczony na pierwszym planie armaty, a następnie poprzedzający szeregi, niezmiernie ciężki, pomimo swych skrzydeł, biały wierzchowiec. Siedzący na nim geniusz z wzniesionym trójkolorowym sztandarem intonuje pieśń rewolucyjną. Wtórąje mu entuzjastyczny chór żołnierzy, którzy w zbitej masie, gnani dzikim zapalem tłumionych dotąd energii, postępują za nim żywiołową falą. Taką przynajmniej wydaje się być intencya artysty. Chciał on dać zapewne w swej kompozycji o pretensjach epickich ekwiwalent malarski słynnej grupy Rude'a z Łuku tryumfalnego, zamiast czego, zrobił w rezultacie olbrzymią ilustrację.

O ile pierwszoplanowe, wymierzone wprost na widza, naturalnej wielkości armaty, oraz kolosalny pegaz geniusza wojny, czy rewolucyi, robią wrażenie ciężkie, o tyle lekkim, stosunkowo za lekkim, jest charakter figur w ich rysunku liniowym i słabej modelacyi, malowanych nie kolorowo, w ogólnym tonie

przezroczyście, szaro-niebieskim, nad którym dominuje, jako nuta najwyższa, wielka, biała, masywna sylweta skrzydłatego konia. Zalet tego obrazu szukać należy głównie w wybornym, ale zbyt szczegółowym, nawet na dalszych planach, rysunku pojedynczych figur, ale są to właśnie zalety ilustracyjne, sprzeciwiające się zasadniczym warunkom wielkiej dekoracji.

Sensację sprawiły wystawione w tym salonie ostatnie produkcje panny *Klementyny Dufan*; pierwszy to raz bowiem w historii sztuki kobieta zdobywa się na dekoracyjną kompozycję tej miary i powagi. Panna Dufan stoi, obok panny Delasalle, na czele nowej kohorty malarek, współzawodniczących z mężczyznami, nie poza na ekscentryczność, lecz poważnem pojęciem i traktowaniem sztuki, pracą sumienną i rzeczywistym talentem. Obie w swej karierze artystycznej dały już dzieła wyraźnie charakteryzujące ich indywidualność i doszły do zaszczytów, dostępnych bądź co bądź, z nielicznymi wyjątkami, tylko prawdziwie zasłużonym sztuce. I jedna i druga mają swe prace w muzeum Luksemburskiem. Skłonności panny Delasalle są więcej realistyczne, formy odczuwa ona bezpośrednio i celuje w oddaniu żywego charakteru, jak tego dowodzi jej doskonały portret Benjamina-Constanta, szkoda też, że w ostatnich swych pracach dała się uwieść jakimś tendencyom modernistycznym, nie odpowiadającym rodzajowi jej zdolności. Panna Dufan ma swój styl specjalny, który daje się poznać w oryginalnym, właściwym jej i bardzo subtelnym kolorycie pochodzenia impresjonistycznego, nieco pokrewnym rodzajowi Besnarda, w poszukiwaniu wdzięku w kształtach i ruchach nagości niewieściej, lub piękna w wyrazie siły energicznych form męskich; bogactwa barw, branych z przyrody; poezji w tematach idyllicznych i fantazyjnym interpretowaniu mitologii.

Najlepszą próbką jej talentu, przedstawiającą wszystkie wyżej wymienione cechy i przymioty, jest obraz „L'Automne,“ znajdujący się w muzeum Luksemburskiem.

Wszystkie prace tej artystki dowodzą jej niepospolitych zdolności dekoracyjnych i taki też wogóle mają charakter; ale do użytkowania takowych dotąd brakowało jej odpowiedniego pola. Sposobność ku temu dało jej dopiero zamówienie dla Sorbonny obecnych w tegorocznym Salonie Artystów Francuskich dwóch nader interesujących obrazów.

Rezultat, uzyskany w tych pracach, zarazem przechodzi oczekiwanie i sprawia zawód — jednocześnie zadziwia siłą koncepcji, na którą potrafiła się zdobyć artystka w dziedzinie czystej abstrakcji, nie odpowiadającej jej skłonnościom i temperamentowi,

i każe żałować nieobecności przymiotów, jej właściwych, t. j. wdzięku i koloru. I jedno i drugie nie jest tu wprawdzie wyłączone zupełnie, ale wyraża się mniej silnie, znajduje się jakoby na dalszych planach. Ale bo też i tematy, powierzone pannie Dufan, nie są bynajmniej łatwe do wyrażenia, zwłaszcza pierwszy—„Radioactivité—Magnetisme,“ gdzie wypada usymbolizować już nie tylko pojęcie abstrakcyjne, jak w temacie drugiego obrazu („Astronomie—Mathématique“), ale czynność, zwykle niedostrzegalną, sił przyrody, dotąd nawet niedokładnie zbadanych, ani określonych. To też trudności te są widoczne w kompozycyi, wypracowanej uciążliwie, której, by ją jako tako zrozumieć, dodano komentarz o brzmieniu imponującym w swej naukowej zagadkowości: „Toutes les forces radiantés unissent pour l'éternelle activité la matière pondérable et l'impondérable.“ Zobaczmy teraz, jak to wygląda w obrazie panny Dufan. Jest więc tu najpierw pejzaż geologiczny, z jakiejś niewiadomej planety: skały, góry, potoki, coś w rodzaju nieznaney na naszej biednej ziemi roślinności napowietrznej, nie mającej ani pni, ani gałęzi, ani liści, podobnej do wiszących warkoczowatych smug o barwach tęczy — w ten sposób zresztą p. Dufan wyraża zwykle masy drzew. W tym dziwnym gaju dwie nagie postacie, męska i niewieścia na koniach, jadące obok siebie, obejmują się i całują. Ten szczegół jest również wyjęty z dawniejszych kompozycyj artystki. Ale główna akcja odbywa się w chmurach, z których wylaniające się kolosalne postacie kobiety i mężczyzny łączą się w pocałunku. Oto i wszystko. Jak widzimy, czynność sił radialnych sprowadza się tu do wyrazu erotycznego, jakim jest pocałunek mężczyzny z kobietą; mniejsza o to, czy to odpowiada pojęciu, które ma symbolizować,—dyskusya na tym punkcie byłaby próżną,—ale niewątpliwym błędem kompozycyi jest dwukrotne powtórzenie tego samego motywu. Motyw główny, wyrażający symbol, nie może się powtarzać, bez utraty swego znaczenia—powinien być rezultatem pojedynczych elementów kompozycyi i pozostawać do nich w takim stosunku, jak skutek do przyczyny. Tutaj, symbol tkwi całkowicie w postaciach chmurnych, których olbrzymiość i tajemniczość odpowiada zagadkowej potędze sił przyrody, drobne więc figurki w dole, powtarzające gest tytanów, są conajmniej niepotrzebne. W rezultacie, całość tego obrazu, traktowana w wielkich liniach i szerokich planach, prócz tej roślinności o wyższem napięciu barwnem, w kolorze trzeźwa, a nawet mało kolorowa, jest, bądź co bądź, dziełem sztuki poważnem i zupełnie niezwyčajnem.

Druga kompozycja — „Astronomie—Mathématiques“ — „L'Échange égal des forces opposées créant l'équilibre et le rythme infini“ — jest pojęta naiwniej i więcej bezpośrednio. Siły przeciwne wyraziła tu artystka przez dwie nagie figury, mężczyzny i kobiety, które, zbliżywszy nogi i trzymając się za wyprostowane ręce, kręcą się w kółko, czyli, w języku dziecinnym — tańczą „drobną kaszkę,“ podczas, gdy stojąca w pobliżu kobieta dobywa rytm, uderzając w metalowy trójkąt — emblemat nauk matematycznych. W wodzie odbijają się gwiazdy, wyglądające, jakgdyby je kredą zrobiono na czarnej tablicy, gdy zresztą ton obrazu, bardzo jasny, bynajmniej nocy nie wyraża. Obraz ten, mniej panteistyczny od poprzedniego, jest za to więcej ożywiony wskutek zaludniającego go postaci ludzkich. Figury te, uogólnione, ale niemniej narysowane z odczuciem form i ruchów bardzo subtelnem, robią jednak wrażenie ciężkie z powodu rozmiarów zawiśniętych w stosunku do całości i kształtów, zwłaszcza mężczyzny, zbyt masywnych. Ton żółty tej postaci, a także ton ogólny obrazu, jednostajnie jasny i kredowy, nie podnoszą jego efektu. Zresztą w obu tych kompozycjach znać wpływy bardzo bliskie, Besnarda.

Do obrazów dekoracyjnych, pomimo swych rozmiarów stosunkowo drobnych, należy kompozycja p. *Csok* — „Nirvâna,“ w swoim rodzaju bardzo ciekawa, pełna wyrazu i wdzięku w układzie i kolorze. Na spokojnych falach morskich spoczywa brązowa figura Buddy, którego aureolę stanowi złoty krąg zachodzącego słońca. Wkoło, grupują się w różnych pozach wybornie rysowane ciała nagich kobiet, leżących w bezwładnem pół-uśpieniu pośród obłoków. Całość, wyrażająca niewypowiedzianą błogość wiecznego unicestwienia, ma w sobie coś z niezemskiego marzenia niebytu, będącego jednocześnie wszechbytem. Co szczególniejsze, wrażenie to wydobywa artysta środkami bardzo prostymi, czysto malarskimi, bez uciekania się do abstrakcyjnych symbolów, przy pomocy, owszem, form zupełnie konkretnych i świetnej gry barw czystych, pięknie szarmonizowanych w zestawieniach zgodnych lub kontrastowych. Cudny jest efekt zachodu, z jego odbiciem w wodzie, wraz z figurą Buddy, jedynym, użytym tu, symbolicznym emblematem.

O dwóch olbrzymich plafonach p. *Rafaela Collin* powiedzieć można tylko, że są najzupełniej banalne, brzydkie i pozbawione wartości artystycznej: — dwie np. niezmierniej długości, nagie figury kobiece, płaskie i obrysowane drutowym konturem, zawieszane w niepojęty sposób w jakiejś różowej przestrzeni, mają tyle podobieństwa do żywych kształtów ciała, ile ręką-

wiczka, jeszcze nie używana, przypomina formę ręki. A przecież p. Collin jest mistrzem, który, prócz wielu dzieł wartościowych, szczególnie właśnie nagości kobiecych, subtelnie odczutyh („Floreal“—muzeum Luksemburskie), stworzył dużo pięknych i poetycznych kompozycy j dekoracyjnych.

O portrecie mieliśmy już sposobność mówić powyżej. Towarzystwo Artystów Francuskich wyróżniło ten dział w tym roku, przez odznaczenie medalem honorowym p. *Marcelego Baschet* za portret Henryka Rocheforta, sumiennie wystudyowany, z wyrazem i charakterem, ale bez głębszego odczucia istoty wewnętrznej. Jestto dobra podobizna, malowana w tonie trochę jednostajnym, żółtym—dzieło nieosobiste, godne szacunku, ale nie budzące entuzjazmu. Portret kobiecy p. *Ernesta Laurent* zwraca więcej uwagę piękną harmonią barw, wśród których przeważa niebieski kolor sukni, i żywą ich wibracją w powietrzu, otrzymaną przy pomocy manieri, w rodzaju Le Sidanera, malowania drobnemi płatkami kolorów, bez zatracenia przytem wysokich zalet bardzo solidnego rysunku i wyrazu osobistego portretowanej osoby. Nie można tego samego powiedzieć o p. *Henryku Martin*, który tą samą manierą, co swój wielki obraz „L'Etude,“ wymalował portret kobiecy i zrobił rzecz ciężką, brutalną, pozbawioną wdzięku i wyrazu w rysach zbyt uproszczonych, w kolorze surową i nieprzyjemną. W Salonie Artystów Francuskich spotykamy dalej nazwiska wszystkich prawie mistrzów portretu, starszych i młodszych—p.p.: *Hebert*, który stara się odnowić swą technikę w dwóch portretowych główkach dziewczęcych; *L. Bonnata*, *Gabryela Ferrier*, *Ferdynanda Humbert*, *Cormona Bardes*, *Williama Laparra*, *Etcheverry*, *Bergès*, *Avy*, *Gran*, *Dupuy*—oraz cudzoziemców, z których wielu bardzo utalentowanych—*Cartera*, *Harris-Brown'a*, *Seymour-Thomasa*, *Hopkinsa*, *Wentwortha*, *Laszlo* (portret księżnej Ludwiki Battenberskiej, bardzo ciekawy w charakterze i kolorze), *Ivanovitz'a*, *Janowskiego*, *Hulewicza*, *Tadczusa Styki* i t. d.

Wśród obrazów rodzajowych, anegdotycznych i t. p. zasługują na uwagę: p. *Prat-Loijs*—„Bucolique,“ fantazyja na tle mitologicznem, odznaczająca się wdziękiem układu i świeżością koloru, zresztą — powtórzenie zeszlórocznej „Idylli.“ Powtarzającym się stale motywem jest także „La Plage“ p. *R. du Gardier*—młoda kobieta w stroju kąpielowym na wybrzeżu, gdzie na dalszych planach widać kąpiące się w morzu figurki ludzkie. Dobrze oddaną jest tu gra słońca na twarzy kobiety. Ruch fal, świeżość morskiego powiewu i pałający ton letniego popołudnia odczuwają się bardzo silnie. *P. Jerzego Lefèbvre*—„Gentilhommeière Normande“

dobrze wyraża melancholię opuszczenia w tym starym dworze, porośłym mchem, nad zatęchłą wodą kanałów, na ponurem tle jesiennego nieba. P. *Paul-Albert Laurens* wystawił ładny obrazek „*Pierrot jaloux*“ i świeżą w wyrazie i kolorze, ale zbyt szczegółowo i delikatnie traktowaną kompozycję dekoracyjną „*Le Printemps*.“ P. *Maxence* stylizuje zawsze w ten sam sposób fantazyjne główki, o niegłębokim symbolizmie. P. *Mac-Cameron* w ciekawym światłocieniowym efekcie daje charakterystyczne w swym dramatycznym realizmie typy pijaków. „*Le Retour des permissionnaires*“ pana *Lartreau* przedstawia wnętrze przedziału III klasy z typami żołnierzy w efekcie sztucznego światła latarni wagonu. P. *Jamais* ukazuje widziany z dołu, ciągnący przez most kondukt pogrzebowy — impresya szczególna i niespodziewana, traktowana szeroką techniką, bardzo kolorowa. „*Courtisanes d'Alexandrie*,” p. *Rochugrosse'a*, są rodzajem jaskrawej ilustracji do słynnej „*Aphrodite*“ Piotra Louÿs. Panna *Rondenay* („*Atelier Humbert*“) daje wnętrze szkoły malarskiej kobiecej, z szeregiem typów-portretów malarek, z profesorem i nagą modelką w akademickiej pozie — rzecz dobrze skomponowana, pojęta i malowana realistycznie. „*Pologne*“ p. *Planzeau* dowodzi, że pomimo niskiego utylitaryzmu czasów dzisiejszych, iskierka sympatii dla słusznej sprawy uciśnionego narodu nie wygasła zupełnie. P. *G. Rivière* daje piękną harmonię wnętrza gotyckiego kościoła w tonie ciepło-zielonym. P.p. *Henryk Zo* i *Etcheverry* dają typy hiszpańskie, pierwszy młode kobiety w powozie („*Arrivée à la Piazza*“), drugi grupę chłopów, przybyłych na targ z drobiem i koszami jaj. Stroje kobiet z zawiązanymi na głowie czerwonymi chustami w turecki deseń, w barwnych kaftanach i spódnicach, ludzaco przypominają nasze typy wiejskie. P.p. *Despartes* i *Eschbach* dają realistycznie malowane wnętrza i typy, pierwszy—rybaków holenderskich, drugi—Niemców przy kuflach piwa. P. *Adlera* typy ludowe, malowane z charakterem, ale z przesadną brutalnością techn. i, mają w sobie coś z podkładu socjalistycznego. Wyborne są typy żołnierzy i górali szkockich p. *Orange*.

Nagość, sama dla siebie, tak dawniej licznie uprawiana, wyszła z mody. W tym roku prawie jej niema — nie mówiąc o banalnych i przestarzałych produkcjiach w rodzaju p.p. *Commère*, *J. Lefèvre* i ich naśladowców, da się zaledwie zauważyć, prócz wspomnianego już obrazu p. *Caro-Delvaile*, prace p.p. *Sala*—efekt refleksów świetlnych na nagim ciele kobiety, zbyt jednakowych na bieliźnie i jedwabiu koldry—i *Berton*, w Salonie Towarzystwa Narodowego, oraz pp. *Bergès* („*Conchita*“—zanadto przerysowana,

przeładowana akcesoryami, w kolorze szara — replika „Olympii“ Maneta, o ileż zinanierowana w porównaniu do prostoty tamtej!), i *Planzeau* — w kompozycji „Pologne,“ której motywem głównym jest miękko modelowana i bardzo dobra w kolorze, pomimo swego charakteru nieco akademickiego, nagość przywiązanej do słupa kobiety. Z pośród obrazów batalistycznych, lub treści historycznej i t. p., przeważnie konwencyonalnych, wyróżniają się najpierw jednakowe w charakterze heraldycznie stylizowane obrazy Anglików, p.p. *Craig* — „La Pucelle“ — szalony atak rycerstwa francuskiego po przez nastroszone ostrokoły z Dziewicą Orleańską na czele — i *Abbey* — sceny z Shakespeare'a: „Les filles du roi Lear“ i „Glocester et Lady Anne;“ — następnie p. *Gauthiercau* „La Marche des Lansquenets“ — imponująca siła, traktowana z szerokim charakterem potężna w swym ruchu ciężkim grupa średniowiecznych żołnierzy, z dominującym nad kompozycją chorążym na karym rumaku, wysoko dzierżącym dumny symbol władzy — żółty o czarnym, dwugłowym orle sztandar cesarski. Obraz ten ma w sobie coś z odnowionego charakteru Matejki. W porównaniu z powyższym, blado wychodzi wielka, ale konwencyonalnie pojęta i wykonana, kompozycja p. *Maksyma Faivre* — „Mort de Madame de Lamballe“ — wstrętna scena z mordów rewolucyj, przedstawiająca tłum, naigrawający się nad nagim trupem kobiety. Charakteru tragicznej ohydy takiego tematu nie potrafił oddać artysta inaczej, jak za pośrednictwem pozy i gestów teatralnych.

Z kompozycj religijnych, mamy do zanotowania trzy tylko obrazy: p. *Aublet* (Salon Tow. Nar.) — „Chrystus w grobie“ — dzieło nie pozbawione pewnego sentymentu; p. *Sabatté* — olbrzymia figura Chrystusa na krzyżu — sucha i twarda, jakby wyciosana z drzewa, bez wyrazu, bez koloru, bez emocji. Natomiast w niewielkim obrazie p. *Castaing* znajdujemy do artyzmu posuniętą sztukę naśladownictwa starych mistrzów.

Dzieło to przedstawia się w formie tryptyku, pośrodku którego Matka Boska podtrzymuje siedzącą bezwładnie, martwą figurę Chrystusa — grupa ślicznie narysowana w stylu archaicznym. Na dwóch bokach znajdują się dwie postacie aniołów, w czarnych szatach — jeden trzyma chustę Św. Weroniki z wizerunkiem Boskiego Oblicza, drugi — koronę cierniową. Obraz ten, utrzymany w tonie ciemnym, jakoby wnętrza katedry, na którego tle figury ukazują się w bladem żółto-zielonawem świetle, jest dziełem zupełnie niepospolitem, aczkolwiek powstałem z zapożyczonego natchnienia; subtelna bowiem umiejętność w ustylizowaniu rysunku, piękne szarmonizowanie barw i tonów, z których wydziela się

sentyment nie powszedni, są to bądź co bądź zalety osobiste artysty, które uwydatnił, obierając dla wyrażenia swej koncepcji obrazu religijnego, styl, odpowiadający ich naturze.

Za pośrednictwem nastrojów pejzażowych starają się, każdy na swój sposób, dramatyzować życie Bretanii pp. *Henryk Royer*, *Désiré-Lucas* i *E. de Palézieux*. Pierwszy wyraża w niewielkim tryptyku (forma w tym roku bardzo używana) tęsknotę kobiet, wyczekujących na wybrzeżu powrotu ojców, mężów i synów z odległych i niebezpiecznych, trwających całe miesiące wypraw rybackich; — drugi, („Le Pardon de Saint-Calo“), w tłumach pobożnie klęczących na trawie, przed kościołem, gdzie przy zjeździe na odpust, zabrakło dla nich miejsca, charakteryzuje głębokość uczuć religijnych tego ludu, wiare, która wzmacnia i łączy i pozwala, pomimo trosk i biedy, odczuwać radość bytu, napawać się widokiem pól i pastwisk, ciągnących się poniżej w jasnym słońcu wiosennem, aż do lazurowego, lśniącego milionem srebrnych iskier morza; — trzeci wreszcie daje tragiczną grozę zguby rozbitków w rozszalałym żywiole morskim, którym, z brzegu w niemożności dania im innego ratunku, ksiądz, przy wzniesionym w górę krzyżu, posyła ostatnią absolucyę, gdy obok garstka kobiet w czarnych habitach, jak spłoszone ptactwo przypadłszy twarzą do ziemi, zanoszą błagalne modły.

W obrazie p. Royer, gdzie figury grają rolę główną, wyraz jest stosunkowo najslabszy, w następnych, w których nastrój pejzażu jest wszyskiem, a ludzie, traktowani syntetycznie, w wielkich sylwetach i masach, tylko częścią natury, wyraz ten zyskuje na mocy, a w ostatnim dochodzi do prawdziwej siły tragizmu. W pejzażu, traktowanym dla niego samego lub w połączeniu z drobnymi scenami, prócz starych mistrzów, uprawiających wiecznie ten sam motyw, doprowadzony przez nich do perfekcyi, jak pp. *Pointelin*, *Harpigny*, *Didier-Ponget* i t. p., zauważyliśmy w tym salonie obrazy pp.: *Foreau*, *Saubès*, *Verrier*, *de Marliave*, *Robiquet* („Colline Poutiloff“ — pobożowisko z wojny rosyjsko-japońskiej) *Quignon* („Messidor“, doskonałe łany pszenicy w południe lipcowego dnia) *Bertram*, *A. Girard* (bardzo dobry efekt deszczu przy słońcu — konie na pastwisku), *księdza van Hollebecke*, *Stanton*, *A. Dubois* (nastrój letniego wieczora o wschodzie księżycy, traktowany w wielkich stosunkach — bardzo udatny efekt harmonijny), *P. Chabas* („Sur la rivière“ — silny efekt słońca, pod zachód, na twarzach i figurach wiosłujących dziewczynek — wdzięk), *Cotard Dupré*, *Simmonet*, *Timmermans*—i różne efekty morskie pp. *Bellanger-Adhémar*, *Trigoulet*, *Toussaint* i innych.

W dziale ilustracyi na szczególną uwagę zasługuje zbiór 64 rysunków p. *Eugeniusza Burnand*—„*Les Paraboles*,” które zdobić będą specjalne wydawnictwo Ewangelii. Są to pięknie wykonane, drobne kompozycje ołówkowe, bardzo dobrze i z czuciem rysowane, pojęte może nadto realistycznie i dosłownie—sceny z życia, według przypowieści, w których jednak nie nas nie objaśnia, prócz cytat z Ewangelistów, że są to przenośnie wypowiedziane przez Boskiego Nauczyciela i stosujące się do życia duchowego. Jest to może wymagać zbyt wiele od ilustratora, by oddał, co jest nieuchwytnem, ale jeśli to przechodzi jego siły, to niech lepiej ilustruje co innego, niż Ewangelie.

Ciekawe również i dobre w rysunku i kompozycyi są ilustracje do *Mizantropa*, przez pp. *Florian* i *Jeanniot* — rysunki, drzeworyty i akwaforty.

Prócz tego dział ilustracyi w obu salonach zawiera wielkie mnóstwo prac tego rodzaju godnych uwagi — oryginałów, kopij i reprodukcij, o których już tu mówić niepodobna.

*

*

*

Jeżeli w malarstwie znajdujemy tyle konwencji, banalności, naśladownictwa, zasklepienia się w ciasnej rutynie akademickiej lub własnej, niegdyś oryginalnej formułce, jednym słowem tyle braku pojęcia istoty sztuki, to cóż dopiero powiedzieć o rzeźbie, dla której to wszystko stało się jakoby prawem obowiązującym. Bo też choroba, która wycieńcza tę gałąź sztuki, datuje nie od dzisiaj, ale od czasów już odległych, gdy, wyzwoliwszy się od łączności z architekturą, rozpoczęła być samoistny, by przekonać się niebawem, że tem samem utraciła rację istnienia. W istocie bowiem, jakie zastosowanie pozostało dla rzeźby, gdy przestała być monumentalną? Obraz, byle nie był za wielki, może zdobić pierwszy lepszy pokój, ale co zrobić z posągami z kamienia lub brązu, którego tak łatwo pomieścić nie można?

Po za pomnikiem, gdzie rzeźba zachowała jeszcze coś ze swego monumentalnego charakteru, nie ma ona już innego przeznaczenia, jak tylko zappełniać muzea. Z drugiej strony, odkąd przestano budować katedry, architektura, rozszerzywszy zakres swej działalności i stosując się do wymagań ekonomii, wyrzekła

się też swego charakteru artystycznego, przestała być sztuką i stała się przemysłem.

Wobec tego, dwie drogi pozostały rzeźbiarzom do wyboru— zredukować swą sztukę do statuetki i oddać ją, narówni z architekturą, na usługi przemysłu, lub dać za wygraną. Oczywiście, większość wybrała pierwszy sposób wyjścia i tu znajdujemy wytłumaczenie, dla czego przeważna część twórców tej sztuki, które widzimy w salonach, ma, prócz nieuniknionej konwencji w formach i ruchach i wynikającego stąd braku wyrazu życia, jeszcze wszelkie cechy powiększonej statuetki. Rzeźbiarz, pracujący wyłącznie w tym zakresie, zmuszony liczyć się z bardzo podrzędnym wogóle gustem nabywców, posiadający skądinąd zapas pojęć rutynicznych, wyniesionych ze szkoły, mimowolnie stosuje nabytą w takich warunkach umiejętność i urobione w kierunku specjalnym zdolności do stworzenia, jak mu się zdaje, dzieła sztuki czystej, które wykonywa umyślnie dla salonu, w celu przedewszystkiem zaznaczenia swego charakteru artysty i, jeśli praca jego nie jest z góry zamówioną— z pewną mniej lub więcej uzasadnioną, względnie do swych stosunków w świecie oficjalnym, nadzieją, iż zostanie zakupionem czy to do muzeum, czy dla ustawienia w jakimś ogrodzie lub skwerze i przyniesie swemu twórcy pożądane odznaczenie w formie medalu albo adresu.

Rzecz zrozumiała, że jak wszędzie, tak i tutaj, od tej reguły ogólnej są wyjątki, ale te są nieliczne, a wśród nich najpierwszym jest naturalnie *August Rodin*. Ten z niczyją opinią liczyć się nie potrzebuje, bo sam ją tworzy—może on śmiało powiedzieć za przykładem władcy niegdyś tego kraju: „sztuka rzeźbiarska—to ja!“ Bo tylko wychodząc z tej zasady i mając tak nieograniczoną władzę w dziedzinie tej sztuki, można sobie pozwolić bezkarnie na ukazywanie publiczności produkcji takich, jakimi są ostatnie jego prace, a zwłaszcza te, które widzimy w tegorocznym Salonie Tow. Narodowego. P. Rodin od pewnego czasu nie robi, a przynajmniej nie wystawia nic innego, prócz ułamków figur ludzkich, w dziwny sposób poobracanych. W zeszłym roku jego „L'Homme qui marche“ była to figura bez głowy i bez rąk, ale posiadająca za to tors doskonały i wybornie wyrażające ruch chodu nogi. W ostatnich pracach, zwłaszcza w nazwanej „Triton et Néréide“ posuwa on swą manię znacznie dalej, dając początek dwóch figur, naszkicowanych w wielkich formach i tak ze sobą połączonych, przy braku górnych i dolnych kończyn, że trzeba sobie zadać pracę, nim się rozróżni, co ta masa gipsu przedstawia. Wtedy jednak się zauważy, że kawałkami brakujących czę-

ści kierunki ruchów są tak wskazane, iż całość grupy można sobie wyobrazić, ale jest to bądź co bądź zagadka. Widocznym jest tu tylko wyraz namiętności w ruchach obu ciał i we wciśnięciu w plecy Nereidy warg Trytona, oraz niezwykle odczucie form w ogólnie tylko zaznaczonych kształtach. Prócz tej szczególnej grupy, wystawił p. Rodin jeszcze dwie figury—„Mużę“ bez rąk, która postawiła nogę niemożliwie wysoko, wykrećwiwszy ją przytem bardzo dziwnie i „Orfeusza,“ klęczącego i, w ekstatycznym ruchu, szarpającego struny swej liry. Obie te figury, traktowane również w wielkich liniach i masach, ale wyraźniejsze od poprzednich, mają na swem cieple, prócz naleciałości, niby przypadkowych, jakieś dodatki nadprogramowe, np. ręka przyklepiona na plecach Orfeusza i t. p. Jak tu sądzić podobne prace? Jeżeli mają to być studia częściowe, to zbyt czynnem było odlewać je w gipsie i posyłać na wystawę—w tem stadyum, w kącie pracowni byłyby na swoim miejscu, gdy tutaj, choć znać w nich rękę mistrza, robią wrażenie dziwaczne.

Po zanotowaniu ciekawej w charakterze głowy Ingres'a przez p. *Bourdelle*, przejdziemy do obok położonej wielkiej hali Salonu Artystów Francuskich, głównego zbiornika rzeźby, gdzie uderzają najpierw wielkie rozmiarami, ale nie natchnieniem, ani talentem autora, pomniki, oraz figury alegoryczne i t. p. o charakterze, który wskazywaliśmy powyżej. Wszelako, pośród tak poważnej liczby produkcji rozmaitych, znaleźć się muszą i tutaj dzieła interesujące. Do tych ostatnich zaliczyć wypada dwa pomniki p. *Jana Boucher*—Wiktora Hugo stojącego na skale, z rozwianym płaszczem—rzecz dobra w charakterze figury, ale pojęta anegdotycznie, bez wyrazu genialności, który należałoby dać poecie—oraz pomnik Ludwika Trarieux (medal honorowy), w którym figury, otaczające obelisk, zwłaszcza kobieta z dziewczynką, niosącą kwiaty, są traktowane z wielkim sentymentem.

Bardzo żywą jest grupa chłopów, otaczających pomnik Edwarda Barbey przez p. *F. Sicard*. Następnie wyróżnia się też prawdziwą siłą w traktowaniu syntetycznym, ale doskonale skończonym, olbrzymi akt męski, siedzący na wielkich płytach kamiennych, z wyrazem skoncentrowanego skupienia myśli—dzieło p. *Landowskiego*, zatytułowane „Architecture,“ jedno z najlepszych na tej wystawie w swym masywnym charakterze potęgi w spoczynku.

W podobnym rodzaju traktował p. *H. Bouchard* swego „Oracza“ z brązu—praca znamionująca talent niezwyčajny i głębsze pojęcie sztuki.—Odwrotnym charakterem odznacza się grupa

z brązu p. *Ségoffin* „Le Génie et le Temps,“ w której wdzięk układu i piękna modelacya figur zastępują siłę.

Bardzo ładną i pełną młodocianego wdzięku jest kompozycya p. *H. Coutheillas* „Le Baiser à la source“—nagi chłopiec leży na płaskim głazie, z pod którego wypływająca woda źródła przybiera kształt dziewczyny—oba akciki są wykonane z doskonałem odczuciem młodzieńczych form i linii.

W pomniku Juliusza Verne przez p. *Alberta Roze* ładną jest grupa z marmuru dzieci czytających.—P. *Roberta Champigny* dobry w wykonaniu, choć w pomyśle nie nowy, jest wodotrysk z brązu—nagi chłopiec, zatykając usta wielkiej masce, rozpryskuje płynącą z nich wodę. W pomniku Jacquarda przez p. *M. Roussel* zasługują na uwagę marmurowe figury kobiece, przy cokole.—P.p. *Ward* i *Fry* dają bardzo interesujące posągi, pierwszy—wodza murzyńskiego, drugi — wodza Indyan.

P. *Gardet*, wyborny rzeźbiarz zwierząt, wystawił dwie olbrzymie grupy jeleni, niepotrzebnie powiększonych, bo przecież jeleni jest już i tak dość dużem zwierzęciem, aby było trzeba przedstawiać go w wielkości więcej, niż naturalnej. Za to p. *Perrault-Harry* daje zupełnie prawdziwe, kapitalne w wyrazie życia i ruchu, zajadle naszczekujące psy gończe.

Wśród portretów odznaczają się: portret w całej postaci z marmuru Alberta I, księcia Monaco, przez p. *Puech*, biust marmurowy prezydenta Fallières, przez p. *Carlès*—Saint-Saëns'a, przez p. *Marqueste*, oraz w salonie bocznym, portret p. Moreau-Nélaton (ojca), przez p. *Lenoir* i przez p. *Bartholomé*—portret jego żony.

Prócz wymienionych, znajdzie się w obu salonach niejedna praca wartościowa, sądzimy jednak, że taki wybór z pośród dzieł najwybitniejszych będzie tutaj wystarczającym.

KONRAD OSTROWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Dzieje Akademii duchownej rzymsko-katolickiej warszawskiej. Ze źródeł urzędowych i wspomnień jej wychowanców zebrane przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego przy współdziałaniu kolegów akademickich, mianowicie: ks. Teofila Matuszewskiego, ks. Antoniego Chmielowskiego. Warszawa, 1907. 4-o, str. 253, LV, II.

Do niedawna była niezmiernie ubogą literatura o wyższych zakładach naukowych w Polsce. Jubileusz Uniwersytetu krakowskiego przyczynił się do wzrostu opracowań jego dziejów; zasłużone wydawnictwo „*Fontes et Commentationes*“ przysporzyło obszernie dzieła o akademiach: wileńskiej, zamojskiej, kijowskiej, połockiej, Szkole Głównej warszawskiej; w monografiach do dziejów nowożytnych zjawiała się historia pierwszej Politechniki w Warszawie. Czekają jeszcze na opracowanie: Liceum krzemienieckie, Akademia wileńska (1832—1842), Instytut marymoncki i kilka innych. Brakowało dotychczas obrazu i Akademii duchownej warszawskiej, która obecnie zyskuje wyżej wymienioną książkę.

Doskonałą stroną tego dzieła jest zgromadzenie licznych wspomnień wychowanców tej instytucji; zwłaszcza notatki biskupa Kulińskiego znakomicie oświetlają żywot Akademii i ludzi w niej działających. Cenne są również wspominki o życiu akademickim, spisane przez Fudalewskiego, Brykczyńskiego, oraz autorów tej pracy; ożywiają one wielce całość opowiadania.

Po wstępie, w którym autor stylem notatkowym rozpatruje charakter szkół duchownych na zachodzie, znajdujemy pobieżne wiadomości o seminariach polskich, a następnie warszawskich. Opisuje dalej szczegółowo założenie Akademii (1836 r.), uroczystą jej inaugurację, gmachy, w których mieściła się owa uczelnia. Zgrozą przejmują fatalne hygieniczne warunki, wśród jakich tam bytowała młodzież duchowna w ciągu 28 lat (str. 23—24), nim nie

przeniesiono zakładu do innych zabudowań, ale, niestety, tylko na dwa lata, bo w 1867 r. zamknięto tę pożyteczną instytucję. Po rozpatrzeniu kierunku duchowo-religijnego, porządku codziennego, ubiorów, ćwiczeń, nadzoru wśród alumnów, przychodzimy do najważniejszych rozdziałów, traktujących o stanie nauki. Podnieść tu należy zarzut, iż o ile charakterystyki jednych profesorów opracowane są wyczerpująco, o tyle o innych przytoczono jeno suche wzmianki. Chcielibyśmy np. wiedzieć o metodzie, sposobie, zakresie i pożyteczności wykładów Wacława Maciejowskiego, wykładającego długi czas łacinę, a nie czytać dobrze już znane tytuły prac jego, nic wspólnego z Akademią nie mających (154). Poskąpiono wiadomości o prof. Kurhanowiczu (nieprawidłowo tu figuruje jako Kurchanowicz, 152), zdolnym i zasłużonym filologu i gramatyku polskim. Nie wyczerpująco o katedrze homiletyki z kursem wyższej literatury polskiej i jej historii i niezbędnem było danie programatu i szczegółowe omówienie, jak stał wykład piśmiennictwa krajowego; ważne to i ze względu specjalnego i ogólniejszego znaczenia tej kwestyi. Nic niema o tem, że jeden z profesorów tej umiejętności, Józef Kalasanty Mętlewicz, produkował się na niwie literatury pięknej, a powieść jego „Brat i siostra“ (drukowana w „Bibliotece Warszawskiej“) na współczesnych robiła takie wrażenie, że się zapłakiwali przy jej czytaniu (ob. *Wilkońska P.* „Moje wspomnienia,“ wyd. 3, t. II, 62, tamże autor mógłby znaleźć ciekawe wzmianki o ks. Leonie Topolskim, zajmującym katedrę prawa kanonicznego w Akademii). Trochę więcej należało poświęcić miejsca bibliotece, z króciutkiej notatki (26) widnieje, że posiadała cenne księgi, a nawet unikaty.

Bardzo ciekawe są życiorysy rektorów Akademii, Ossolińskiego (69—74) i Butkiewicza (74—78), mające znaczenie i dla dziejów kościoła w epoce porozbiorowej. Niesłychanie trzeba być wdzięcznym autorowi, a raczej autorom, za obfitość szczegółów anegdotycznych, z których niejeden pysznie ilustruje postacie przeszłości. Wice-rektor Szydoczyński odznaczał się wyłącznie serwilizmem, a kapłańskie zadania traktował byle zbyć. Gdy alumni pytali starego sługę Wincentego, czy ks. Szydoczyński odprawił już mszę, starzec odpowiadał: „Tak, już dmuchnął na ołtarz“ (97). Najgorszego gatunku ludzi narzucano na zwierzchników instytucyi, która miała wychowywać pasterzy dla całej archidiecezyi. Dopiero ze wstąpieniem na urząd rektora ks. Popiela 1862 r. (teraźniejszego arcybiskupa), a potem Kossowskiego, rozpoczął się odmienny kierunek, ale era ta była bardzo krótkotrwała.

Szkoda, że pominięto stosunek Akademii do nowopowstałej Szkoły Głównej; ciekawym jest programowy artykuł pod tym względem: „Projekt Szkoły Głównej i Akademia duchowna“ („Pamiętnik religijno-moralny,“ 1862, IX, 175—186); zasługiwał on na wyzyskanie. Szwankuje porównanie Akademii duchownej warszawskiej z wileńską (19—20); brak tu wskazania, że w ostatniej mogli być i byli wolni słuchacze świeccy, tymczasem w pierwszej hospitanci nie istnieli. Różnica to dużego znaczenia, gdyż, wobec braku uniwersytetu, młodzież mogła się kształcić i Akademia wileńska pomogła niejednemu do zdobycia wiedzy (o tym jej okresie pięknie pisze *Korotyński*, „Kłosa,“ 1881, № 833).

Bardzo dodatnio wypadł dział o wychowawcach Akademii; przewijają się tu liczne postacie dostojników kościelnych, kaznodziei, historyków, pisarzy etc. Natrafiamy tu na dobrze ułożone życiorysy i autobiografie znanych w piśmiennictwie braci Chodyńskich, Antoniego Chmielowskiego (brata Piotra), Rocha Filochowskiego i w. in. Nieustannie czytamy w żywotach tych o przesładowaniu, wydalaniu i różnych udrękach, którym podlegało duchowieństwo katolickie po 1863 r. Notaty bibliograficzne o pracach są pożyteczne, ale często brak tu niezbędnej ścisłości: „Pruszkowski napisał kilka dzieł historycznych wielkiej wartości,“ ale jakie, gdzie i kiedy drukowane—nie wiemy (239 i w. in.). Opuszczeń dużo, nawet w metodycznie opracowanych życiorysach, jak Filochowskiego, gdzie pominięty ciekawy jego przyczynek do hist. kościoła: „Dwaj biskupi“ (Borowski i Wnorowski), Warszawa, 1884.

Wydana książka pięknie, zdobna mnogimi portretami, ładna okładka mieści odbicia dawnych gmachów i bereł. Całość przepojona gorącą miłością autorów do swej alma mater, o której wiedzieliśmy dotąd bardzo mało. Wprawdzie znać niekiedy niewykończenia, atoli trzeba mieć wdzięczność dla autora i jego współpracowników, bo do historii oświaty i kościoła przybywa przydatna monografia.

LUDWIK JANOWSKI.

HENRYK MOŚCICKI. *Wilno i Warszawa, w „Dziadach“ Mickiewicza*. Tło historyczne trzeciej części „Dziadów“, z 23 rycinami. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1908. 8-o, str. 203. — SIEROSZEWSKI WACŁAW. *Ol-Soni-Kisań*. Powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1907. 8-o, str. 247. — RACZYŃSKA MARYA. *Tancerka z Xois*. Kraków, nakład G. Gebethnera i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1907. 8-o, str. 108.

Przed kilku laty prof. Askenazy rzucił historykom literatury w „Kwartalniku Historycznym“ wezwanie: zamiast badać rozliczne „wpływy“ literackie, drobne reminiscencye np. u Mickiewicza z Byrona lub Torkwata Tassa, u Słowackiego z Ariosta lub Chateaubrianda, zajmijcie się rzeczą nierównie ważniejszą i istotniejszą: sprawdzajcie, o ile utwory literackie, jak np. „Kordyan“ lub „Pan Tadeusz“ przedstawiają wiernie swoją epokę i postacie historyczne w nich odtworzone, słowem, *badajcie tło dziejowe utworów literatury*.

Apel ten słusznie zwrócił uwagę na zapomnianą dziedzinę studyów, tem więcej, że badacze piśmiennictwa, zwłaszcza niektórzy, nadto się zacierzewili w wyszukiwaniu hypotetycznych nie raz wpływów literackich. Ale radę prof. Askenazego nie we wszystkich wypadkach, oczywiście, stosować można. Jeżeli mamy do czynienia z realistycznymi obrazami przeszłości, jak np. „Pan Tadeusz“, „Irydion“, „Horsztyński“, w mniejszym już stopniu „Grażyna“, „Konrad Wallenrod“, w jeszcze mniejszym „Kordyan“ lub „Beniowski“, badania takie są niewątpliwie pożądane i pożyteczne. Ale cóż robić z takimi płodami czystej fantazyi, jak „Balladyna“, „Lilla Weneda“, „Król-Duch“ i wiele, wiele innych utworów, których anachronizmy gotowe „przerazić śpiących w grobie historyków i kronikarzy?“ Poezya często posiłkuje się historią, na jej fundamentach wznosi swe posępne tummy lub rozkoszne „wille nad morzem“, wille-marzenia; ale też nierzadko obchodzi się bez niej w zupełności.

Do liczby arcydzieł, w których, wyrażając się stylem Odrodzenia, Kalliope nie wzięła rozbratu z Klio, należy niewątpliwie III-a część „Dziadów.“ „Dziady“ więc przedewszystkiem powinny być uledz owej gruntownej rewizyi, do której zwywał przysłych badaczy prof. Askenazy.

Do apelu stanął młody, utalentowany i już, mimo krótkich lat pracy naukowej, zasłużony historyk, p. Henryk Mościcki. I jakież rezultaty jego badań? Nie będziemy rozwodzili się nad nimi, omawiana tu bowiem jego praca znana jest czytelnikom „Bi-

blioteki Warszawskiej.“ Zwrócimy więc tylko uwagę na rzeczy w niej najważniejsze. A przedewszystkiem powtórzmy skwapliwie za p. Mościckim, iż „jedną z wybitnych cech trzeciej części „Dziadów,“ nadających temu utworowi wartość dokumentu z dziejów martyrologii narodowej, jest jego nawskroś wierne tło historyczne;“ i dalej: „cały aparat dziejowy, spożytkowany w trzeciej części „Dziadów,“ znajduje potwierdzenie przy skrzętnej analizie historycznej.“

A waga i doniosłość tego utworu?

„Trzecia część „Dziadów“ jest dla nas dzisiaj i po wszyszkim będzie czasy wierną a niezapomnianą księgą narodowej martyrologii, bolesną skargą, z kochającego i cierpiącego wydartą serca, wreszcie wielką, natchnioną pieśnią, streszczającą w sobie wszystkie łzy, bóle i pragnienia — «narodowej sprawy męczenników».“

Tyle słów ogólnej charakterystyki.

A szczegóły?

P. Mościcki czynił bardzo skrzętne i pracowite studia zanim przystąpił do ostatecznego opracowania swego przedmiotu. Zebrał nietylko wszelkie źródła historyczne (pamiętniki, listy, dokumenty, urzędowa korespondencja Nowosilcowa i W. Ks. Konstantego i t. p.), ale i korzystał z rękopiśmiennych, zgoła nieznanych, jak np. pamiętniki Tomasza Zana, anonimowe pamiętniki Pustelnika, a przedewszystkiem zaglądał do drogiego skarbcza, jak się zdawało, na zawsze straconego, do Archiwum Towarzystwa Filaretów. Odnalazło się ono niedawno, oby zostało jaknajprędzej ogłoszone drukiem! Wedle rozpowszechnionej do niedawna tradycyi, spalone przez sekretarza Filaretów, Onufrego Pietraszkiewicza, w samej rzeczy przechowywało się w jego rodzinie.

P. Mościcki, badacz sumienny, wyzyskał wszystko, co się dało wyzyskać, dał w swoim studyum, o ile się zdaje, najpełniejszy obraz stosunku poczętych w imaginacyi poety obrazów i postaci do rzeczywistych wypadków i figur historycznych. Może kiedyś odnajdą się jeszcze pewne nowe szczegóły, ale ogólny wizerunek pozostanie nietknięty.

Nie ta część pracy p. Mościckiego, która mówi o Filomatach i Filaretach, jest dla nas najciekawsza: musi tu bowiem autor z konieczności powtarzać znane nam już w znacznej mierze skądinąd szczegóły. Dwa inne natomiast działły sumiennej pracy p. Mościckiego są dla nas najcenniejsze, a mianowicie: charakterystyka przesładowców młodzieży wileńskiej, oraz martyrologia uczniów szkół okręgu wileńskiego.

Tutaj zwrócić musimy uwagę na to, co nie jest już obce naszym czytelnikom, mianowicie: że p. Mościcki, prócz wiedzy i ścisłości historyka, posiada też i talent pisarski niepośledni. A że przytem nie jest pedantem i rozumie potrzebę nadawania swemu wykładowi pięknej formy literackiej (dążenie to nie jest zresztą u naszych historyków nowe, od czasów Szajnochy), pracę jego czyta się nietylko z pożytkiem, ale i z prawdziwą przyjemnością.

Stąd też pochodzi, że skreślone przez niego wizerunki, to nie usypany bezładnie, bez myśli syntetycznej stos szczegółów, wydobytych ze źródeł historycznych, ale żywe, plastyczne portrety; to nie archiwum procesu Filaretów, ale ludzie, jakby zmartwychwstali z foliałów aktów, raportów, not tajnych i t. p. Co prawda sam przedmiot jest niezmiernie ponętny, podniecający wyobraźnię ponad poziom zimnej analizy dziejopisarskiej; co prawda i źródła same, owe raporty i noty, ach! jakże w swej stylizacji biurokratycznej (tradycje Tajnych kancelaryj) wymowne; ale talent odtwórcy najwięcej tu znaczy, i bez niego sylwetki Mikołaja Nowosilcowa, Aleksandra Michajłowicza Rimskawo-Korskowa, gubernatora wojennego wileńskiego, Hieronima Botwinki, wileńskiego generalnego, Piotra Szłykowa, policmajstra, Wincenego Ławrynowicza, radcy gubernialnego, Piotra Hryhoryewicza Horna, gubernatora cywilnego i innych *minorum gentium* „zasłużonych,” a dalej występujących w „Dziadach:“ „Doktora,” Augusta Ludwika Becu, profesora wileńskiego uniwersytetu, doktora Wacława Pelikana, późniejszego, z ramienia Nowosilcowa, rektora uniwersytetu, wreszcie Leona Bajkowa, sylwetki te, powtarzamy, bez talentu odtwórcy mogły być tylko bezdusznymi manekinami.

Dzieje cierpień młodzieży, a raczej dziatwy wileńskiej nawiązują się do dwóch epizodów „Dziadów:“ opowiadania Sobolewskiego o wywożeniu kibitek i wstrząsającej sceny w „Salonie wileńskim“ ze ślepą matką Rollisonową. Oba te obrazy znajdują najzupełniejsze potwierdzenie w studyum p. Mościckiego. Pierwszy — to poetyczne odtworzenie ostatecznego wyniku śledztwa i procesu stowarzyszenia „Braci Czarnych,” wśród uczniów szkoły kroskiej, pod kierunkiem Jana Witkiewicza i Cypryana Janczewskiego założonego. Drugi—to żywy i wierny obraz przesładowań młodzieży kiejdańskiej, wśród której powstał rzekomy zamiar zamachu na W. Księcia Konstantego; na czele tego sprysiężenia stał syn rektora tamtejszej szkoły, Jan Molleson, którego matka, Felicjanna (w „Dziadach“ Rollisonowa), napróżno błagała o litość dla swego 18-letniego jedynaka.

I znów p. Mościcki, z właściwą sobie plastyką, dał szereg portretów tych wygnańców, patryotów, których losy niezwykle, najczęściej tragiczne, nietylko zająć, ale i wzruszyć potrafią. Dodać należy, że znane naszym czytelnikom opowiadanie illustrował p. Mościcki w książce rzadkimi portretami rysunkowymi.

W zakończeniu nie możemy nie podnieść jednej jeszcze strony studium p. Mościckiego. Oto pracę jego przenika prawdziwe, gorące umiłowanie: i nieszczęsnej młodzieży wileńskiej, i sprawy samej, dla której oni cierpieli. Zresztą, inaczej i być nie mogło: historyk polski, piszący o takich sprawach, nie może pozostać obojętnym, chłodnym widzem. Bardziej powinien mieć się na baczności, by nie zejść z drogi dostojnego obiektywizmu. P. Mościcki posiadał ową *auram mediocritatem* pomiędzy bezstronnością historyka, a serdecznem ukochaniem przedmiotu.

Nie po raz pierwszy sięga Sieroszewski po tematy do Dalekiego Wschodu: w „Powieściach chińskich“ dawał ciekawe typy i sceny z życia chińskiego, często pełne cichego tragizmu (np. „Kulisi“, „Uang-ming-tse“), w „Korei“ kreślił barwne krajobrazy tej uroczej „Krainy Cichego Poranku“, o którą i może jeszcze toczyć będą krwawe boje potęgi Wschodu i Zachodu.

Te studia przygotowawcze przydały mu się znakomicie przy tworzeniu najnowszej powieści orientalistycznej, p. t. „Ol-Sonikisań.“

Utwór ten posiada wszystkie cechy dodatnie poprzednich utworów autora „Na kresach lasu.“

Przedewszystkiem—krajobrazy, przesiąknięte soczystemi, połyskliwemi barwami w świetle Wschodzącego Słońca, np.: „Zwycięska, rozwichrzona wiosna, drąc i zrzucając resztę szat zimowych, leciała nad ziemią. Śniegi pozostały jedynie na szczytach gór. Doliny zieleniały, oziminy w wielu miejscach już zwijały się w dutkę, pęki kwiatów—żółtych, czerwonych, fioletowych, białych—niby języki podziemnych ogni, tryskały z przydrożnej murawy. Ciemne gaje sosnowe połyskiwały młodą śniedzią pędów smolistych. Konary ogromnych kasztanów, opłynięte dymem różowego kwiecia, zionęły zapach słodki, mocny... Stalowe gałązki drobno-luszczystych ilm obrastały blado-zielonym puchem. Błękitny blask, bijący od nieprzejrzaných pól ryżowych, rozświetlał

niebo, ziemię, powietrze i gaje... Wielkie, czerwolistne klony gorzały wśród blado-zielonych lasów, jak ogromne ogniska...“

Na łonie tej przepysznej, przebogatej natury i ludzie powinni być szczęśliwi, żyć pełnią życia. Ale nie! bo, choć przyroda jest człowiekowi matką, drugi człowiek będzie mu zawsze—wilkiem, nie bratem. Na Wschodzie mamy to samo zjawisko, co i na Zachodzie: panoszenie się, opływanie we wszystkie rozkosze życiowe jednych, ucisk i nędza drugich. Wyborne skreślenie stosunków społecznych i obyczajów na Korei, tak od naszych odległych, a jednak tak blizkich, to druga zaleta powieści Sieroszewskiego.

Ale „Ol-Soni-Kisań“ stoi wyżej od poprzednich utworów Sieroszewskiego: daje nietylko statyczny, ale i dynamiczny obraz układu społecznego na Dalekim Wschodzie. Daje nam obraz rewolucji socjalnej na Korei, dramat społeczny i dramat rodzinny, o wielkiej sile tragizmu, bez afektacji wszakże, nieznaney ludom rasy żółtej, które mają we krwi niejako równowagę ducha i rezygnacyę.

Na czele związku, zamyślającego o poprawie doli ludu pracującego, staje młody, dzielny, energiczny reformator, Kim-non-czi; najbliższe cele tego związku, zwącego się poetycznie towarzystwem „Kwiatu Narzeczonej,“ to—zniesienie niewolnictwa i rozdanie ziemi rolnikom, a potem—przyznanie jednakich praw i sądów dla wszystkich, zniesienie kupczenia urzędami, wprowadzanie szkół i t. d.

Nie tak łatwo jednak przyjdzie Kim-non-czi'emu wprowadzić w życie piękne marzenia o równości i swobodzie. Przeciw niemu staje, jak jeden mąż, cała kasta ludzi, którym zależy na zachowaniu istniejącego porządku rzeczy: „drapieżcy... właściciele ziemscy (szlachta), janbaniowie, urzędnicy,“ których „łapownictwo, wymagania, pobory zapełniły świat swym rozgłosem.“ A na ich czele — rodzony ojciec Kim-non-czi'ego, wysoki dygnitarz w Seulu, Kim-ok-kium. Zagrożeni utratą przywilejów, posiadacze przywołują na pomoc ciemne siły ludowe, organizują kontr-rewolucyę: fanatyczni sekciarze „ton-hak'owie,“ nieoświeceni wieśniacy, dzicy „pu-sań'owie“ (przekupnie wędrowni) stają pod bronią. Zawiazuje się krótka walka. Kim-non-czi ulega, a stary jego ojciec, nowy Brutus *à rebours*, sam prowadzi śledztwo i patrzy, jak na placu publicznym w Seulu rozszarpują woły ciało jego jedynaka.

Na tle tych wypadków tragicznych wypukła się cały szereg postaci, doskonale odtworzonych. Oprócz powyżej wymienionych, wyróżniają się tu urocza tancerka, Ol-Soni-Kisań, która da-

ła tytuł powieści, o dobrem, szlachetnym, kochającym sercu i pięknej, wytwornej powierzchowności. W zawierusze politycznej ginie ona, jak wszyscy przyjaciele Kim-non-czi'ego. Niezmiernie jest też plastyczny stary Chakki, niewolnik, który, obdarowany wolnością przez swego młodego pana, wpada w rozpacz, bo myśli, że ma być wypędzony.

P. Raczyńska nie po raz pierwszy wstępuje w szranki literackie; jest ona autorką zbiorku nowel i opowiadań p. t. „Listy prababki“ oraz „Dzienniczka Hanusi Tynieckiej,“ powieści moralnej dla młodzieży o podniosłej tendencji.

Niniejszy zbiór utworów nowelistycznych rozpoczyna się od obrazku wstępnego p. t. „Odwieczna bajka,“ gdzie autorka przedstawia stworzenie kobiety, wedle indyjskiej legendy, przez „wszechwładnego Warunę i wygłasza w pięknej prozie poetyckiej swe poglądy na przeznaczenie kobiety na ziemi.

Dalsze utwory, przedstawiające rozliczne typy niewieście w różnych epokach i krajach: w Indyach, Egipcie, Grecyi starożytnej, Palestynie, we Włoszech z epoki Odrodzenia, są niejako ilustracyami do „Odwiecznej bajki.“ Do piękniejszych pod względem ideowym i artystycznym należą: „Tancerka z Xoïs,“ kochanka króla egipskiego, Ameromhata I-go z dwunastej dynastyi, ze swemi bezwiednymi dążeniami do prawdy, do swobód, tak strasznie, niestety! ukarana za to, że zapomniała, iż... jest niewolnicą; dalej „Królowa Saby,“ owa biblijna niewiasta, co przybyła do Salomona nie po miłość, lecz—po mądrość, bo zwątpiła o wszystkim, typ kobiety mocnego ducha i wspaniałego serca; wreszcie precudna „Gentil donna,“ dziewczę niezemskiej kraszy i niewinności anielskiej, pozujące nago Benvenuto Celliniemu do posagu Afrodyty, by uchronić go od gniewu Aleksandra Medyceusza i dać powstać wielkiemu arcydziełu.

Nie jest jeszcze talent p. Raczyńskiej skryształizowany dostatecznie, jeszcze szuka swej drogi, ale ją znajdzie, bo nie kroczy utartym szlakiem gawędziarstwa, mdłego sentymentalizmu i sensacyi, tak częstym, niestety, u kobiet piszących.

HENRYK GALLE.

TEODOR WIERZBOWSKI prof. *Vade mecum*. Podręcznik do studyów archiwalnych dla historyków i prawników polskich. Warszawa 1908. 8-o, VIII, 188 (z zapomogi Kasy im. dr. Mianowskiego). — WIKTOR WITTYG. *Wypisy heraldyczne z ksiąg poborowych województwa Podolskiego z lat 1563—1565*. Kraków MCMVIII. 8 o, str. 17, 2 (odbitka z „Herolda Polskiego“). — GEORG CLEINOW. *Die Zukunft Polens*. Leipzig, 1908. — ROMAN DMOWSKI. *Niemcy, Rosya i kwestya polska*. Lwów, 1908. — ALEKSANDER JABŁONOWSKI. *Źródła dziejowe*. T. XVII. Cz. I. Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. T. VI. Cz. I. Podlasie (województwo). Warszawa, 1908. 8-o, str. 8, 222, LII.

Z okrzykiem szczerzej radości i z uczuciem wielkiej wdzięczności dla autora za podjęty mozolny trud, wita książkę niniejszą każdy pracownik na polu historyi i prawa w Polsce. W literaturze naszej nie mieliśmy dotąd tyle potrzebnego, powiedzmy, wprost niezbędnego podręcznika. Uciekać się trzeba było do wydawnictw niemieckich, włoskich lub francuskich, ale i te nie zawsze odpowiadały potrzebie. Najdokładniejszy podręcznik dla rozwiązywania dat H. Grotefenda, uwzględniający w ostatniem wydaniu najdrobniejsze szczegóły prowincjonalnych niemieckich kalendarzy, nie obejmował wcale i nie wyjaśniał świąt w Polsce obchodzonych, a przez to nie zawsze był dostatecznym przy studyach w archiwach naszych. „*Vade mecum*“ profesora Wierzbowskiego brakowi temu skutecznie zaradza. Znajdujemy tu tablice kalendarzowe, uzupełnione na podstawie studyów nad wszystkimi dotąd ogłoszonymi kalendarzami średniowiecznymi polskimi. Na każdej z tablic dano pierwszeństwo i uwidoczniono te święta, według których najczęściej datowano akta w Polsce, pozatem dwie tablice (pierwszą i ostatnią) ułożono całkowicie w języku polskim, a to dla unaocznienia terminów polskich, trudnych nieraz do określenia. Tak np. kłopotliwem dotąd było określenie takich dat, jak: w niedzielę starozapustną, w święto M. B. Śnieżnej, w niedzielę suchą, głuchą i t. p. Żaden zagraniczny podręcznik tych nomenklatur nie uwzględniał. Tablice kalendarzowe poprzedzone są alfabetycznie ułożonym spisem świętych, świąt, niedziel i dni uroczystych—a w dalszym ciągu znajdują się wykazy dat Wielkiej Nocy według starego i nowego kalendarza, tak zwane liczby złote, inducye, konkwenty, litery niedziel i epakty (według których jeszcze w XVI w. nieraz akta są datowane), a także tablice dla kalendarza rzymskiego i rewolucyjnego francuskiego.

W tym dziale kalendarzowym, tak ważnym dla studyów archiwalnych, dopatrujemy pewnego braku i to dość poważnego.

Podręcznik nie uwzględnia wcale dat rosyjskich i mahometańskich, które jednak często się przy studyach archiwalnych naszych napotyka. Z datami rosyjskimi łatwo się jeszcze uporać, należy tylko do liczby lat od Narodzenia Chrystusa dodać wiadomą cyfrę. Ale trudniejsza sprawa z latami ery mahometańskiej. Wobec stosowania się mahometan do biegu księżyca w określaniu lat, różnica z kalendarzem naszym nie jest stałą i ciągle się zmienia. Tu bez tablicy odpowiedniej wyrachowanie jest wprost niemożliwe. Trzeba mieć nadzieję, że w następnych wydaniach „Vade mecum“ braki te uzupełnione będą.

Oprócz działu kalendarzowego, stanowiącego główną część wydawnictwa, znajdujemy także wykazy chronologiczne bardzo pożyteczne, bo wszystkich dat spamiętać nie sposób. Są więc daty panowań: papieży, królów niemieckich i cesarów zachodniorzymskich, markgrafów północnych i brandeburskich, królów pruskich, książąt i królów czeskich, królów węgierskich, wielkich książąt kijowskich, moskiewskich, suzdalsko-włodzimierskich, carów moskiewskich, cesarów rosyjskich, sułtanów tureckich, chanów krymskich, wojewodów wołoskich, książąt pomorskich, mistrzów pruskich, krzyżackich, inflanckich, książąt pruskich i kurlandzkich, wielkich książąt litewskich, książąt i królów polskich. — Co do tego bardzo pożytecznego wykazu mała uwaga. Podani są zbyt ogólnie wojewodowie wołoscy, bez rozróżnienia wołoskich od multkańskich. A często nawet u dość poważnych historyków brak rozróżnienia Multan od Wołoszczyzny czyli Mołdawii. Jużto trudnem było wyliczenie wszystkich tak często zmieniających się panujących, ale przed paru laty ogłoszona praca profesora Jorgi podaje tyle dotąd oczekiwany wykaz tych wojewodów z wyróżnieniem obu stolic.

Po wykazach chronologicznych osób panujących, następuje porządek senatorów (z r. 1569) i spis ważniejszych wydawnictw, zawierających wykazy dygnitarzy i urzędników państwowych nadwornych i ziemskich. Wobec braku sumarycznego wykazu senatorów i wyższych urzędników Rzpltej, ten bibliograficzny wykaz ma wielkie znaczenie, ale szkoda, że pominięto tu niektóre wydawnictwa bardzo poważne, takiego np. Fedorowicza. W dalszym ciągu znajdujemy wyliczenie zjazdów generalnych i sejmów oraz synodów prowincjonalnych, spis województw z wykazaniem miejscowości, w których sejmiaki się odbywały, oraz listę biskupstw z podaniem dekanatów.

Na zakończenie: trochę paleografii, mianowicie wykaz najczęściej używanych w aktach naszych skrótów łacińskich i rus-

kich w układzie alfabetycznym, oraz pożyteczny bardzo słownik łącińsko-polski, obejmujący słowa mniej znane, specjalnie tylko w Polsce, albo w specjalnem u nas znaczeniu używane.

Cała książka, jak zaznaczyliśmy wyżej, ma wielkie znaczenie dla pracowników naukowych, wypełnia bardzo dotkliwą lukę w naszej literaturze, a w licznym szeregu sumiennych i wprost benedyktyńskich prac nieustrudzonego badacza naszej przeszłości, jakim jest prof. Wierzbowski, poczesne zajmie miejsce. Od dziś nikt z pracowników historycznych bez tej małej książeczki się nie obejdzie i każdy wdzięczność dla autora zachowa.

Był w Polsce zwyczaj, że poborca podatkowy na dowód, ile zebrał pieniędzy, otrzymywał od ziemian kwity z ich podpisami i pieczęciami. Kwity te składał w archiwum skarbowem, gdzie one dotąd w znacznej części się przechowały i stanowią dzisiaj niezwykle ważny materiał do badań heraldycznych i ekonomicznych. Na źródło to zwrócił swego czasu uwagę świata uczonego jeden z najznakomitszych naszych heraldyków ś. p. Fr. Piekosiński. Broszura, o której mowa, zawiera spis rodzin szlacheckich na Podolu osiadłych w latach 1563—1565, sporządzony na podstawie tych właśnie zapisek podatkowych. Znajdujemy tu wyliczenie około 200 nazwisk szlachty podolskiej z podaniem ich herbu. Zapewne nie cały to jeszcze poczet szlachty polskiej na rubieżach podolskich w owym czasie osiadłej, ale szereg już pokaźny i dla heraldyków ciekawy. Mamy tu bowiem kilkadziesiąt nazwisk dotąd nienotowanych i kilkanaście odmian herbowych po raz pierwszy ogłoszonych. Co do sposobu jednak wydania tego spisu, mamy kilka uwag do zaznaczenia. Naprzód szkoda, że autor, studyjąc tak dokładnie każdą z tych zapisek, uwzględnił w swojej pracy tylko stronę heraldyczną. Każdy taki kwit podatkowy oprócz nazwiska i pieczęci ziemianina, ma jeszcze wyrażoną ilość opłaconego podatku i miejscowość za jaką podatek został wniesiony. Zanotowanie tych szczegółów miałoby znaczenie dla badań ekonomicznych, a przede wszystkim dla historii rozsiedlenia szlachty polskiej na Podolu i studyów genealogiczno-heraldycznych. Bez tych wiadomości ze spisu powyższego niewiadomo, o którym z ziemian podolskich mowa, bo przy licznych ich już wówczas rozrodzeniu, nieraz tego samego nazwiska, kilka już ro-

dzin na Podolu „kwitnęło,“ a zdarzały się fakty, że z tej samej rodziny dwóch i trzech było szlachciców tego samego imienia. Rozróżnić ich tylko można wtedy, gdy podany jest urząd, jaki dany personat piastował, lub wieś, na której siedział. Tego jednak w wykazie stały brak. Druga niedokładność dotyczy pisowni. Autor nie dał koniecznych w tym razie wyjaśnień. Nie wiemy, jak daleko posunął modernizację i w jakich wypadkach ją stosował. W każdym razie niema tu jednostajności, tak np. jest Dyakowski i Diakowski, Jaczymirski i Miczowski, ale Piasecki i Marcinkowska. Z tego powodu niejedna znowu wątpliwość się rodzi. A sprawdzić trudno, bo nigdzie autor dokładnych cytat nie podaje. Chcielibyśmy wierzyć autorowi na słowo, ale tu znowu zecer sprawił figla, i stąd znowu wątpliwości się rodzą—co krok nie wiadomo, co uważać za dawną formę, a co za omyłkę zecera. Autor starał się na figiel powyższy poradzić i dał długie aż w dwóch kolumnach erraty, ale nie wszystko poprawił. Tak np. pozostało Talfus na str. 9, a Talafus na 15. Nie wiadomo, która forma jest dawną, a którą zawdzięczamy dowolności drukarskiej.

Jest to pierwszy tom większego, na dwa tomy obliczonego, dzieła niemieckiego uczonego (?) o „Przyszłości Polski.“ Zestawienie tych dwu pojęć do książki źle usposabia i jak z przejrzenia pierwszego tomu sądzić można—słusznie. Tom pierwszy omawia sprawy ekonomiczne Królestwa Polskiego, drugi poświęcony będzie rozpatrzeniu politycznych zagadnień, jakie nasuwają się uczonemu niemieckiemu, z racyi łączności między Polakami z Poznńskiego, Królestwa i Galicyi, oraz z racyi stosunku partyi polskich między sobą. Tom pierwszy rozpatruje dość szczegółowo (ale i nie bez luk, i nie zawsze dokładnie) ustrój wewnętrzny Królestwa pod względem administracyjnym, oraz organizacje społeczne polskie. Ciekawe są zestawienia co do wytwórczości przemysłowej i rolnej, oraz uwagi o środkach komunikacyjnych wodnych i kolejowych. Książka informacyjna, pisana tendencyjnie nie na każdym więc miejscu ścisła, ma na celu zaznajomienie społeczeństwa niemieckiego z ustrojem wewnętrznym Królestwa, z którym społeczeństwo to coraz silniejszymi węzłami ekonomicznymi jest połączone. Odkładamy do czasu ukazania się tomu drugiego dokładniejsze omówienia tej książki.

Niema książki, któraby w sezonie obecnym większą zrobiła sensację. W sześciu krótko sformułowanych, ale pełnych treści rozdziałach (I. Obecny stan i ogólny charakter kwestyi polskiej, II. Położenie międzynarodowe od czasu utworzenia cesarstwa niemieckiego, III. Osłabienie Rosyi, kwestya polska i polityka Niemiec we wschodniej Europie, IV. Przyszłość Rosyi, V. Kwestya polska od upadku ostatniego powstania, VI. Przełom dziejowy w kwestyi polskiej), zestawia autor nie bez wielkiej zręczności politycznej, a przytem z wielką umiejętnością jasnego formułowania wszystkie najważniejsze sprawy, dotyczące wewnętrznej i zewnętrznej polityki polskiej ostatnich lat czterdziestu. Rzeczy prawie wszystko dobrze znane, bo tak niedawno przez nasze społeczeństwo przeżyte i odczute, ale zestawienie tego wszystkiego w jedną całość, przy umiejętnem operowaniu materiałem, sprawia, że książkę czyta się z wielkiem i nieustającym zajęciem. Wywoła ona zapewne liczne komentarze i dyskusye w różnych obozach, czem przyczyni się do jaśniejszego skryształizowania niejednego poruszonego w niej zagadnienia. Największą jednak korzyść, jaką książka ta odnieść może, to zaznajomienie obcych ze sprawą polską w ogólności, dłaczego życzyć należy, aby w przekładach na języki inne najszybciej się ukazała.

Tom ten pomnikowego (22 jak dotąd tomów) wydawnictwa, prowadzonego usiłowaniami dawniej dwu tylko ludzi: ś. p. prof. Adolfa Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego, a od lat kilku trudem tylko tego ostatniego, przynosi nowy zasób materiałów, służących do wyjaśnienia stosunków ekonomicznych i społecznych Polski na przełomie w. XVI i XVII. Zawiera on materiały do Podlasia, ściślej biorąc do województwa Podlaskiego. Są tu opublikowane: Regestra poboru 1580 r. z powiatów: Drohickiego, Mielnickiego i Bielskiego; — Sumaryusz poboru ziemi Bielskiej 1591 r.; — Regestr poborowy dóbr szlacheckich ziemi Bielskiej; — Sumaryusz poboru z powiatu Bielskiego 1579 r.; — Regestr wybierania poboru w mieście Knyszyńskim; — Lustracye starostw ziemi Bielskiej 1558—77; — Dobra szlacheckie, wielka własność 1555—95; — Popis wojenny ziemian województwa Podlaskiego 1528 r.; — Regestr ziemi Drohickiej; — Regestr ziemian Mielnickich i ziemi Bielskiej. W końcu podany jest indeks miejscowości i osób. Większość ma-

teryaków w tym tomie pochodzi z Archiwum Skarbowego i Metryki Koron. Opracowanie, dotyczące Podlasia, jak zapowiada przedmowa, ukaże się w dwu tomach, stanowiących dalszy ciąg niniejszego. Praca ta w rozkładzie pierwiastkowym przypadająca w udziale prof. A. Pawińskiemu, po jego tyle przedwczesnej i nieodżałowanej śmierci, podjętą została przez niestrudzonego historyka Rusi, p. Al. Jabłonowskiego, który dział przez siebie objęty (ziem Ruskich Rzptej) ukończywszy, niniejszym tomem wkracza w zakres zamierzonych przez prof. Piekosińskiego prac. Życzyć należy, aby danem mu było równie szybko i owocnie ukończyć i tę część „Źródeł dziejowych.“

FR. PUŁASKI.

Kronika miesięczna.

Wyniki konferencji słowiańskiej w Pradze. — Nowy moment w stosunkach polsko-czeskich. — Muzeum w Rapperswyłu. — Obszar gruntów w Królestwie Polskiem w r. 1906. — Okólnik p. kuratora warszawskiego Okręgu naukowego.

Konferencya w Pradze Czeskiej należy do przeszłości. Znamy już z dzienników jej przebieg, mamy w pamięci słowa, które tam padły przy kielichach z ust przedstawicieli wielkich i małych narodów słowiańskich, wiemy o kostymach sokolskich, w jakich występowali niektórzy reprezentanci neoslawizmu z nad Newy, nie obce nam są także pewne zakulisowe momenty akcji, rozpoczęte przez d-ra Kramarza, czas więc rozejrzeć się w pozytywnych (o ile są takie) wynikach podróży naszych i innych delegatów nad Wełtawę i poszukać, czy na zielonej gałęzi miłości wszechsłowiańskiej nie ukazują się zawiązki przyszłych owoców.

Nie należeliśmy do tych, którzy mieli jakiegokolwiek dalej idące nadzieje i uważali konferencyę praską za ewenement polityczny głębszego i szerszego znaczenia. Przeciwnie — już przed dwoma miesiącami na odgłos pierwszej trąbki, sygnalizującej pochód neoslawizmu, wypowiedzieliśmy się z rezerwą. To też — możemy to już stwierdzić — nie doznaliśmy zawodu. Nie rozbiły się żadne nasze marzenia, nie uległy porażce żadne nasze plany, nie zniweczyły się żadne nadzieje.

Bądź co bądź, konferencya praska przyniosła niezaprzeczony pożytek *moralny*, jeżeli tak powiedzieć można. Dała ona świadectwo dobrej woli ze strony tych, którzy wzięli w niej udział i starała się zaakcentować silnie i podkreślić niedwuznacznie, że ruch neosłowiański nie ma nic wspólnego z dawnym panslawizmem, będącym na usługach biurokracyi rosyjskiej.

Starano się dać do zrozumienia, że koryto, które sobie żłobi nowy ruch, ma zupełnie samoistny kierunek i nie zmierza zupełnie ku owemu osławionemu „morzu rosyjskiemu,” do którego miały, zgodnie z marzeniem poetycznym Puszkina, spłynąć wszystkie strumienie słowiańskie, a o co obawialiśmy się najbardziej.

Na konferencji praskiej nie brzmiały już zupełnie nuty pokory i poddaństwa względem Rosyi. Trudno powiedzieć, co przyczyniło się do tego w większym stopniu, czy większa samodzielność narodów słowiańskich w myśleniu politycznym i większa wiara we własne siły kulturalne i w przyrodzone prawa swoje do bytu odrębnego, czy mniejsza potęga mocarstwowa Rosyi, zachwiana przez ostatnią wojnę na Dalekim Wschodzie i przez ciężki kryzys rewolucyjno-anarchistyczny. Tak, czy inaczej — ze wszystkich sprawozdań, jakie mieliśmy w rękach, można było wyczytać, że chcieli tam mówić tylko równi z równymi. To też w końcu delegacja rosyjska odczuła pewną nieufność, z jaką zwracano się do niej, starając się poznać istotne jej przekonania, i uznała za konieczne złożyć uroczystą deklarację, w której oświadczyła, że podziela zasady równouprawnienia i swobodnego rozwoju każdego z narodów słowiańskich.

Czy deklaracja ta była złożona z czystego serca i czy zawierała w sobie przekonania *wszystkich* — tego przesądzać nie wypada. Musimy jednak, stojąc na gruncie bezstronnej i przedmiotowej oceny faktów, wyrazić uznanie z tego powodu, że do deklaracji takiej doszło i że utrwalono ją czarno na białym ku świadectwu lat przyszłych.

Wobec tej deklaracji zasadniczej zmianie uleż powinien stosunek Rosyi do Polski.

Stosunek ten do niedawna nie był dobrze rozumiany nietylko przez pobratymcze nam narody słowiańskie, źle zazwyczaj poinformowane o istotnym stanie rzeczy i przyczynach słynnej, odwiecznej „niezgody polsko-rosyjskiej,” ale — nawet przez najlepsze warstwy społeczeństwa rosyjskiego, które kierowały się w polityce zasadami sprawiedliwości. Wyłom w poglądach tych warstw uczyniły dopiero lata przedrewolucyjne i rewolucyjne, a chociaż niewątpliwie daleko jeszcze do tego, aby sprawa polska w społeczeństwie rosyjskiem została zrozumiana i postawiona tak, jak tego nie już nasze życzenia, ale interes polityczny obu narodów w chwili nadmiernej i rosnącej z dnia na dzień ekspansji niemieckiej wymaga, to jednak jest już inaczej, niż było.

Konferencya praska dała też dowód, iż i w pozostałej słowiańszczyźnie patrzą jaśniej na rolę Polski i na jej prawa do sa-

modzielnego rozwoju kulturalnego nietylko w zaborach pruskim i austryackim, ale i pod panowaniem rosyjskim, gdzie rozwój ten również był i jest tamowany.

Moment ten scharakteryzował najlepiej „Głos Warszawski“ w jednym z artykułów, poświęconych wynikom konferencji praskiej.

„Narody słowiańskie — czytamy tam między innymi — zrozumiały, że Polacy, jako przednia straż słowiańszczyzny w walce z zalewem niemieckim, bronią nietylko sprawy swojej, ale i sprawy całej słowiańszczyzny, że przeto niepodobna uważać za „słowiańską politykę takiej, która kępuje i osłabia żywioł polski.“

Wynikiem tego zrozumienia było nader lojalne zachowanie się wszystkich słowian wobec delegacji polskiej, która, złożona z przedstawicieli wszystkich trzech dzielnic, reprezentowała jeden niepodzielny naród.

Takie są „moralne“ zdobycze konferencji praskiej. Czy położą one raz na zawsze kres wszelkim nieporozumieniom i postawią kwestję polską wśród całej słowiańszczyzny, a co za tem idzie i w państwie rosyjskim, na jedynym, właściwym dla niej gruncie, o tem wyrokować byłoby przedwcześnie, jak przedwczesną rzeczą było opierać jakiegokolwiek nadzieje na tak szybko za-inprowizowanej konferencji. Niezawodną jednak jest rzeczą, że ruch neosłowiański nie może obok tej kwestyi przejść w milczeniu. Przewodnicy jego muszą sobie dokładnie zdać z niej sprawę i wysunąć ją na czoło zagadnień świata słowiańskiego, gotującego się do wspólnej, może bezkrwawej, ale wielkiej i ostatecznej rozprawy z naporem fali germańskiej, grożącej już nietylko nam i Czechom, ale podmywającej zwolna przez wytrwałą długoletnią robotę zręby jedyne go dziś mocarstwa słowiańskiego — Rosyi.

*

*

*

Niedawna wycieczka przemysłowców i kupców polskich na wystawę do Pragi Czeskiej, przedsięwzięta samorzutnie i niezależnie od konferencji słowiańskiej, może się stać momentem zwrotnym w dziedzinie stosunków polsko-czeskich.

Stosunki te nigdy nie były złe, daleko im jednak było do szczerej i otwartej przyjaźni, mimo usiłowań kilku wybitnych je-

dnostek tak z jednej, jak i z drugiej strony. Na drodze do tej przyjaźni piętrzyły się bowiem rozmaite przeszkody.

Przedewszystkiem nie pozwoliły się obu narodom dobrze odczuwać, a poniekąd może i rozumieć pewne różnice kulturalne, wypływające z odmiennych warunków historycznych, a istniejące pomiędzy Polską, która miała i po dziś dzień ma jeszcze rodzimą kulturę szlachecką, a Czechami, gdzie szlachta uległa doszczętej germanizacyi, a lud po długich latach ucisku i niewoli niemieckiej dopiero stosunkowo niedawno zaczął się odradzać, wyrastając w twardych zapasach z niemczyzną na szorstkich pracowników dnia dzisiejszego, trzeźwo patrzących na życie i kierujących się w niem wyłącznie interesem własnym.

Następnie utrwaleniu się stosunków przyjaznych pomiędzy Polakami a Czechami przeszkadzały w znacznym stopniu rusofilskie uczucia Czechów, które od roku 1848 aż po dzień dzisiejszy sprawiają, że sprawa polska w Czechach nie przez wszystkich jest należycie rozumiana.

Wreszcie spory na Ślązku, w powiatach, wysuniętych ku granicy morawskiej, walka o Cieszyn i zbyt wyraźne ze strony Czechów intencje w kierunku czechizowania ludności polskiej, sprawiły, że w Polsce patrzano na Czechów z pewnego rodzaju nieufnością, mimo, że darzono ich zawsze sympatją.

Sympatya ta wyrastała jednak na gruncie najtrwalszym, bo na podłożu szacunku i uznania dla narodu, który, znajdując się w bardzo ciężkich warunkach, pracą, poświęceniem, wysiłkiem ramion i serc potrafił dokonać narodowego, kulturalnego i ekonomicznego odrodzenia swojej ojczyzny w ciągu krótkiego stosunkowo czasu. W Czechach niejednokrotnie widzieliśmy wzór, godny naśladowania. Od nich wzięła Galicya Sokołów, od nich także organizację oświatową — Macierz.

Było też zawsze dla nas pożądane, aby sąsiedzkie z Czechami stosunki przybrały formę ściślejszą. I oto w tej właśnie chwili zacieśniają się one siłą rzeczy. Przemysł i handel polski podał rękę przemysłowi i handlowi czeskiemu ku niewątpliwemu pożytkowi stron obu.

Czesi w stosunku tym mają interes podwójny — naprzód będą zarabiali duże pieniądze, importując wytwory swoje do nas, potem będą mieli zadowolenie z tego, że każda korona, którą Królestwo im zapłaci, będzie koroną, wydartą przemysłowi i handlowi niemieckiemu.

Podwójny interes mamy i my także — naprzód pokrewne zadowolenie moralne z tego, że pieniądze nasze nie idą do Niem-

ców, powtóre korzyść z obcowania bliższego z narodem, który nas przewyższa organizacją ekonomiczną swojego życia.

W tej dziedzinie od Czechów możemy się nauczyć najwięcej, nieskończenie więcej, niż z ich literatury i sztuki, które nie dorównały naszym. Czesi mają wybornie zorganizowane banki, kwitnące spółki pożyczkowo-oszczędnościowe, tani i dostępny dla wszystkich kredyt, mają nadto wyborne szkoły specjalne techniczne i handlowe, rolnicze i leśne.

Przy bliższych stosunkach, przy traktowanej szczerze przyjaźni, przy poznaniu pobratymczego języka, dzięki blizkiemu sąsiedztwu młodzież nasza powinna ze szkół czeskich korzystać chętniej, niż to czyniła dotychczas. Łatwiej bo przecież i milej będzie Polakowi spędzić czas studyów w Pradze, niż w Berlinie lub Lipsku. Posiadzie on tam nietylko wiedzę potrzebną, ale nauczy się nadto patrzeć na życie, ujęte w karby rozumu i woli, nie poddające się tak łatwo tym lub innym wpływom, ale wrośnięte głęboko w ziemię ojczystą.

Dla nas, którzy hodujemy tak mało ludzi, posiadających silną wolę i charakter, przykład Czechów w niejednym kierunku będzie niewątpliwie pouczający.

Starajmyż się więc, aby moment obecnego zbliżenia nie przeminął bez korzyści dla nas na dziś i na jutro najbliższe.

*

*

*

Polakom, którzy zwiedzali Szwajcaryę, dobrze jest znany zamek w Rapperswylu i mieszczące się w nim Muzeum narodowe polskie, założone w r. 1869 z inicjatywy hr. Władysława Platera. Zbyt rzadko jednak i zbyt niewiele mogliśmy dotychczas o tem muzeum pisać, aby szerszy ogół polski zdawał sobie sprawę z rozwoju i wzrostu tej instytucji, powołanej do przechowania pamiątek polskich na obcej, ale wolnej ziemi szwajcarskiej.

Tem skwapliwiej korzystamy też obecnie z możliwości zaznajomienia naszych czytelników z ostatniem, świeżo wydanem sprawozdaniem z czynności Zarządu muzealnego.

Sprawozdanie to stwierdza, że instytucja, wprawdzie powoli i stopniowo, ale stale i nieustannie rozwija się, zdobywając coraz to nowe przedmioty do cennych swoich zbiorów.

Tak w roku ubiegłym do zbiorów muzealnych przybyło 1293 pozycyji, obejmujących 6137 przedmiotów. Cyfry te nie dają należytego obrazu ofiarowanych Muzeum darów. Wykaz powyższy nie obejmuje np. zupełnie bibliotek Zygmunta Miłkowskiego (P. T. Jeża) i Józefa Gałęzowskiego, jak również nie są w nim uwzględnione papiery po ś. p. Orzechowskim, Sewerynie Duchnińskiej i Ludwiku Dygacie.

Z darów w dziale muzealnym wyróżniają się: zbroja tatarska, odnaleziona pod Beresteczkiem, ryngraf Kościuszkowski, oraz trenzla polska, sadzona srebrem i turkusami.

Nader cenne są dary w dziale bibliotecznym, w zbiorach rękopiśmiennych: ofiarowano tu w ciągu roku sprawozdawczego dokumenty, odnoszące się do czasów Stefana Batorego i Zygmunta III-go. P. Józef Kordzikowski darował 376 rękopisów, od XVI wieku począwszy, a dochodzących do r. 1863. Dar p. Franciszka Zwierkowskiego obejmuje 500 rękopisów, stanowiących pierwszorzędne źródło do dziejów emigracyi polskiej na wschodzie w czasie wojny krymskiej, a rzucających sporo światła na osoby Michała Czaykowskiego, Adama Czartoryskiego, Władysława Zamoyskiego, Konstantego Gaszyńskiego, gen. Dembińskiego i in. Z dalszych darów wymienić należy manuskrypty Michała Wiszniewskiego: *Historya Jezuitów*, i Jędrzeja Moraczewskiego: *Jezuici w Polsce*. Nadto w zbiorach muzealnych znajdują się cenne akta, odnoszące się do życia gen. Sokolnickiego, Dąbrowskiego, ks. Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki, oraz do dziejów ostatniego powstania (1863 r.).

Przybyło również sporo druków, odnoszących się do życia współczesnego politycznego, a dotyczących zwłaszcza kwestyi litewskiej, tak zaognionej w ostatnich czasach i dziejów partyj socialistycznych w Polsce.

Wykaz inienny ofiarodawców obejmuje 147 nazwisk.

Czasopism przychodziło do Muzeum z Królestwa 40, z Galicyi 37, z Poznańskiego 8, ze Ślązka 11, z Ameryki 10, z Litwy 3, razem (łącznie z obcemi) 129.

Zwiedziło Muzeum osób ogółem 3736, w tem Amerykanów 19, Anglików 14, Czechów 54, Duńczyków 5, Finlandczyków 2, Francuzów 336, Hiszpan 1, Holendrów 2, Japończyków 3, Niemców 372, Polaków 938, Rosyan 54, Słowaków 5, Szwajcarów 1810, Szwedów 5, Węgrów 3, Włochów 53. Największą frekwencyę wykazały miesiące letnie, zwłaszcza wakacyjne.

Praca w Muzeum szła normalnie. Najżywotniejszą była w dziale rękopiśmiennym, w którym poza złożeniem i klasyfika-

cyą wpływów bieżących uporządkowano: Archiwum Towarzystwa demokratycznego, papiery po ks. Romanie Wilczyńskim, Józefie Aleksandrze Jabłońskim, Ildefonsie Kosiłowskim, emigrancie z roku 1846, dalej papiery po Sobańskich i Lesslach, tudzież pochodzące z ciekawego zbioru prof. Wacława Gasztowta, wreszcie rozpoczęto segregować listy, rękopisy i dokumenty po Tadeuszu Orzechowskim i Ludwiku Dygacie.

Ze zbiorów muzealnych korzystało osób i instytucyj 301, na miejscu studyowało 38 osób, które oddawały się badaniom głównie w kierunkach historycznym i historyczno-literackim.

Opiekę nad zbiorami bibliotecznymi mają sobie powierzoną pp. Maryan Karczewski (Jasieńczyk) i Znaniński.

Finanse Muzeum przedstawiają w kapitale żelaznym kwotę 33176 fr. 55 ct., w dochodach 19799 fr. 88 ct., w czem zapis ś. p. Józefa Zubrzyckiego z Nowego Sącza wynosi 13145 fr. 60 ct., składki zaś dają tylko skromną sumę 1496 fr. 15 ct.

W rozchodach widzimy sumę 20029 fr. 99 ct., na co złożyły się wydatki administracyjne 11547 fr. 80 ct., koszt utrzymania zamku 1052 fr. 40 ct., koszt utrzymania zbiorów muzealnych i biblioteki 3590 fr. 50 ct. i wydatki różne w kwocie 3837 fr. 20 ct.

Rada muzealna poza wszystkimi swoimi obowiązkami zarządza jeszcze, jak wiadomo, funduszem stypendyjnym Krystyna Ostrowskiego, z którego wypłaciła w roku ubiegłym 42 stypendystom, studyującym bądź w kraju, bądź zagranicą, kwotę ogólną w ilości 13216 fr.

Od lat trzech do zwykłych sprawozdań dorocznych Muzeum dołączany jest „Dodatek literacko-naukowy,” w którym publikuje się ważniejsze materiały, znajdujące się w archiwum muzealnym. W dwóch sprawozdaniach poprzednich zamieszczone zostały niektóre materiały do życia Słowackiego i Lelewela, w sprawozdaniu zaś tegorocznem znajdujemy ciekawą korespondencyę Alojzego Orchowskiego, osobistości mało znanej, a będącej świadkiem najtragiczniejszych chwil naszych dziejów, jak rozbiorów, powstania Kościuszki, legionów, wojen napoleońskich, istnienia i upadku Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, wreszcie powstania listopadowego.

W końcu dowiadujemy się, że na doroczny zjazd sierpniowy Rady muzealnej wpłynęło pismo od Rady miasta Lwowa, proponujące przeniesienie zbiorów do Lwowa. Rada jednak odmówiła temu, wychodząc z założenia, że „położenie dzisiejsze naszej ojczyzny nie pozwala zarówno na zniesienie posterunku, zajmowa-

nego przez Muzeum na obczyźnie, jak na umieszczenie zbiorów w kraju bez obawy o ich przyszłość.“

Te słowa charakteryzują może najlepiej cele, jakie zakresliła sobie instytucja, od lat z górą trzydziestu będąca ośrodkiem życia polskiego na emigracji i strażnicą pamiątek narodowych, ocalonych cudem z pogromu.

*

*

*

Komitet statystyczny warszawski, dość żółtym krokiem posuwający się we wszelkich swoich pracach, dokonał świeżo podsumowania całego obszaru gruntów w Królestwie Polskiem za rok 1906.

Obszar ten wyraża się w cyfrze ogólnej 11,266,729 diesiatyn. W tem na rzecz posiadłości włościańskiej przypada 5,134,921 dies., czyli 45,58% całego obszaru gruntów kraju.

W pozycjach poszczególnych przedstawia się to, jak następuje:

Pod zagrodami, sadami i ogrodami znajduje się 238,638 dies.; gruntów ornych jest 3,492,668 dies.; łąk 522,368 dies.; pastwisk 436,092 dies.; lasów 221,778 dies.; nieużytków 233,377 dies.

Wielkość przeciętna gospodarstw włościańskich dochodzi do 6 dies. (około 12 mórg).

Gruntów folwarcznych jest 3,881,468 dies., czyli 34,45% całego obszaru gruntów w kraju, mianowicie pod folwarkami, sadami i ogrodami 107,578 dies., ziemi ornej 2,071,323 dies., łąk 291,036 dies., pastwisk 206,121 dies., lasów 1,033,978 dies., nieużytków 171,432 dies.

Obszar przeciętny majątków folwarcznych wynosi 440 dies., czyli 860 mórg.

Posiadłość drobnoszlachecka wyraża się w cyfrze 690,581 dies. czyli 6,13% całego obszaru gruntów w kraju, mianowicie pod zagrodami, sadami i ogrodami 34,086 dies., ziemi ornej 397,709 dies., łąk 49,901 dies., pastwisk 73,494 dies., lasów 88,462 dies., nieużytków 46,930 dies.

Wielkość przeciętna posiadłości drobnoszlacheckiej w kraju przewyższa nieco 12 dies. czyli 24 morgi.

Pod osadami jest 302,478 dies., czyli 2,68% całego obszaru, a mianowicie pod zabudowaniami podwórzowemi i ulicami 12,088 dies., pod sadami i ogrodami 12,019 dies., ziemi ornej 173,292 dies., łąk 24,619 dies., pastwisk 24,036 dies., lasów 36,291 dies., nieużytków 20,233 dies.

Obszar gruntów, zajętych przez miasta i do miast należących wynosi 150,948 dies., czyli 1,34% całego obszaru.

Gruntów skarbowych jest 658,074 dies., czyli 5,84% całego obszaru gruntów w kraju.

Gruntów donacyjnych oraz należących do urzędów gminnych, szkół, kościołów, instytucyj dobroczynnych, zakładów fabrycznych, kolei żelaznych i t. d. jest 448,158 dies., czyli 3,98% całego obszaru.

Co się tyczy większej własności prywatnej specjalnie, to w obrębie Królestwa było w r. 1906 ogółem 7,417 posiadłości. Z tej liczby stowarzyszonych w Tow. Kred. Ziemiem 4,449. Przeciętny obszar posiadłości tej ostatniej kategorii wynosił w r. 1892-im 789 mórg, w roku zaś 1901 już tylko 682 morgi.

Wszystkie prywatne i donacyjne majątki łącznie w r. 1906 stanowiły 32% ogólnego obszaru własności rolnej w kraju (3,616,532 dies.), w r. zaś 1900 stanowiły 37,9% (4,279,677 dies.). Własność prywatna oddzielnie w r. 1906 stanowiła 28,9% (3,269,636 dies.), a w r. 1900 — 34,8% (3,932,781 dies.). W końcu majątki donacyjne oddzielnie stanowiły 3,1% (346,896 dies.).

Przeciętna cena szacunkowa jednej diesiatyny w kraju wynosiła w r. 1899—138 rb., w r. 1900—160 rb., w r. 1901—168 rb. w r. 1902—195 rb., w r. 1903—201 rb., w r. 1904—215 rb.

Co się tyczy służebności, to procent zagród, które dotąd zachowały prawa serwitutowe wynosił w r. 1908—37,5%. Procent zaś folwarków, w których służebności uregulowano od r. 1864 do r. 1903 wynosił 62,5%.

Prywatnych posiadłości, obciążonych serwitutami było w dzieściu guberniach Królestwa w początkach r. 1907—1912, co stanowi przy ogólnej liczbie 7,417 posiadłości większych w kraju 15,9%.

Posiadłości prywatnych z szachownicami było w obrębie Królestwa pod koniec r. 1906-go 1180, czyli 15,9%, oddano w dzierżawę gruntów prywatnych 259,054 dies., a w tej liczbie włościanom 40,011 dies.

Rozglądając się w przytoczonych powyżej cyfrach, widzimy stały wzrost w kraju posiadłości włościańskiej z równoczesnym zmniejszaniem się obszaru przeciętnej posiadłości folwarcznej. Jest

to proces normalny, który rozpoczął się w Królestwie przed laty kilkunastu i stale postępuje naprzód, bez względu na to, że organizacja ekonomiczna kraju bynajmniej nie stoi jeszcze na tej wysokości, aby mu skutecznie dopomagać mogła, ani bowiem kooperatywa w dziedzinie parcelacji, ani długoterminowy, tani kredyt nie są u nas jeszcze w dostatecznej mierze na usługach włościan. Drobnym rolnik, współdziałający siłą rzeczy rozwiązaniu jednej z najpoważniejszych kwestyi—kwestyi agrarnej, pozostawiony jest jeszcze w większości wypadków samemu sobie, a stąd kraj nasz, mający wszelkie dane do tego, aby wytworzył silną i ekonomicznie zdrową warstwę drobnych rolników-obywateli, opóźnia się w swoim rozwoju, co jednocześnie daje pole do agitacyi żywiołom socyalistycznym, wyznającym zasadę „im gorzej, tem lepiej.“

Jednym tedy z najpierwszych naszych obowiązków powinna być dbałość o to, aby, idąc za przykładem innych krajów, a nawet innych dzielnic polskich, stworzyć jaknajwięcej źródeł taniego kredytu dla włościan przez zakładanie kas pożyczkowo-oszczędnościowych na całym obszarze kraju.

Kasy takie ma Wielkie Księstwo Poznańskie. Ma je także i Galicya w ilości znacznej, aczkolwiek tam stanowią one niejednokrotnie teren dla operacyj finansowych, przedsięwziętych przez kapitalistów żydowskich i przez to nie zawsze rolę, do której zostały powołane, spełniają.

U nas ruch w tej dziedzinie jest jeszcze nowy, z tego jednak względu powinien jaknajszersze znaleźć poparcie ze strony wszystkich żywiołów obywatelskich, rozumiejących jego potrzebę i znaczenie.

*

*

*

Pół-urzędowy *Warszawskij Dniownik* przyniósł następującą wiadomość, dotyczącą prywatnych szkół polskich:

Wobec nieokreślonego ściśle brzmienia przepisów co do warunków, wymaganych dla nominacyi na stanowiska nauczycieli w prywatnych zakładach naukowych w kraju Nadwiślańskim, kwestya ta wniesiona była pod rozpoznanie Rady ministrów. Rada doszła do wniosku następującego: „Co się tyczy nauki w zakładach naukowych średnich kraju Nadwiślańskiego, zarówno rzą-

dowych jak prywatnych, języków rosyjskiego i cerkiewno-słowiańskiego, historii i geografii, postanowić, ażeby wykład przedmiotów rzeczonych, których nauka w całkowitym zakresie (czyli nietylko historii i geografii Rosyi, lecz także historii powszechnej i geografii innych krajów) odbywać się ma w języku rosyjskim—nie mógł być powierzany osobom pochodzenia polskiego.“

Na skutek powyższego, kurator Okręgu naukowego warszawskiego rozesał do naczelników dyrekcji naukowych okólnik, w którym znajduje się polecenie przystąpienia do rewizyi praw obecnego składu nauczycieli w zakładach naukowych średnich na wykładanie rzeczonych przedmiotów, a także rozkaz usunięcia od wykładów osób, które zostały dopuszczone do nauczania wbrew istniejącym przepisom lub które wykładają w języku nierosyjskim.

Okólnik ten krótko i węzłowato charakteryzuje położenie, w jakim znajdzie się prywatna szkoła polska w Królestwie z początkiem bieżącego roku szkolnego.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Na jednym z ostatnich posiedzeń Komisji do badania historii sztuki w Polsce, odbytem pod przewodnictwem p. Leonarda Lepszego, Dr. Jan Ptaśnik referował o zebranych przez siebie materiałach do historii mieszczaństwa krakowskiego; przy sposobności pracy nad historią kultury średniowiecznego Krakowa zebrał on wszystkie ważniejsze inwentarze mieszczan krakowskich z XV w. z ksiąg sądów wójtowskich. Inwentarze te z tego względu zasługują na szczególniejszą uwagę, że są zarazem prawie najdawniejsze u nas i że stanowią prawdziwą kopalnię szczegółów do życia nie bogatych panów, ale przeciętnego mieszczanina krakowskiego, dostarczając wiadomości o jego strojach, książkach, obrazach i sprzętach, potrzebnych w życiu codziennem. Pisane są w języku łacińskim lub niemieckim, przy wielu jednak nazwach są objaśnienia polskie, to też inwentarze te przynoszą zarazem cenny materiał do historii naszego języka.

Następnie sekretarz Komisji przedłożył komunikat p. Gumowskiego o medalu Aleksandra Pesenti'ego dworzanina królowej Bony i znakomitego muzyka. Znany humanista XVI w. Piotr Aretino wspomina o tym medalu w swoich listach jako o pracy Jakóba Caraglia. Odlew tego medalu, będącego własnością muzeum berlińskiego, przedłożył już swego czasu p. Leonard Lepszy na jednym z posiedzeń Komisji.

Drugi komunikat p. Gumowskiego dotyczył medalu Dantyszka. Kłosek, który służył do wykonania formy tego medalu znajduje się w muzeum berlińskim.

W końcu sekretarz Komisji p. Julian Pagaczewski przedłożył komunikat X. A. Brykezyńskiego o ornatach gobelinowych katedry plockiej, wykonanych przez Glaize'a w Warszawie w latach 1743 i 1746, a ofiarowanych katedrze przez biskupa Andrzeja Załuskiego. Komunikat ten ilustrowany był dobrymi fotografiami.

— TOWARZYSTWO HERALDYCZNE WE LWOWIE. Jeszcze w 1903 r. za inicjatywą prof. Fr. Piekosińskiego i Ludwika Pierzchały miało powstać we Lwowie Towarzystwo Heraldyczne. Skutkiem śmierci prof. Piekosińskiego i rozlicznych innych przyczyn rzecz poszła w odwołkę i dopiero 23 marca r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie założycieli T-wa. Na posiedzeniu tem odbytem pod przewodnictwem p. Zygmunta Radziwińskiego, dokonano wyboru zarządu, powołując na prezesa Jerzego hr. Borkowskiego, na I wiceprezesa p. Zygmunta Radziwińskiego, na sekretarza p. Ludwika Pierzchałę, na skarbnika d-ra M. Wąsowicza, na redaktora d-ra Wł. Semkowicza. Postanowiono także rozpocząć wydawnictwo „Miesięcznika heraldycznego,“ którego pierwszy zeszyt ukazał się pod datą 1 czerwca.

Na czele umieszczono następującą odezwę:

„Niema dziś w Europie cywilizowanego narodu, mogącego poszczycić się sławną przeszłością historyczną, któryby nie posiadał Towarzystwa heraldycznego. Nie miał go dotąd tylko nasz naród, jakkolwiek losy Polski tak ściśle związane były z losami szlachty przez cały ciąg istnienia państwa, a także i w dobie porzoborowej, że badania naukowe nad przeszłością naszą nie mogą się obejść bez pomocy umiejętności, której celem jest poznanie genezy, rozwoju i organizacyi szlachty, niemniej też zewnętrznych jej znamion, t. j. herbów i zwołań rycerskich. Tą umiejętnością jest heraldyka wraz z pokrewnymi jej naukami, sfragistyką i genealogią. W ten sposób pojęta, jest heraldyka jedną z najważniejszych nauk pomocniczych historyi i w tem polega wyznaczone jej dziś w szeregu nauk stanowisko.

„Dawniej w heraldyce naszej górował prawie wyłącznie interes prywatny; pobudką do zajmowania się nią był dla jednych kult przodków, dla innych chęć zaspokojenia ciekawości historycznej. Dziś coraz bardziej zaczyna przeważać interes czysto naukowy: heraldyka dzisiejsza—słusznie rzecz można—zdemokratyzowała się, wciągając w obręb swych badań także mieszczaństwo, Żydów i inne nieszlacheckie warstwy, posiadające herby lub rodzaj herbów, t. zw. „gmerki.“ Jest w tem niewątpliwie zasługa tych badaczy przeszłości naszej, którzy w heraldyce i jej pokrewnych naukach odkryli nieocenione źródła do wyjaśnienia wielu zagadnień historycznych, sięgających nieraz w ciemną głęb prawięku.

„Z dawniejszych uczonych Lelewel, z nowszych Piekosiński i Małecki pełnili potężnie naprzód heraldykę, rozbudzając wśród młodszego pokolenia interes naukowy dla tej młodej, a tak powabnej gałęzi nauk historycznych. Lecz szereg zagadnień pierwszorzędnej wagi leży po dziś dzień odlegiem. Nietknięte prawie studia genealogiczne, rozpoczęte zaledwie badania nad rozsiadleniem rycerstwa, kwestya zaś genezy szlachty i herbów wymaga ponownej rewizyi i czeka ostatecznego wyjaśnienia. Dodajmy do tego, że cały zasób ważnych materiałów źródłowych do heraldyki, sfragistyki i genealogii spoczywa dotąd w pyłe archiwów prywatnych i publicznych i domaga się jaknajrychlejszego ogłoszenia, a pojmujemy, że praca na tem polu przynosi siły jednostki. Aby sprostać choć w części temu zadaniu, trzeba było posiadać tak niespożyty zapas sił intelektualnych i energii duchowej, jak Piekosiński, redaktor *Herolda polskiego*, który borykać się musiał z nieprzewyższonymi

przeszkodami, nie znajdując poparcia i zrozumienia u szerszego ogółu. Tu trzeba zespolenia sił pracujących, a zarazem wydatnego poparcia ze strony społeczeństwa, poparcia tak materialnego, jak i moralnego.

„Tą myślą powodowani, założyliśmy Towarzystwo heraldyczne. Apeluujemy tedy do wszystkich, którym leżą na sercu cele naukowe polskie, komu droga przeszłość i pamięć przodków, by nam pospieszyli z pomocą. Zwracamy się jednak do całego społeczeństwa, którego obowiązkiem jest poprzeć wszelkie dążenia naukowe. Przez pogadanki z zakresu heraldyki i pokrewnych jej nauk będziemy się starali rozbudzić zamiłowanie do tej pięknej umiejętności, a wydawane przez nas czasopismo posłużyć ma właśnie do zespolenia usiłowań na tem polu i skupienia w jedno ognisko rozstrzelonych dotąd sił naukowych. Wydawnictwo to, które wychodzić ma kwartalnie, w objętości — na razie — 2 do 3 arkuszy druku, zawierać będzie rozprawy naukowe z zakresu heraldyki, sfragistyki i genealogii, monografie wybitniejszych rodów i rodzin polskich, materiały heraldyczne, mapki, przedstawiające rozsiadlenie poszczególnych rodów w różnych okolicach i okresach dziejowych Polski, dział recenzyjny i bibliografię heraldyczną. Ponieważ jednak heraldyka nie straciła dziś znaczenia praktycznego, gdy wywody szlachectwa do pewnych celów (np. w sprawach spadkowych, wojskowych, stypendyjnych etc.) są konieczne potrzebne, pomieścimy także dział informacyjny, służący do wzajemnego porozumiewania się członków w kwestiach zarówno teoretycznej, jak i praktycznej heraldyki (Statut § 4 b). W miarę środków wydawać będziemy od czasu do czasu osobne publikacye, zawierające obszerniejsze prace syntetyczne lub materiały heraldyczne (Statut § 4 d). Wydział Towarzystwa czyni w tym celu starania o nabycie rękopisów, nieogłoszonych dotąd prac ś. p. Piekoskińskiego.

„Zgłoszenia na członków i wkładki nadsyłać należy do Towarzystwa zaliczkowego nauczycielskiego (Lwów, ul. Frydrychów 5). Prace nadsyłać należy na ręce dr. Władysława Semkowicza (Lwów, Zamojskiego 14).

Jerzy hr. Dunin-Borkowski, przewodniczący, prof. dr. Wilhelm Bruchnalski, prof. Julian Jaza-Bykowski, dr. Jan hr. Drohojowski, Bronisław Gorczak, dr. Wojciech Kętrzyński, ks. Zygmunt Dunin-Kozicki, Adam Kreczowiecki, dr. Piotr Kucharski, Ludwik Pierchała, Zygmunt Luba-Radziwiński, dr. Władysław Semkowicz, dr. Józef Starzewski, dr. Mieczysław Dunin-Wąsowicz.“

Po tej umieszczonej na czele odezwie, zeszyt zawiera: artykuł wstępny, podpisany przez Redakcyę, omawiający cele i zadania Towarzystwa; następnie: *Władysława Semkowicza*: Długosz jako historyk, *Tegoż*: Zawołania jako hasła bojowe, *Tegoż*: Przyczynek do rodowodu Oświęcimów; *Dr. Mieczysława Dunin-Wąsowicza*: Metryki parafii Besko (w ziemi Sanockiej). W dziale sprawozdań: *Dr. Władysława Semkowicza* omówienie rocznika „Herold Polski.“ W końcu dość obszerny dział zapytań i odpowiedzi w kwestiach heraldycznych oraz „Sprawy Towarzystwa heraldycznego.“ Ten pierwszy zeszyt daje poznać, że wydawnictwo będzie utrzymywane na właściwym poziomie naukowym i pod tym względem daleko odległynie od piśmierek, ukazujących się od czasu do czasu w naszej literaturze, obliczonych na zysk pieniężny lub zaspokojenie drobnych ambicylek osobistych. Najlepszą gwarancyę co do tego stanowią nazwiska,

podpisane pod powyższą odezwą, oraz nazwisko redaktora, zaszczytnie już znanego z wielu prac heraldycznych, utrzymanych zawsze w najlepszym stylu naukowym. Za tę inicjatywę, za ten zdrowy kierunek, tak często niestety wykoszlawiany w wydawnictwach pseudo-heraldycznych, za usiłowanie zgrupowania w Tow. Heraldycznym ludzi, mogących naukowo pracować na tem polu oraz mecenasów tej gałęzi wiedzy historycznej, za rozpoczęcie wreszcie tyle pożądanego wydawnictwa, należy się wielka dla inicjatorów wdzięczność, do której niech się dołączą nie tylko jałowe życzenia powodzeń, ale także i silne poparcie w jaknajszerszych kołach społeczeństwa, bez czego trudnemi byłyby do urzeczywistnienia szerokie zamierzenia naukowe kilku ludzi poświęcenia i dobrej woli.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— ATENEUM POLSKIE. Lwów, czerwiec. Jan Kasprówic: Sonety z cyklu „Chwile”;— Józef Burka: Polityka antypolska Bismarka za czasów walki kulturalnej (1872—1883);— Fr. Rawita-Gawroński: Spóźniona miłość. Epizod z życia Mazepy;— Tadeusz Sinka: Walory humanistyczne;— Bron. Chlebowski: Życie duchowe w Warszawie, II;— Jan Tur: Zwroty mistyczne w biologii współczesnej;— Bartold Merwin: Chorzy poeci;— Adolf Chybiński: Renesans w muzyce;— E. B.: Polska literatura psychopatyczna;— Tad. Smoleński: Nowy dziejopis grecki;— L. H.: Polacy w Ameryce.

— ATENEUM POLSKIE, miesięcznik poświęcony sprawom kultury, pod redakcją Stanisława Zakrzewskiego. Adam Antoni Kryński: Języki słowiańskie, ich rozwój i stosunki wzajemne;— Juliusz German: Historia jednego fresku;— Jerzy Michalski: W sprawie podniesienia poziomu zawodowego wykształcenia urzędników administracyjnych;— Michał Pawlikowski: O zmaganiu się formy z treścią;— Edward Porębowicz: Nowe publikacje do historii romantyzmu francuskiego;— Edmund S. Naganowski: Z piśmiennictwa angielskiego;— Julian Zachariewicz: Homer, Chrystus, Shakespeare i historyczny sceptycyzm;— Adam Szelański: Postęp i upadek jako prawo cywilizacyjny;— S.: Słowiańska konferencya w Pradze;— Ludwik Koszarzycki: Prusy, Austria i Polska;— L. H.: Matice skolska;— Tadeusz Smoleński: Dr. Stefan Waszyński;— Przegląd prasy;— Zapiski Bibliograficzne.

— HOMILETYKA. Czerwiec, 1908. Rozprawy: W jaki sposób może i powinno współdziałać duchowieństwo na odnowienie społecznych warunków;— Kongres eucharystyczny w Londynie;— Krótkie przemówienia na niedziele;— Kazania na uroczystości;— Kazania o Kościele;— Przemówienia przygodne;— Wiadomości teologiczno-pastoralne.

— KRYTYKA, r. X, zes. VI, czerwiec, 1908, str. 513—596. (f.): Przesilenie w idei polskiej;— M. Konopnicka: Żydóweczka;— K. Stefański: Trzy okresy w dziejach demokracji polskiej;— St. Wyspiański: O czei dla bohaterów;— Wład. Czapiński: Literatura na gruzach rewolucyj;— S. Posner: Dzieje jednej trybuny;— L. Eminowicz: Na progu;— Dr. H. Biegeleisen: Aryanie polscy;— Zofia Ry-

gier-Nalkowska: Koteczka czyli białe tulipany (nowela);—Przegląd prasy polskiej i obcej;—Geniusz a społeczeństwo;—Kultura duchowa Krakowa;—Młodzież polska za granicą;—Lux: Ruch wolnej myśli;—Skiba: Ruch kobiecy;—Prof. J. Magiera: Język wszystkich Słowian;—Junius: Z trzech zaborów;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— MIESIĘCZNIK PEDAGOGICZNY, r. XVII, № 4, kwiecień, 1908, str. 49—80. K. S.: W sprawie przygotowania uczniów do szkoły średniej;—Popiołek Franciszek: Powstanie ziemi (dok.);—a-b: Zatwierdzenie utrakwizacji polskich szkół ludowych w Karwinie;—D. M. O.: Przed nominacją nowych inspektorów okręgowych w Cieszyńskim;—Antoni Potocki: O Komisji edukacji narodowej;—Do nauczycielstwa polskiego na Śląsku;—Z pol. Towarzystwa pedagog.;—Kronika.

— NASZA PRZYSZŁOŚĆ. Kijów, czerwiec, 1908. Kazimierz Tokarzewicz, Inżynier: Nierozwinięte działy przemysłu w krajach litewsko-ruskich;—Józef Kaz. Ign. Rulikowski: Rokosz pułku czernihowskiego. Wyjątek ze wspomnień 1825;—Joanna Kalicka: Zarysy powieściowe;—Laudator: Literatura i krytyka

— PAMIĘTNIK Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, r. 1908, zes. IV, ogól. zbioru t. 103. Warszawa, druk. K. Kowalewskiego, 1908, 8-o, str. 347—484 + XIII. Julian Rotstadt: Badania doświadczalne z dziedziny trofiki mięśni. Wpływ zmian cyrkulacyjnych i inercyjnych na mięśnie (z 3 tablicami), str. 347—412;—Fr. Gedroyc: Źródła biograficzno-bibliograficzne dla dziejów medycyny w dawnej Polsce, str. 413—428.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Tow. Miłośników w Warszawie. Tom VI, zeszyt 3. Maj i czerwiec, 1908. Brückner A.: Cyryl i Metody. Nowe źródła i opracowania;—Antoni Prohaska: Z dziejów samorządu ziemi Chełmskiej (dok.);—Ludwik Boratyński: Stefan Batory, Hanza i powstanie Niderlandów (dok.);—M. Sokolnicki: Józef i Tadeusz Mostowscy i działalność polityczna Polski w r. 1792—1797 (dok.);—Leopold Meyet: Kiedy się urodził Juliusz Słowacki. Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety;—M. Goyski: Przegląd literatury historycznej polskiej do dziejów XIV i XV w. z ostatnich lat siedmiu (1901—1907), (dok.);—Fr. Gedroyc: Wodociągi i kanalizacje miejskie (z dziejów higieny w dawnej Polsce) (ciąg dalszy);—Kazimierz Marcinkowski: Inwentarz Zamku warszawskiego, sporządzony w r. 1769 (c. d.).

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, społecznym, literackim i artystycznym, pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok I, zeszyt 7. Lipiec, 1908. Zygmunt Balicki: Przeobrażenie metod walki;—Kazimierz Bartoszewicz: Przyczynki do kwestyi ruskiej;—Adam Szlągowski: Rasa i cywilizacja;—Henryk Radziszewski: Wydatki skarbu królewskiego w okresie międzypowstaniowym;—J. Długosz: Granice polityczne a linie etnograficzne na kresach zachodnich;—J. Oksza: Szlakiem absurdu;—Antoni Sądziejewicz: Przegląd spraw polskich;—Bohdan Wasilutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy: Spór o Bałtyk, Patriotyzm ekonomiczny;—Bibliografia;—Nekrologia. Redaktor Wacław Duni. Warszawa, Smolna 10.

— PRZEGLĄD POLSKI. Tom 169, rok 43. Zeszyt I. Lipiec, 1908. Pismo naukowo-literackie, pod redakcją Prof. D-ra Jerzego hr. Mycielskiego. Dr. Maryan Zdziechowski: Cerkiew rosyjska w chwili obecnej; — Dr. Roman Dybowski: Powstanie Kościuszki w powieści angielskiej z r. 1803 (dok.); — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (c. d.); Julian Klaczko: Listy włoskie, wydał Ferdynand Hoesick;—Julian Zachariewicz: Niemiecki związek Monistów i Ernest Haeckel;—Kronika literacka;—Z literatury powieściowej;—Balicki E. A.: Teatr krakowski; — Dr. Zdzisław Jachimecki: Muzyka w Krakowie; — Przewgląd polityczny przez NN.;—Dr. Paweł Popiel: Ludwik hr. Dębicki;—Wspomnienie pośmiertne.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Miesięcznik, pod red. Ks. Jana Pawelskiego. Rok 25, zeszyt 7. Lipiec, 1908. J. E. Wojciech hr. Dzieduszycki: List do redakcyi „Przeglądu Powszechnego:“ Hasło neoslawizmu; — Ks. Wiktor Wiecki: Między Słowianami: w Celowcu i Ossyachu; — Eliza Orzeszkowa: Z myśli wieczornych. III. Jest on jeszcze bardzo oddalony... IV. Słyszysz to wieczór...;—Lucyan Rydel: Pogrzeby posągów. Szkic historyczno-obyczajowy;—Ks. Leonard Lipke: Prorocy i ideał Mesyański w Izraelu (c. d.);—Ks. Władysław Szczepański: Pierwsza skarga Joba. Uwagi i próbka przekładu; — Przewgląd piśmiennictwa;—Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGLĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY. Lipiec, 1908. Prof. Dr. Stanisław Skarzyński: Sejmowa reforma wyborcza w ostatniem sześcioleciu;—Dr. M. Allerhand: Podstęp w procesie (c. d.); — Dr. Piotr Stebelski: Proces kryminalny Teofila Wiśniewskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu (c. d.);—Jerzy Michalski: Rezerwy państwa w dziedzinie kopalnictwa węgla. Sierpień i wrzesień, 1908. Redaktor Prof. Dr. Ernest Till. Dr. L. Fischlowitz: Stanowisko kobiety i dziecka niesłubnego w projekcie noweli do powszechnej ustawy cywilnej;—Maryan Rosenberg: O reformie prawa naftowego;—Dr. Stanisław Starzyński: Sejmowa reforma wyborcza w ostatniem sześcioleciu (dok.);—Dr. Ryszard Leżański: O projekcie ustawy o wynagrodzeniu szkody z powodu bezzasadnego przytrzymania w areszcie śledczym (ciąg dalszy i dokończenie); — Prof. Dr. Piotr Stebelski: Proces kryminalny Teofila Wiśniewskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu (c. d.);—Dr. M. Allerhand: Postęp w procesie (c. d.).

— PRZEWODNIK NAUKOWO-LITERACKI: Rok 36, zeszyt 7. Lipiec, 1908. Pod redakcją Adama Krechowieckiego, wychodzi jako dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Stanisław Starzyński: Reforma Izby Panów;—Michał Rolle: Żywot polityczny Michała Grabowskiego; — Antoni Karbowski: Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie;—Bronisław Czarnik: Wystawa Rembrandtowska w Lejdzie w r. 1906 (notatki turysty); — Dr. Stanisław Kłobukowski: Wycieczka do Parany (stanu rzeczypospolitej Brazylii). Dziennik podróży;—Dr. Stanisław Kossowski: Z życia Kajetana Węgierskiego. Pamiętniki i listy;—K. z.: Przemysł górniczo-hutniczy w Galicyi w r. 1906. Nafta i wosk ziemny.

— PORADNIK JĘZYKOWY. Rocznik VIII, zeszyt VII. Lipiec, 1908. Wychodzi w objętości jednego arkusza na początku każdego miesiąca z wyjątkiem

sierpnia i września, pod redakcją Romana Zawilińskiego w Tarnowie w Galicyi. K. Nitsche: Z badań nad językiem polskim;—Zapytania i odpowiedzi;—Ks. Ignacy Charszewski: Pokłosie;—Ks. K.: Skarbonka;—Rozmaitości (Mowa polska na Litwie);—Korespondencya redakcyi.

— ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział filologiczny. Serya II. Tom XXIX. Ogólnego zbioru tom 44. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol., druk. Uniw. Jag., 1908, 8-o, format duży, str. 396. Ludwika Trzeńska: Szkolnictwo ludowe w Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815—1846);—Wilhelm Bruchnalski: Rozwój twórczości pisarskiej Mikołaja Reja;—Dr. Konstanty Wojciechowski: Pierwsze naśladownictwo „Nowej Heloizy“ w romansie polskim (Ks. Krajewskiego „Pani Podczaszyna“ 1786);—Dr. Zbigniew Kniaziółcki: Do genezy poematu Mikołaja Reja „Wizerunki żywota poczciwego człowieka;“—Ferdynand Hoesiek: Ze studyów nad Kochanowskim.

— ROZPRAWY Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności. Ser. III, t. 8, dział B (ogólnego zbioru t. 48, dz. B). Nauki biologiczne. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol., druk. Uniw. Jag., 1908, 8-o, format duży, str. 256. K. Stołyhwo: Czaszka z Nowosiółki, jako dowód istnienia w okresie historycznym kształtów pokrewnych z *Homo primigenius* (z 5 ryc. w tekście);—J. Młodowska: Z histogenezy mięśni szkieletowych (2 tabl.);—H. Zapałowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. Cz. XII;—K. Klecki i A. Wrzosek: O przechodzeniu do moczu mikrobow we krwi krążących;—J. Nowak: Badania w zakresie głowonogów z górnej kredy w Polsce. Cz. I (z 1 tabl. i 4 rys. w tekście);—J. Browiński i St. Dąbrowski: O metodzie ilościowego określenia żółtego podstawowego barwika moczu (urochromu);—H. Wielowieyski: Dalsze badania nad histologią i historią rozwoju jajnika u owadów (z 3 tabl.);—H. Zapałowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. Cz. XIII.

— SFINKS. Czasopismo literacko-naukowe, wychodzi w Warszawie w odstępach miesięcznych, pod redakcją Władysława Bukowińskiego. Rok I, zeszyt VII. Lipiec, 1908. Str. 172. Norwid o Słowackim (odezwy wygłoszone przez Cypryana Norwida w Paryżu w r. 1860);—Józef Kwiatek: Kazimierz Krauz (Michał Luśnia), jako pisarz polityczny;—Władysław Bukowiński: Echa (poemat);—Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr (ciąg dalszy);—Jan Kleczyński: Rzeźba współczesna;—Władysław Jabłonowski: Edmund de Amieis (ur. 1846 r., um. 1908 r.);—Edmund de Amieis: Ostatni przyjaciel (przełożyła z włoskiego Z. Ankowska);—Henryk Heine: Pieśni współczesne (z nielōmaczonych poezyj przełożył z niemieckiego i zaopatrzył przedmową Władysław Nawrocki);—Stefan Popowski: Wystawy sezonu ubiegłego;—Zofia Rygier-Nalkowska: Równieńce (ciąg dalszy, powieść);—Andrzej Baumfeld: O ideale Syna Bożego;—Oceny i sprawozdania. Literatura polska: J. Dąbrowski: Adam Moszczeński „Pamiętnik do historii polskiej,“ Józef Wybiicki „Pamiętnik,“—„Z dziejów Hajdamaczyzny“ (2 tomy), opatrzone przedmową Henryka Mościckiego;—H. J. Rygier: H. Orsza „Z dziejów narodu,“—Literatura francuska: Marya Rakowska: Emile Zola „Correspondance“ (Les lettres et les arts);—Wł. B.: Konrad Prószyński (K. Promyk);—Przegląd prasy: Czasopisma

polskie. Czasopisma francuskie; — Zadania konkursowe Tow. naukowego warszawskiego; — Ogłoszenia; — Dodatki artystyczne. Rysunki i winiety: J. Rembowski, St. J. Kozłowski, H. Minkiewicz, T. Jankowski, Z. Plewiński i St. Popowski. Okładka J. Rembowski.

— SŁOVANSKY PŘECHLED. Praga. Czerwiec. Sifri Rubin: Z nove poesie slovinske; — A. Askerc: Ze sbirky „Jadrunki biseri;“ — Adolf Cerny: Po slowanskych dnech v Petrohrade a ve Varsave; — Z. B.: Bulharska literatura v roce 1907; — Dr. Branko Drechsler: Chorvatska literatura v roce 1907; — Adolf Cerny: Literatura luzicko serbska v r. 1907; — Z knih a casopism: O stycich starých Slovanu s Turkotatary a Germany; — Narodnosti statistika Bulharska a Cechoslovane; — Dopisy: Z Moskvy III; — Rozhledy a spravy: Slovanie severo-zapadni, Slovanie východni.

— STRAŻ POLSKA, redaktor i wydawca Kazimierz Bartoszewicz. R. I, № 2, 1908, str. 1—12. Deklaracya przez Maryę Konopnicką; — Tadeusz Grabowski: Zadania „Straży Polskiej;“ — Lucyan Rydel: Wielkopolanom; — Antoni Balicki: Ukochane Muzy nasze; — Kazimierz Lubecki: Z rozmyślań narodowych; — Kazimierz Bartoszewicz: Przyczynki do kwestyi ruskiej; — Leopold Caro: Wrażenia z Tryestu; — Michał Magiera: Nasze kresy zachodnie; — Do dyskusyi, przez Polaka z Galicyi wschodniej; — Lucyan Lem: W jedno ognisko; — Ze sekcyi ekonomicznej, przez J. K. R.; — Sekcyja organizacyjna; — Głosy członków „Straży Polskiej;“ — Rozmaitości; — Nowości literackie; — Kącik językowy; — List do kącika Stanisława Tarnowskiego; — Kronika „Straży Polskiej.“

— SZTUKA POLSKA. Malarstwo w reprodukcjach kolorowych. Zesz. IV. Wyd. drugie. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. 1908. 4-o, str. 4 i obr. barw. 4. Jan Matejko: Święta Kinga; — Jacek Malczewski: Sztuka w zaścianku; — Stanisław Wyspiański: Święta Salomea; — Józef Mehoffer: Witraż fryburski.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, pod redakcją Feliksa Konecznego. Lipiec 1908. Feliks Koneczny: Przed konferencyą praską; — Dr. Zygmunt Stefański: Au delà de Mitrovica; — Dr. Antoni Karbowski: U źródeł odrodzenia narodowego na Ślązku górnym; — Przegląd prasy słowiańskiej: z prasy ruskiej, rosyjskiej, czeskiej, słowackiej, słowieńskiej, chorwackiej, serbskiej, Bośni i Hercegowiny, Czarnogóry, bułgarskiej, z Macedonii i Starej Serbii: „Rusko-polijski spor i Srbi;“ — Kronika miesięczna.

— VOTUM SEPARATUM. Dwutygodnik, wychodzi w Petersburgu broszurami wielkiego formatu. Lipiec, 1908. T. Gruzewski: Charakter trzeciej Dumi i rola polskiego przedstawicielstwa; — Wl. Studnicki: Konferencya w Pradze; — T. G.: Coś gorszego, niż ugoda; — Wl. St.: Secesya w obozie N. D.; — W-da Giz: Międzynarodowe znaczenie konstytucyi w Turcyi; — Konrad Prószyński; — Notatki: Stan wojenny w Królestwie; — Sprawa olawska.

— ZAPISKI LITERACKIE. Geller Dr. Leo und Dr. Josef Peter: Das österreichische Wucherstrafrecht, für das Studium und die Praxis, przez D-ra Alfreda Zgórskiego; — Rosenblatt Dr. Prof.: Falszywe wyroki karne i ich przy-

czynny, przez D-ra Alfreda Zgórskiego;—Lutostański Karol: Zaręczyny w prawie małżeńskim z r. 1836, przez Wł. Abrahama;—Austryackie prawo spółek z ograniczoną poręką, napisał Dr. Aleksander Doliński, przez E. T.;—Exports of Manufactures from the United States and their distribution by articles and countric 1800 to 1906, przez D-ra Zygmunta Gargasę;—A. Peretjatkowicz: Przegląd literatury polskiej z dziedziny filozofii prawa i gospodarstwa społecznego w latach ostatnich 1900—1907;—Kronika.

— ZAPISKI LITERACKIE. Dr. Maryan Rosenberg: Kodeks naftowy. Tom I, przez E. Tilla. Der Streit um das Mecrange zwischen Oesterreich und Ungarn, von Dr. Victor Korn (przez E. Tilla); — Michał Krawczyk i Zygmunt Karasiński: Nowe ustawy kongrualne;—Dr. Emanuel Dresdner: Die praeludierende Wirkung des Versteigerungsediktes.

B I B L I O G R A F I A.

H I S T O R Y A.

ASKENAZY SZYMON: Łukasiński. I. Warszawa, nakł. E. Wendego i Sp. Lwów, H. Altenberg, druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1908. 8-o, str. 416.

HOFFMANOWA z TAŃSKICH KLEMENTYNA: Dziennik Franciszki Krasieńskiej w ostatnich latach Augusta III pisany. Powieść. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 170.

— Listy Elżbiety Rzeczyckiej do przyjaciółki swojej Urszuli * za panowania Augusta III pisane. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 110.

TERESA JADWIGA: Pogrzeb ostatniego Jagiellona. Wolna elekcyja. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 19.

POWIEŚĆ. — POEZJA. — DRAMAT.

AMICIS ED.: Od Apeninów do Audów. Nowela. Przekład Maryi Konońnickiej. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 49.

BRZEZIŃSKI JÓZEF DR. (z Zawiercia): Ochędóstwo jako główny warunek zdrowia. Warszawa, z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, druk. Wł. Łazarskiego, 1908. 8-o, str. 38.

DEJSKI M. A.: Miodowe miesiące. Komedya w dwóch aktach. Lwów, nakł. księg. H. Altenberga, druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1908. 8-o, str. 28.

FINKELSTEIN ZIĘBOWSKI MIECZYŚLAW: Hymn (poezye) z cyklu: Pieśni słoneczne. Warszawa-Kraków, 1908. 4-o, str. 16.

HOESICK FERDYNAND: Ze studyów nad Kochanowskim. Kraków, nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Pol., druk. Uniw. Jag. 1908. 8-o, str. 68.

JACHOWICZ STANISŁAW: Bajki, powiastki i pieśni. Zebrał, wstępem o życiu i pracach autora poprzedził dr. Fr. Majchrowicz. Lwów, nakł. księg. Gubrynowicza i Schmidta, druk. Pillera, Neumanna i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. X+112.

KIPLING RUDYARD: Ankus królewski. Nowela. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 33.

— Toomai od słoń. Powiastka. Przekład J. Czekalskiego. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 31.

KISIELEWSKI JAN AUGUST: Panmusajon. Studya estetyczne. Lwów-Warszawa, 1906. 4-o, str. 208.

— Życie dramatu. Szkice literackie. Lwów-Warszawa, 1907 r. 8-o, str. 436.

MICKIEWICZ ADAM: Pisma poetyczne. Ballady i romanse. Grażyna. Konrad Wallenrod. Wiersze wybrane 1817 — 1832 r. Dwudziesty drugi tysiąc. Lwów, nakł. Macierzy Polskiej. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, str. VII+242.

NIEWIADOMSKA C.: Dotrzymuj słowa. Koledzy. Samolub. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, form. mały, str. 26.

— Noc sierpniowa. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, format mały, str. 18.

PELADAN JÓZEFIN: Ostatni wykład Leonarda da Vinci w jego Akademii medyolańskiej (1499). Z myśli i twierdzeń rozproszonych w jego rękopisach ułożył i związał... Przetłómaczył Miriam. Warszawa, nakł. redakcyi „Chimery”, druk. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, 1907. 8-o, str. 37.

PRZYBYLSKI ZYGMUNT: Debiutantka. Fraszka w jednym akcie. Wyd. drugie. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., druk. W. L. Anczyca i Sp., 1908. 8-o, str. 31.

ŚWIĘTOCHOWSKI ALEKSANDER: Pisma II. Obrazki powieściowe. Wyd. drugie. Warszawa, druk.?, 1908. 8-o, str. 172.

TRAWIŃSKI ALFRED: Juliusz Słowacki. O Balladynie i Lilli Wenedzie. Studium literackie. Tarnopol, nakł. księg. A. Bruggera. Warszawa, Gebethner i Wolff, druk. Podolska w Tarnopolu, 1908. 8-o, form. mały, str. 24.

WITKIEWICZ STANISŁAW: Bagno. Lwów, 1903. 8-o, str. 80.

— Dziwny człowiek (Józef Siedlecki). Z portretem. Lwów, 1904. 8-o, str. 144.

— Juliusz Kossak, studjum. Lwów, 1906. 8-o, str. 288.

— Z Tatr. Lwów-Warszawa, 1907. 8-o, str. 258.

